SS

LIFE

TOR



HIGH-LIFE DOKTOR.

Tegoż samego autora

wyszły następujące powieści:

(Skład główny u. G. Centnerszwera, Warszawa, Marszałkowska 143.)

Dzisiejsze małżeństwa	1	tom	rs.	1	kop.	80
Jeszcze małżeństwa	1	„	„	1	„	80
Wilma	1	„	„	1	„	80
Hrabia-Starosta	2	„	„	3	„	60
Jędrzek 1892 . . . . ,	1	„	„	1	„	20
Linoskoczka 1892	2	„	„	2	„	40
Wczorajsi. Serya I, 1892	1	„	„	1	„	50
Nokturn Szopena 1892	1	„	„	1	„	20
Tajemnica 5-go pułku węgierskich huzarów 1892. . , . .	1	„	„	1	„	20
Z różnych pułków 1893	2	„	„	2	„	40
Nera Polacca 1895	1	„	„	2	„	—
Swat 1895 . . , ...	1	„	„	2	„	—
Zięciowie domu Kohn & Cie, wyd. drugie 1895	2	„	„	3	„	—
Hrabina 1895	1	„	„	2	„	—
Aktorka 1895	1	„	„	2	„	—
Przy naszych dworach 1896	1	„	„	2	„	—

Pod prasą:

Wczorajsi, Serya II. i III.
To i owo
Ze Starżów pani Appelstein
Odrębna istota.

CZCIONKAMI DRUKARNI „DZIENNIKA POLSKIEGO“
pod zarządem Franciszka Kattnera.

I.

Działo się to w Warszawie, na początku zimy roku 1889. Dnia tego pan Jan Dzierżysława-Skorupski czuł się gorzej na zdrowiu.

Siedział więc w swym gabinecie na fotelu, nogi wyciągnięte trzymał na tureckiej poduszce, a ręce obie zwieszone opierał na poręczach specjalnego krzesła. W dłoni jego, bezwładnie opuszczonej, tkwił numer dziennika *Słowo*, który w ostatniej chwili czytać przestał, gdyż mu się zrobiło słabo.

Dzierżysława-Skorupski bowiem od kilku lat bardzo chorował, jakkolwiek zdrowo wyglądał. A był to wspaniały mężczyzna lat czterdziestu i kilku, przystojny blondyn o długich angielskich faworytach, zdradzających wyszukanie, z jakiem swoją osobę pielęgnował. Każdy włosek, tak zarostu tego, jak i jego fryzury, połyskiwał i musiał być z osobna dnia tego troskliwie ułożony i przymuskany. Szczegóły inne jego osoby, jak ubranie, ręka, koszula, but i krawat zdradzały wyrafinowanego światowca, sybarytę i wielkiego,

aż rażąco na wiek jego, eleganta. Zmarszczki na twarzy pana Jana sprawiały dziwne wrażenie i nikły na pierwszy rzut oka uwadze siłą wykwintnego starania, jakiem swoją osobę otoczył. Wykrzywił się i ruchem pełnym spokoju i cierpienia poruszył dzwonkiem, leżącym tuż przy nim na stole.

Na ten dźwięczny odgłos szlachetnego metalu, dały się słyszeć ciche kroki po dywanie w przyległym salonie i we drzwiach stanęła pani Matylda Skorupska, osoba również lat czterdziestu i-kilku, lecz tak strojna, elastyczna, tak wysznurowana, że o wiele młodszą się wydać mogła.

— Co? — zapytała trwożnie, spoglądając z wyrazem bez-iernej troskliwości na męża.

— Gorzej mi — odparł małżonek — całe śniadanie, całe, całe! — dodał przekonywująco, wskazując na żołądek — czuję tu tu, tu..

Pani Matylda zrobiła minę zrozpaczoną i wysoce zirytowaną. Usiadła na kanapce, stojącej po drugiej stronie stołu, naprzeciw męża i odezwała się:

— Ci doktorzy! Proszę cię, ci doktorzy!

— To wisielcy! — szepnął pan Jan.

— To rozbójniki, to hultaje! — podchwyciła małżonka, osoba widocznie nadzwyczaj żywego temperamentu.

Chciała dalej mówić, ale chory cicho i powoli zaczął.

— Ten osioł zapewniał mnie, że wszystko jeść mogę, że proszki te niszczą wszystkie kwasy...

— Ale cóżeś ty jadł dzisiaj? — przerwała pani Matylda, — co? To się nazywa jedzenie? Dwa kotlety... kawałek szynki... trochę omletu i.. i

— I te kilka gruszek?.. — dorzucił pan Jan.

— I te kilka głupich kieliszków wina? — dodała żona. — Ale czegoż życzyłeś sobie?

— Nic! niczego! W chwili, w której uczułem się gorzej, chciałem właśnie z tobą pomówić.

Pani Matylda skupiła się. Na twarzy jej malowały się głębokie uczucia, jakie dla swego małżonka żywiła. Wpatrywała się w jego oblicze z wyrazem pełnym wiary zaufania, troskliwości i uczucia.

— Chciałem pomówić z tobą — zaczął Dzierżysława-Skorupski — o Wilmie. Czy ty wiesz — zapytał z pewnem przerażeniem i tajemniczością w głosie — że Wilma liczy dwadzieścia i pięć lat. Mówię ci, że na stan mój zdrowia wpływa wiele ta okoliczność, że o Wilmę nikt się nie stara. Powiedz mi, co to może znaczyć? Wytłumacz mi ten fenomen, by nikt się nie starał o taką pannę, jak Wilma?

— Taką pannę! taką pannę! — dorzuciła z naciskiem i ze zdumionym ruchem ramion pani Matylda.

Pan Jan jęknął z cicha i ciągnął:

— Śliczna! Ja nie znałem w całem mem życiu piękniejszej panny od Wilmy. Nie spotkałem tej dystynkcji, tej królewskiej postawy, tej angielskiej piękności. Wszystkie Dzierżysława-Skorupskie były przystojne i dystyngowane, ale Wilma, Wilma!!!

Chory urwał i nastało milczenie. Oboje głęboko się zamyślili nad tym fenomenem, jakim im się wydawała okoliczność, że córka ich, bywająca od lat siedmiu w świecie, nie znajdowała pretendentów.

Pani Matylda przerwała po chwili ciszę:

— Bo, bądź co bądź, Wilma jest pierwszą panną w Warszawie.

— W *high-life* warszawskim — poprawił słowami i tonem pan Skorupski.

— No! naturalnie! — zawołała żona — to się wie. Robimy wszystko, co możemy...

— Więcej nawet, niż możemy, bo daliśmy bal, po którym o mało nie umarłem.

— Więcej, niż możemy — podchwyciła pani Matylda — ubieram ją, jak nikt. Zawsze jest najstrojniejszą, zawsze naj... wszystko naj! Bo przecież inaczej być nie może. Kto w Warszawie umie tak wszystko urządzić, jak ty, mój

Jasiu.. Dajemy najpiękniejsze wieczory. Mamy najlepsze apartamenta... ekwipaże... Wilma będzie jedną z bogatszych partji wreszcie.

— Cóż to więc znaczy? — zapytał flegmatycznie z angielską zimną krwią, na którą zdawał się pozować pan Jan Dzierżysława Skorupski, wtapiając swój wzrok w oblicze żony. Ta ruszyła ramionami w odpowiedzi, ruchem, pełnym rozdrażnienia i pogardy.

Nastało długie milczenie. Oboje małżonkowie pogrążyli się w zadumie, ale ta zaduma, u każdego z nich różna, miała wspólne cechy. Oboje wyglądali podrażnieni. To uczucie jednak wzburzało panią Matyldę i zapalało jej namiętne, duże, czarne oczy, a pokrywało tylko, jakby chmurą, oblicze pana Jana.

Po chwili zabrała głos pani Skorupska:

— Powtarzam ci, co już nieraz mówiłam, że Wilma jest tak, no tak... tak, iż nikt o nią starać się nie ma odwagi. Wiedzą przecież, że będziemy wymagającymi.

Pan Jan nic nie odparł, tylko dalej zdawał się myśleć. Podczas tego żona wyliczała mu okoliczności, według niej wpływające na dziwny fakt, że o Wilmę nikt się nie oświadczał. Sądziła, iż tylko człowiek bardzo majętny, doskonale — jak mówiła — urodzony, przystojny, spokrewniony, światowiec, mógł się odważyć o taką pannę pretendować. Tych ludzi było mało, a od

pewnego czasu w kosmopolityzujących się salonach warszawskich, bardzo mało.

Skorupski słuchał. Gdy skończyła, odezwał się poważnie:

— A ja się boję. Czy przyczyną tego nie są Poryccy?...

Nazwisko to wywołało na obliczu pani Matyldy gwałtowną zmianę. Sciągnęła brwi, czoło jej przerżnęły dwie bruzdy, będące u niej oznaką najwyższego niezadowolenia. Czerwieniejąc nic nie odparła, tylko zaczęła się machinalnie bawić ogromnym brylantem swego kolczyka.

— A gdyby — zapytała nagle po długim namyśle — przyczyną tego byli Poryccy?... Tu wlepiła swój wzrok w twarz męża i zdawała się z gorączką oczekiwać jego zdania.

Ten długo milczał, zastanawiając się widocznie.

— Trzeba - odezwał się wreszcie — zbadać to... Wypada, byś szczerze o tem pomówiła z Wandą... Jeśli tak jest rzeczywiście... Jeśli Porycki...

Skorupski, wymówiwszy to nazwisko, silniej i gwałtowniej pobladł i mimo właściwej sobie flegmy, wyglądał, jak gdyby się zapienił. Urwał, potem kończył:

— W takim razie wypadnie nam coś zrobić, by sparować.

— Ale co? — podchwyciła z ciekawością żona.

Pan Jan nie odpowiedział, tylko ciągnął:

— Abdykować z niczego nie możemy... Wilma musi wyjść zamąż lepiej, niż Rena... Ja się boję, czy los Poryckich, i nasze z nimi stosunki, nie płoszą świata i...

Urwał i podchwycił dalej swym spokojnym, cichym, dystyngowanym przekonywującym i jakby wyuczonym i wymodelowanym na lordzie angielskim, tonem.

— Jeśli więc Wanda, zgrabnie wybadana, powie ci to samo, co ja myślę, to... to...

— To co?

— To musimy przecież — odparł pan Jan — zrobić coś, coby świat przekonało, że nie my jesteśmy tutaj winni, tylko oni. Wilma nie może...

— Ale co? — zapytała z nieopisaną ciekawością pani Skorupska, utopiona w mężu wzrokiem, w którym się malowało ślepe i bałwochwalcze weń zaufanie. Ten lekceważąco odparł:

— Przecież taki Porycki nam w niczem zawadzać nie może. Zrobimy poświęcenie... Tu chodzi o mnie nawet. Jestem pewny, że z chwilą, z którąbym był o Wilmę spokojny, odzyskałbym zdrowie... w części przynajmniej...

— Ale co? — zawołała zniecierpliwiona czekaniem, namiętna pani Matylda.

Pan Jan się obruszył, bo nie lubił, gdy żona skalę głosu podnosiła.

— Dotąd — mówił — milczeliśmy o Poryckim. Teraz wypadnie głośno go dyskredytować. Niech świat wie, co to za ptaszek.. To jedno, a drugie...

— Drugie?

— Zdwoimy posag Wilmy.

— Czy nas stać na to? — podchwyciła z gorączką.

— Zrobimy poświęcenie — odparł pan Jan.— Tu chodzi o naszą pozycję. Dzierżysława-Skorupscy nie mogą mieć córki...

Urwał, ruszył ramionami i kończył:

— Zresztą.. zdrowie moje.

— Jeżli tylko...

— Wybadaj Wandę Ja resztę biorę na siebie. Hrabia mi będzie fumy stroił..? Ja księcia znajdę dla Wilmy.

— Bo przecież za byle kogo wydać córki nie możemy.

— A jeżliby tak dalej poszło — dodał z przestrachem w głosie pan Jan — to... wiesz? Blondynki w rodzaju Wilmy prędko przechodzą...

— Co ty mówisz?

— Wszystko trzeba przewidzieć. Wilma jest jedyną, nadzwyczajnością! Takiej drugiej nie ma, ale... ale może podlegać prawom natury. Młodość i piękność jej, przy jej posagu, naszej

pozycji — ciągnął tonem dogmatu — przy mojem *savoir-faire*, składają się razem na całość, z którą jesteśmy panami sytuacji. Dotąd nie myślałem o tem. Dziś, czas już, by wyszła, wyszła dobrze i tak, jak nam odpowiadać będzie.

— Nie jak Rena! — dorzuciła z przekonaniem pani Matylda, wstając i przechodząc do biurka, przy którem zasiadłszy ciągnęła:

— Piszę do Wandy. Niechby przyszła... Opuszczać cię nie mogę. Pogadamy we troje... Jeśli ona powie to samo, co ty przypuszczasz...

Nie dokończyła, tylko uchwyciwszy pióro, zaczęła niem posuwać po lśniącym welinie.

II.

Pani Wanda Choryńska była rówieśniczką pani Matyldy i przyjaciółką Skorupskich. Prowadziła dom na wielką skalę, a rywalizując z panem Janem w wykwintności przyjęć i sposobu utrzymywania tak zwanego *train de vie*, żyła z nim w najlepszej harmonji.

Pan Jan Dzierżysława-Skorupski przedstawiał bowiem w jej oczach prototyp dystyngowanego światowca i tego, co najwyżej ceniła w mężczyźnie, zwanym przez Francuzów *un homme du monde*. On też wzajemnie, nad wyraz próżny osobiście, nie uznający żadnej nad siebie pod względem salonowym wyższości, przyznawał pani Wandzie bardzo trafny sposób patrzenia na rzeczy tego świata i z pomiędzy swych znajomych i przyjaciół, jej jedynie zdanie brał pod uwagę w swych rozlicznych planach i kombinacjach.

Pani Choryńska wiedziała o tem.

Dnia tego siedziała ona w swym zbytkownym buduarze naprzeciw młodego i przystojnego mężczyzny, którego sprytne oblicze pociągało

bystrością, przerażając prawie równocześnie zanadto wielką jej dozą. Młodzieniec ten, mogący liczyć do trzydziestu lat wieku, przystojny, blondyn o rudym i delikatnym zaroście, o wykwintnych manierach, sposobem zachowania się, niedostrzegalnie uniżonym, a jemu nie z natury właściwym, zdradzał jakby zależne swoje w tym salonie stanowisko. Tłumaczył on coś z zapałem swej towarzyszce, zagłębionej w poduszkach pluszowej kanapy, gdy strojny lokaj w kamaszach i aksamitnym fraku wsunął się do pokoju i na srebrnej tacy podał pani domu list mówiąc:

— Od państwa Skorupskich.

Pani Choryńska rozerwała kopertę i z pośpiechem odczytała kilka słów, napisanych na bilecie. Rysy jej pulchne i rozkoszne ściągnęły się lekko. Pokrył je wyraz jakby troski Rzucając niedbale bilet na saski półmisek, stojący na stole, odezwała się do towarzysza:

— Wystaw sobie, doktorze, ten nieoceniony, ten niezrównany pan Jan znowu ma się gorzej. Pisze mi żona jego, bym przyszła dzisiaj do nich.

Spojrzała na doktora. Ten ciekawy wzrok w nią wlepił, jak gdyby nie wiedział, o kim mówiła, więc zapytała:

— Doktór znasz przecież pana Jana?

— Nie.

— Pana Jana Skorupskiego? — powtórzyła ze zdziwieniem dama.

— Czy może teścia hrabiów Poryckich? — zapytał ciekawie doktór.

Panią Choryńską to pytanie zelektryzowało. Żywe jej oczy zabłyszczały niezmiernym interesem.

— Czy może ich znasz, kochany doktorze? — zapytała, podnosząc się na siedzeniu.

— Znam... to jest... Brat mój sąsiaduje z nimi na Wołyniu.

— Czyż tak? — podchwyciła kobieta, ożywiając się z sekundy na sekundę i magnetyzując wzrokiem gościa. — W takim razie — ciągnęła — nie puszczę cię, aż mi nie powiesz wszystkiego, co wiesz o nich. Ja od lat trzech w gorączce czekam na kogoś, któryby był u źródła poinformowany.

— Nie wiem, czy ciekawość pani zdołam zaspokoić...

— Ach! panie. Ja jestem taką przyjaciółką pana Jana, ich obojga...

— A! — wykrzyknął, jakby pomięszany doktor.

Pani Wanda zrozumiała ten wykrzyk.

— Ale to nie przeszkadza, — zawołała z pospiechem osoby ciekawej — że o nim i o nich bezstronnie mówić mogę.

— Chyba... — bąknął doktor.

Oczy kobiety połyskiwały. Czuła się u źródła, mającego jej odkryć prawdziwe przyczyny różnych intrygujących ją w życiu przyjaciół, okoliczności. Pan Jan od lat trzech nie widywał się z zięciem, pani Matylda nie widywała córki. Świat różnie i zawsze inaczej o tem mówił, a ona chciała znać tę tajemnicę, pragnęła zgłębić tę jedyną ujemną i ciemną kartę świetnej egzystencji Skorupskich, jej przyjaciół i światowych rywalów. — Dwa wykrzyki doktora zaostrzyły jej ciekawość.

— Któż to jest ten Porycki? — zapytała po chwili.

— Jest to — odparł doktor — znany, sympatyczny, inteligentny i wyjątkowo uzdolniony człowiek.

— Tak? — szepnęła pytająco ze zdumieniem i jakby radością.

— Bezsprzecznie.

Nastało milczenie. Pani Wanda skupiała jakieś myśli, chwilę dumała i zagadnęła:

— A nie wiesz, doktorze, dlaczego Poryccy są poróżnieni z rodzicami? Pan Jan, taki zacny, taki rozumny, taki uczciwy i szlachetny... taki...

— Kto? — przerwał rubasznie doktor.

— Pan Jan Skorupski.

— Zupełnie inne mają o nim — zawołał bez namysłu — wyobrażenie w okolicy państwa Poryckich. Człowiek, który lat trzy pozostawia

własną córkę prawie w nędzy i o nią się nie zapyta, wątpię, by zasługiwał na epitety, któremi go tak pani hojnie obdarzasz — dodał z lekką ironją.

— Bo pan nie wiesz, doktor nie wiesz, — podchwyciła z życiem — co postępowanie jego tłumaczy...

— Czyż może być okoliczność, któraby takie postępowanie ojca.. tłumaczyła?.. Ja nie znam państwa Skorupskich, ale znam Poryckich, nie znam tego pana Jana, ale znam Poryckiego i panią Renę. To mi wystarcza.

— Mylisz się doktor — zawołała pani Wanda — Skorupscy tak się zawiedli na Poryckim, iż ich rozumiem..

— Ja zaś panią coraz mniej.. Byłabyś więc zdania...

— Posłuchaj doktorze! - podchwyciła z nieopisaną werwą, zarumieniona kobieta.—Nie lubię, by pana Jana ktokolwiek mógł potępiać. Jeśli chcesz więc, to ci doktorze opowiem w krótkości, co wywołało słuszny gniew Skorupskich, na który mi twoje zapewnienie, że Porycki jest... człowiekiem, otwiera oczy..

— Słucham... choćby dla tego, że wiedzieć wszystko winno być zasadą ludzi rozumnych.

— Słuchaj! W twojej pozycji winieneś znać *à fond* kulisy...

Tu pani Wanda zaśmiała się, poprawiła na kanapie, odpoczęła i ciągnęła:

— Bardzo mi zależy na tem, byś doktor zmienił przekonanie o tak zacnym, tak miłym człowieku, jak pan Jan. Gdybyś go znał! *Quel charmant homme!...* Ale Skorupscy są w niezwykłej pozycji, która jest jedyną.. Niby bardzo bogaci, nie są nimi.

— Słyszałem... owszem...

— Słyszałeś doktor, że są miljonerzy, tak nie jest — podchwyciła pani Choryńska. — Cały majątek należy wprawdzie do pani Skorupskiej, jedynaczki, ale rodzice jej żyją i trzymają wszystko... Skorupscy mają dochody, ale nie mają fortuny. Ztąd wyrodziła się dziwna pozycja. Panny Skorupskie, partje, rzeczywiście nie są niemi na razie.. To nie może jednak wpływać, by Skorupscy bardzo wysoko ich nie cenili. Wydając pierwszą córkę za Poryckiego, człowieka z tytułem, sądzili, że tem wzmocnią swoje enigmatyczne stanowisko. Tymczasem zachwiali je. Jakkolwiek wypłacili cały obiecany posag zięciowi, świat widząc go w potrzebie, sądzi... inaczej. Poryckiego stan majątkowy jest przyczyną, że młodsza córka Skorupskich nie znajduje partji i słusznie tenże ściąga gniew i oburzenie rodziców.

Doktor się uśmiechnął i podchwycił z ironiczną werwą, której widocznie ukryć nie umiał.

— Porycki więc winien, że nie jest dość bogatym, by światu co do drugiej panny Skorupskiej mydlić oczy?

— Jesteś doktorze...

— Bo — zaśmiał się młodzieniec — pretensja tych państwa do Poryckich...

— Jest najprostszym wynikiem — podchwyciła czerwieniejąc dama — ich pozycji światowej. Pan Jan, nie milioner, zdołał siłą swego *savoir faire* zająć stanowisko człowieka, bardzo bogatego i nieposzlakowanego. Pragnął zięcia, któryby po jego myśli szedł, a tymczasem dostał człowieka, widocznie nie chcącego czekać na spadki, tylko... swojemi złemi interesami chwiejącego jego stanowiskiem i światowym kredytem. Nadto trzeba panu wiedzieć, że pan Jan jest *tout ce qu'il y a de plus gentilhomme*. Nie rozumie, jak można być w interesach, w długach, jak można...

Doktor zaśmiał się głośno.

— Pan Skorupski — zawołał — podobno wydaje rocznie do trzydziestu tysięcy rubli, to jest dziesięć razy tyle, ile mają w tej chwili Poryccy. W tych warunkach...

— Pan Jan jest genjuszem — zawołała nie pozwalając doktorowi skończyć — i wydaje może połowę, która jednakowoż ten efekt robi...

— Aaa..

— Doktor jesteś uprzedzony!

— Każdy nim byłby, — odezwał się poważnie — ktoby znał przejścia Poryckich w celu utrzymania się przy fortunie i słyszał o wystawnym sposobie życia państwa Skorupskich.

— Ależ oni do tego życia przywykli. To życie jest koniecznością socjalną... — zauważyła pani Wanda, usiłując przekonać doktora.

— Niechby! Ale o cóż się gniewają na Poryckich?

— O to, że im szkodzą.

— Hahaha! czem?

— Jak to — zawołała z oburzeniem pani Choryńska — nie rozumiesz pan? pan! człowiek *du monde?*

— Nie! — bąknął, nagle się mięszając doktor.

— Porycki, jako dobry zięć, powinien nie ratować fortuny na Wołyniu, tylko udawać pana, jakim będzie.

— Ha! ha! Tego chcą? — zaśmiał się doktor.

— A! naturalnie!—zawołała pani Choryńska z przekonaniem. — I ja tego bym na ich miejscu wymagała. Koniec końców, rezultat jest taki, że nikt, bury pies się nie spyta o pannę Skorupską, bo każdego przestrasza los Poryckiego, a nie każdy wie, że Janowie co do grosza wypłacili to, co obiecali. Ta okoliczność

nawet, jak mi pan Jan to nieraz mówił, jest przyczyną choroby jego.

— Cóż jemu właściwie brakuje? — podchwycił doktor z obudzoną ciekawością.

— Doktorzy nie wiedzą.

— Nie wiedzą? — zapytał znacząco, poprawiając się na fotelu i opuszczając oczy na swoje ręce, które zaczął zacierać.

— Nie — odparła Wanda — co jeden na prawi, to drugi popsuje. Co Karlsbad polepszy, to zima pogorszy.

— Objada się więc poprostu?

— *Fi donc* doktorze. Co za szkoda, że nie znasz tego pana Jana...

Urwała, zamyśliła się i dodała.

— Mam myśl. Wiesz co? Czybyś ty, doktorze mu nie pomógł? Twój system.. twoja metoda..

Młodzieniec spoważniał. Zaczął muskać wąsika i bystrzej się od czasu do czasu przypatrywać swej klientce.

Ona ciągnęła.

— Muszę cię zapoznać z panem Janem.

— Któż go leczy?

— Teraz Stypulski.

— Stypulski! — powtórzył doktor z dwuznacznym uśmiechem.

— On taki salonowiec, taki elegancki...

— Kto?

— Pan Jan! Pasowalibyście doskonale do siebie. On światowiec i ty doktorze, *un médecin du monde par excellence.* Pan Jan jest to jeden z najoryginalniejszych ludzi, jakich znałam...

— Wyglądasz pani nim zachwyconą i on sam zaczyna mnie...

— *Il est charmant.* Jest to jedyny człowiek w Warszawie z gruntu salonowy, a przytem rozumny. Ślepy wyznawca form, galant, *viveur*, ma on swój odrębny sposób ślizgania się po wierzchu wszystkiego, że tak powiem, co mi się niezmiernie podoba. Katastrofę w jego życiu stanowiło, gdy lokaj stuknął talerzem podczas proszonego obiadu, a odchorowywał każdą nieakuratność w swem gospodarstwie, bo jest on... rolnikiem. Pojmujesz doktorze, jak dla takiego człowieka wygodnym jest zięć, walczący o utrzymanie się przy kawałku ziemi. Pan Jan nie zrozumie innych ludzi, tylko światowców, nieznających tysiąca bied i nędz życia. Ah! Jakbyś mu się doktor podobał i on tobie...

Młodzieniec słuchał i nie przerywał, bo go widocznie przedmiot rozmowy coraz więcej interesował. Pani Choryńska kończyła:

— Widzisz więc doktorze, żeś go źle sądził. Porycki powinien był żyć tak, jak żyją rodzice. Wydawać swoje, a korzystać z ich pozycji i ich dochodów, ale nie rzucać się w ratowanie dziedzicznej fortuny kosztem opinii Skorupskich,

kosztem losu ich drugiej córki. Pan Jan, trzeba ci jednak wiedzieć doktorze, że Dzierżysława-Skorupscy, to nie *peu de chose*, a pani Janowa jest z domu... *passons outre*, sądził, że nazwisko i rzeczywiste stosunki zięcia wzmocnią jego światową pozycję, uzurpowaną w *high life* siłą jego sprytu, uroku jego osoby i jego przyszłej rzeczywistej, a dziś pozornej fortuny, tymczasem... Ruszyła ramionami i podchwyciła.

— Jest w fatalnem położeniu. Drugą córkę chce równie dobrze wydać. a majątkowo wydać ją już lepiej musi... Synowie rodzin boją się losu Poryckiego....

—Nie jest on do pozazdroszczenia — odezwał się doktor poważnie.

— Właśnie. I to jest przyczyna choroby pana Jana. On bowiem jest przytem żółciowy, a tak przez życie popsuty...

— Naturalnie - podchwycił doktor — jeśli, jak pani mówisz katastrofą w jego życiu było stuknięcie talerzem...?

— O, tak! Cóż dopiero hrabia zięć, którego chcą co rok licytować.

— Więc pani wiesz wszystko? — zawołał młody mężczyzna.

— Mniej więcej. *Ça se sait*. Pan Jan nie rozumie takich okoliczności. Onby wolał wszystko, niż tę ciągłą ruinę nie mogących się już zrujnować Poryckich. Tutaj błyszczą, pani Ja-

nowa chodzi w brylantach, króre warte są stotysięcy, a tam. .

— Licytują zięcia... — szepnął z uśmiechem doktor

— Hrabiego. który — dodała dama z pośpiechem—miał olśnić nowym blaskiem ich blichtrową egzystencją. Pan Jan tak dba o te pozory, o... Ah! gdybyś mógł wymyślić coś, coby mu zdrowie przywróciło. Dziś będę u nich. *Je ferai votre éloge.* Ja tobie tylko doktorze zawdzięczam moje względne zdrowie. Jeżli mnie wybawiłeś od tych migren, dlaczegoż byś jego nie miał uwolnić od tych cierpień...

— Żołądkowych?

— *A ce, qu'il paraît...*

Doktor zamyślił się i dalej pomuskiwał tylko wąsika, spoglądając z ukosa na panią Wandę.

— Ona - myślał—zrobi moją karjerę w tem mieście, potrzebującem widocznie doktora — *un médecin du monde*, jak się wyraziła. On był takim i nie omylił się, wybierając Warszawę, jako arenę debiutu. To towarzystwo, cierpiące, jak jego klientka przy nim siedząca, jak opisywany pan Jan, potrzebowało innych doktorów, nie takich, jakim był sławny Stypulski.

— Bo cóż — zapytał po chwili pani Choryńskiej — taki Stypulski? Jestże on w stanie

zrozumieć organizm *tellement raffiné*, jak pana Jana, sądząc z pani opisu?

— *Voilà! Voilà!!* Musisz go leczyć — zawołała kobieta z radością — Ci doktorzy nie mają pojęcia o naszych organizmach.

— *Fin de siècle!* — z uśmiechem dorzucił doktor i wstał z krzesła, zabierając się do wyjścia, ze swobodą i elegancją, właściwą tylko wielkim panom i wielkim szarlatanom.

III.

Kilka godzin później w gabinecie pana Jana bawili prócz niego pani Choryńska i pani Matylda.

Skorupski siedział na swym fotelu widocznie jeszcze cierpiący, ale wyświeżony.

Wszyscy troje zdawali się być po długiej i ożywionej dyskusyi. Olbrzymia lampa majolikowa, stojąca na stole, oświecała zmęczone pracą myśli, oblicze pana Jana, zalterowaną, namiętną twarz jego żony i rozpromienione, choć już nie młode, ale świecące oczy pani Wandy.

Po długiem milczeniu, noszącem cechy odpoczynku koniecznego po wyczerpaniu jakiejś spornej materji, zabrała głos pani Choryńska, zwracając się do zgnębionego pana Jana swą zwykel pogodną, a tryumfującą wieczora tego, fizjognomją.

— Znasz, kochany pan — mówiła swym młodym organem — moją dyskrecję? Nie mię-

szam się nigdy do tego, co mnie nie obchodzi. Nie radzę, gdzie mnie o radę nie proszą. Ignoruję, o czem mi nie donoszą Ale... chciałeś? Wiedz wreszcie! Dziś właśnie mówiłam o tem z pewną osobą, co do Poryckich bardzo dobrze poinformowaną, wpływową i...

— Z kimże? — podchwyciła zaniepokojona już pani Matylda.

— Wiesz! droga — czemprędzej odparła przyjaciółka — że nigdy bajek nie robię. Dość wam będzie wiedzieć, że osoba ta — tu zmieniła ton i zaczęła cedzić — jest za Poryckimi, potępia was, potępia ciebie, panie Janie.. *vouz comprenez*, jaką z nim stoczyłam walkę? Chrypki dostałam...

Pan Jan się uśmiechnął wyrazem wymuszonym, bo mu się śmiać nie chciało, ale właśnie dlatego chodziło mu z jednej strony o niepokazanie ogromu zgnębienia i irytacji, jakich doznawał, a z drugiej o niestracenie w oczach światowej damy reputacji dżentelmana, który dawno zdystansował wszystkich Anglików, dumnych z zimnej krwi i umiejętności panowania nad sobą Uśmiech ten pełen kokieterji, zabytek swobodnej przeszłości, pomarszczył niemiłosiernie twarz pana Jana. On jeden uwydatniał wiek tego mężczyzny, który swego oblicza przed zmarszczkami z sukcesem bronił, póki się ono do śmiechu nie ściągało. Pan Jan o tem wiedział i śmiać się od pewnego czasu

już nie lubiał, stąd też uśmiech jego krótki, nienaturalny przedstawiałby dla fizjologa całe studjum.

— Z kimże? — zapytał. — Jeśli pani bajek nie robisz, to ja...

— Oh! — zawołała z kokieterją pani Wanda. — Jesteś pan dżentelmanem z krwi i kości i zrozumiesz mnie. Jeśli wam nie powtarzam nazwiska tego pana... to. .

— Więc to pan był — podchwyciła pani Matylda.

— To nie dlatego — kończyła dama — żebym wam nie ufała, tylko dlatego, że jestem niezdolną do uczynienia rzeczy mi wstrętnej. Wszystko powiedzieć można, ale *les noms* .. przysłowie panie Janie?

— *Nomina sunt odiosa*...

— *Odiosa*... *voilà* — podchwyciła. Dość ci więc będzie wiedzieć, że ten pan, to jegomość wcale poważny wpływowy, mający szerokie stosunki i wielką finezję . *un homme*..

Urwała, bo Skorupski bladł w oczach, a pani Wandzie o to tylko chodziło Znała ona jego niesłychaną drażliwość pod względem tego, coby ktokolwiek mógł jego osobie zarzucić. Wprawdzie mogła go łatwo pocieszyć, mówiąc, kto był tym człowiekiem, wtrącającym się do jego prywatnych stosunków, ale wstrzymała się, bo znajdowała dnia tego pewną przyjemność

rzadko ją opanowującą w dręczeniu przyjaciela. Pan Jan za ludzi uważał tylko salonowców, a salonowcy prawie go uwielbiali. W tem polegało udręczenie iż przyjaciel jej Dzierżysława-Skorupski w tym niezdradzonym przez nią krytyku, widział naturalnie światowca, bo z kimże innym mogłaby ona o nim rozmawiać?

Nastąpiło milczenie. Pan Jan spojrzał znacząco na żonę, aby zmiarkować, czy ta, orjentująca się zwykle tylko grą jego fizjognomji, jej jedynie w swych subtelnościach znanej, pojmuje rozmiar katastrofy.

— Słyszysz? — pytał wzrok jego — świat zaczyna się wtrącać w nasze stosunki. Świat ma coś do zarzucenia mnie... mnie! — który lat trzydzieści blisko byłem nietykalny, a dziś mam, jak Achilles piętę t. j. Poryckich.

Pani Choryńska swym nad wyraz bystrym i przenikliwym wzrokiem, wytresowanym w świecie, podchwyciła spojrzenia małżonków i zrozumiała je chyba, bo nieuchwytny, ale błogi wyraz okrasił jej rumiane oblicze.

— A teraz! — zawołała. — Wyczerpawszy kwestją Poryckich, *mes chers amis...*

— Owszem, — podchwycił, siląc się na pozory dobrego humoru pan Jan — ciekawy był bym wiedzieć, cobyś pani, taka mądra, na naszem miejscu zrobiła?

— Chcecie, bym była szczerą?

— Najszczerszą! — zawołała pani Matylda

Pani Choryńska się namyśliła.

— Oh! — zawołała — cóż może być trudnego dla was? Nie ma czem sobie głowy zaprzątać. Jeśli nie chcecie pogodzić się z Poryckimi... - tu urwała, potoczyła badawczem spojrzeniem po obliczach kilkunastoletnich przyjaciół i ciągnęła — to napiszcie do papy... mamy... cioci jednej, lub drugiej... *doublez la dot de Wilma*..

Urwała, bo ją uderzyło rozpromieniające się oblicze pana Jana.

— Miałeś pan tę samą myśl? — zawołała.

— *Madame! les beaux esprits* — bąknął dyplomatycznie pan Jan.

Pani Wanda poprawiła się na krześle i zagadnęła:

— Ale skoro już jesteśmy na drodze otwartości i wyznań, to czego w tobie *cher monsieur Jean* nie rozumiem, to tego dyplomatycznego milczenia o Poryckim. Tem świat najwięcej intrygujesz. *Un homme, comme vous*, jeśli się gniewa, to mówi otwarcie, o co się gniewa.. — tu urwała, potoczyła znów po obecnych badawczym wzrokiem i podchwyciła: — A teraz *j'en ai assez.* Przechodzę do daleko ważniejszej kwestji. Chodzi mi o twoje zdrowie, panie Janie. Posłuchajcie!

Pani Matylda z ciekawością skierowała oczy na przyjaciółkę, a ta ciągnęła.

— Wiecie, jak cierpiałam na migrenę?

— Ah! prawda! — wtrąciła pani Skorupska — od pewnego czasu...

— Słuchajcie! Chcę, byś pan zmienił doktora i system kuracyjny.

— Ależ wszyscy doktorzy, droga pani — podchwycił poważnie Skorupski — to zbiry, to.. Czy ten, czy ów, to samo! Ja już straciłem wszelką nadzieję wyzdrowienia.

— A więc tem lepiej. Tem łatwiej ci przyjdzie zmienić doktora. *Voyez vous?* doktor! To się zmienia, jak parę rękawiczek. Gdybym się była trzymała mojego Puciaty, byłabym już na migrenę umarła. Słuchajcie! — Gdy byłam w jesieni... w lecie raczej, w Paryżu, poznałam tam bardzo przystojnego młodzieńca, *un lovelas*, niejakiego pana Sielenia, Litwina. Ojciec jego stracił cały majątek... *A ce, qu'il parait*, był to człowiek bogaty, ale i praktyczny. Zbankrutowawszy wziął się na serjo do wychowania dwóch synów. Jednemu powiedział „ty będziesz adwokatem“, a drugiemu „ty będziesz doktorem“. Uważasz pan? jaki rozum, bo dziś, to tylko adwokaci i doktorzy..

— *Qui nous plument* — dorzucił pan Jan.

— Otóż ten pan Sieleń, którego poznałam w Paryżu — ciągnęła dama — był to ten doktor,

— Doktor lowelas — wykrzyknęła ze zdziwieniem pani Matylda.

— *Parfaitement*. Teraz... tacy będą. Czas już, by zniknęli tacy Stypulscy, takie Puciaty, z ich „pani dobrodziejko“.. Świat się cywilizuje.. Zobaczysz pan, panie Janie, że za lat kilkanaście *il n' y aura que des gens du monde*.

— Będzie można wtedy żyć przyn jmniej i chorować — wtrącił Skorupski z przekonaniem.

— Otóż — ciągnęła pani Choryńska — Sieleń jest zwolennikiem metody homeopatycznej, połączonej z nową metodą, której nazwiska nie pamiętam. Ale ta nowa metoda, *c'est tout ce qu'il y a de plus à la mode à Paris*...

— Homeopatja szkodziła Janowi — wtrąciła pani Matylda.

— Ależ *chere amie* — oburzyła się przyjaciółka — to wszystko zależy od sposobu jej użycia. Puciata o mało mnie nią nie zabił. Ten homeopata, jakże on się nazywał panie Janie?

— Sturm!

— Sturm mało mnie nie otruł...

— To weterynarz! — dodał z najwyższem przekonaniem w tonie Skorupski.

— A Sieleń mnie wyleczył. Uwierzycie mi? — zapytała, a że nikt nie odparł, tylko milczeniem prosił, by dalej mówiła, więc ciągnęła: —

— Odkąd przybył Sieleń z Paryża i odkąd poddałam się kuracji... nie miałam migreny!

— Trzeba Jasiu — zawołała już przekonana pani Matylda — abyś spróbował tego Sielenia.

— *Et puis* — czemprędzej podchwyciła pani Choryńska - dla pana, który ciągle masz do czynienia z doktorami, *quel plaisir* być *traité* przez człowieka doskonale wychowanego, przystojnego, miłego. Ah! jak jest miłym w obejściu! *Un homme du monde*, jakich mało.

— Sieleń? — zapytał ciekawie pan Jan — bo pani masz dar przekręcania nazwisk tych ludzi.

— Tych ludzi! — odparła ze śmiechem pani Choryńska — ale nie Sielenia! Sieleń *parfaitement*. To doktor, to przyjaciel, to *causeur*, to...

— Przyznam się pani — zauważył Skorupski — że ja lubię, by każdy był sobą.

— A więc?

— Doktor doktorem!

— *Je ne vous comprends pas.*

— Doktor, *chere madame* — odrzekł pan Jan z pewnością siebie, cechującą się samym tonem — powinien mieć *les allures* człowieka swojego fachu.

— To znaczy?

— Powinien być doktorem. Jakże pani wytłumaczyć?

— Ja także wystawić sobie nie mogę — podchwyciła pani Matylda — doktora, jak go opisujesz moja droga. Doktor *un charmeur!* ah! ha, ha, ha!

— Zadziwiacie mnie. Pan Sieleń, będąc doktorem, może być zarazem bardzo miłym mężczyzną.

— Co ty dziś wygadujesz! — obruszyła się pani Matylda. — Naprzód, doktor nigdy na mnie nie robił wrażenia mężczyzny, powtóre...

— Ha! ha! Słyszysz, panie Janie?

Skorupski wtrącił:

— Moja żona idzie za daleko — odparł z dowcipnym uśmiechem na ustach — ale, co do mnie, ciekawym poznać tego Sielenia, choćby tylko dlatego, że na pani robi wrażenie mężczyzny.

— *Oh! vous êtes toujours le même!* — zaśmiała się pani Choryńska.

— Niby doktor... bąknął Skorupski — to tylko doktor.

— *Il n'a pas de sens* — dodała pani Matylda z przekonaniem — przynajmniej dla nas.

— Zawsze Malciu - odezwał się Skorupski — zanotuj jego adres.

— August Sieleń — *de Sieleń* — poprawiła pani Wanda — Nowogrodzka 90.

Wtem drzwi się uchyliły i wszedł pompaty-

cznie lokaj z listem na srebrnej tacce, którą przedstawił pani domu, mówiąc:

— Od hrabiny Warewskiej.

Ta uchwyciła kopertę, rozerwała ją i czytała. Czytając, uśmiechała się radośnie. Kolory uderzyły na jej twarz, jakby z doznanego wzruszenia. Podała list mężowi. Kiedy go tenże odczytywał, pani Choryńska studjowała twarz jego, ale ta nic nie mówiła.

Gdy skończył, wręczając list nazad żonie, odezwał się głosem jednostajnym, ale w którym przecież drgała też lekkiego wzruszenia nuta:

— Sądzę, że możemy się podzielić z taką przyjaciółką, jaką jest pani Choryńska, tym projektem? Odczytaj!

Pani Matylda zaraz przystąpiła do rzeczy.

— „Młodzieniec — czytała — o którym ci nieraz mówiłam, przyjechał. Sądzę, że lepiej będzie, gdy się młodzi ludzie spotkają raz pierwszy ze sobą w poufnem i mniejszem kółku. Urządzam więc jutro *un petit thé*. Przyjdźcie wcześniej, a Wilma — nie wątpię — że będzie *brillante comme le soleil*“.

— To pisze Warewska? - spytała pani Choryńska, której oczy zabłyszczały dziwnym blaskiem.

— Tak, a tym młodzieńcem jest siostrzeniec jej, książę Rudomin — odparła z tajoną, lecz

mimo to wybitną dumą pani Matylda — znasz go?

— Nie! — sucho odrzekła, jakby podrażniona przyjaciółka i po sekundzie, przywołując na swoją twarz dawny wyraz, zagadnęła: — A więc! Czego wam brak? Będziecie mieli hrabiego i księcia.

Pan Jan lekko zbladł i zacisnął usta

— Pani — odezwał się po pauzie z poważną pozą — czy mnie znasz, czy nie jeszcze?

— Dlaczego? — zapytała zmięszana jego tonem pani Wanda.

— Skoro przypuszczasz, że mi tytuł cokolwiek imponować może?

— Właśnie dlatego, że znam pana — odparła prawie wyzywająco przyjaciółka przypuszczam...

Skorupski formalnie pobladł, co tak przeraziło panią Choryńską, iż coprędzej dorzuciła:

- Zawsze tytuł jest tytułem. To nie jest może dla ludzi wyższych, jak pan, czemś wielkiem, ale jest czemś.

— Otóż mnie pani nie znasz widzę nie pierwszy raz - podchwycił pan Jan, gładząc obojętnie swe śliczne faworyty — tytuł dla mnie jest ujemną stroną. Paliłbym się dla Wilmy do tego Rudomina, gdyby nie ten nieszczęśliwy tytuł. Człowiek, to wszystko! — zawołał z poważną emfazą.

— A dopiero co — podchwyciła przyjaciółka z szyderczym prawie uśmiechem — mówiłeś pan, że doktor...

— To Madzia. Ja?... Dziwię się, że pani mnie jeszcze nie znasz.

Pani Wanda spuściła oczy, by te nie zdradziły, co w tej chwili za myśli jej głowę piorunująco pruły. I ona miała dwie córki, przystojne, bogate, lepiej urodzone. Ona marzyła o zięciu hrabiu, lub księciu. Nie miała ani jednego, ani drugiego. Dlaczegoż oni? — myślała — oni? Serce jej wzbierało żółcią — czuła. Ostatnie słowa pana Jana ją dobijały. Znała całą ich hipokryzję — i pytała siebie — czy może on jej zawdzięczał to powodzenie w życiu, którem go otoczonym widziała. Tę hipokryzję milcząc konstantowała dotąd. A teraz miała dziką ochotę wyrzucić ją przyjacielowi. Raz pierwszy mu pokazać, że mógł mydlić oczy innym, ale nie jej, jej, chodzącej finezji i przenikliwości pod względem światowych zakulisowych próżności i małostek. Ale nie — pomyślała — przypominając sobie paradoks Talleyranda: „Panujemy tylko nad tymi, którzy sądzą, że ich nie znamy.“

— Zapewne! Żartowałam! — zawołała ze swym dźwięcznym swobodnym śmiechem. — Pan, człowiek tak rozumny! hołdowałbyś próżnościom godnym bankierów? Ja? kobieta! a marząc o zięciach *je m'en fiche des titres*.

Pan Jan spojrzał ukradkiem na żonę, ale to spojrzenie, choć było rzucone przez genjalnego pana Jana, podchwyciła przyjaciółka.

Poczerwieniała, zacisnęła usta, uczuła gorąco idące jej wewnątrz od dołu do góry, uczuła we wzroku iskry, któreby ją zdradzić mogły, więc opuściła oczy na ziemię.

Pan Jan nie zauważył zmiany na jej obliczu, bo pani Wanda była zawsze rumianą i zawsze, ak twierdził, zanadto w gorsecie ściśniętą.

IV.

Doktor Stypulski objeżdżał swych chorych własnym powozem, w którego głębokości się zatopił. Nie długo myślał, od którego ze swoich klientów zacząć, bo zaraz stanął mu w pamięci pan Jan. Ten jedyny jego chory, którýby był zdrowym—sądził—jak ryba, gdyby w jego pozycji można było być zdrowym

— Bądź co bądź — myślał otyły doktor, poprawiając okulary i sadowiąc się wygodniej na zbyt ciasnych poduszkach powozu — tacy chorzy stanowią podporę medycyny. Pan Skorupski dawał mu rocznego zarobku tysiąc rubli. Gdyby miał takich dziesięciu, nie potrzebowałby poprostu być doktorem. Zajęliby mu dziesięć godzin czasu tygodniowo, czyli nic. W tem doktor lekko pobladł, przypominając sobie, że pan Jan był jego klientem od roku tylko, a więc, że mógł i nie być nadal. Zastraszył

się formalnie i zadał sobie pytanie stanowcze które brzmiało:

— Czy go wyleczyć, czy nie?

Długo nad tem i głęboko się zastanawiał, aż wreszcie zaczął sam ze sobą taki monolog:

— Wyleczyć takiego człowieka jest niepodobieństwem bo trzebaby wpierw zmienić jego samego radykalnie i zmienić stosunki, w jakich żyje. Jeźli mu nie pozwolę się objadać zabójczemi rzeczami dla jego organizmu, to wpadnie w zły humor, w którego konsekwencji nastąpi większa drażliwość... większy wylew żółci... migreny... etc... etc... Człowiek powinien równomiernie żyć wszystkimi swymi organami. Jakże zaprowadzić tutaj taką kurację, którąby wzięła w obroty i głowę i ciało tego niepojętego sybaryty, dostającego migreny, jak kiedyś z przyczyny, że furman się upił i o pięć minut później zajechał?... ha! ha! ha!?

— Są ludzie i ludzie. Niech sobie choruje, bo chorować musi. Egoiści, którym na świecie za dobrze, chorują wszyscy. To prawo natury...

Zamyślił się i zapytał znów siebie.

— Ale gdybym mu kazał wstawać o ósmej i zająć się czemś poważnem do południa..? Czemże on się zajmie, coby mu nie pozwalało myśleć o śniadaniu i o swoim zdrowiu? pal djabli!!

Machnął ręką w rozdrażnieniu, a w chwilę

później powóz się zatrzymał przed domem zajmowanym przez Skorupskich.

Pana Jana zastał, czekającego go już niecierpliwie

— Cóż nowego? — zapytał — czyżby od onegdaj?

— Gorzej! gorzej! — wycedził pan Jan, krzywiąc się i obejmując doktora złem i nienawistnem spojrzeniem.

— Cóś pan jadł wczoraj, onegdaj, dzisiaj? — podchwycił doktor, siadając naprzeciw pacjenta, tonem ostrym i niedbałym, właściwym renomowanym eskulapom, a wywołanym spojrzeniem pacjenta.

— Nic.

— Jakto?

— Nic takiego... — bąknął pan Jan, ale doktor mu przerwał:

— Ja się nie pytam o „takiego“, tylko proszę mi powiedzieć, coś pan jadł wczoraj na obiad?

— Obiad jadłem u księżnej Rozumowskiej, to jest siedziałem przy obiedzie, bo prawie nic nie jadłem.

— O to „prawie“ mi chodzi. Zupa?

— Zupa była na buljonie, potem paszteciki w konchach..

— Jadłeś je pan?

— Oczywiście..

— Wszakże mówiłem panu, że tłuszcze... — zawołał zirytowany doktor — Jak kto tak chce wypełniać...

Skorupski ściągnął brwi. Nie znosił tego tonu Stypulskiego, tego lekceważącego sposobu pytania i mówienia. Przerwał mu.

— Panie! Jeśli dwa paszteciki mniejsze od pańskich spinek u rękawów mają mi szkodzić, to poprostu nie wolno mi żyć.

— Tak! tak! nie wolno panu chodzić po proszonych obiadach, na których gadając, człowiek bezwiednie się objada...

— Ależ ja mam córkę... żonę... ja...

— To panu nie wolno jeść pasztecików na smalcu... Mówiłem to panu razy sto...

Nastąpiło milczenie, podczas którego Stypulski badał puls, język i oddech pana Jana. Ten mu się poddawał ze skruszoną miną i wlepiał w bezmyślnę jego fizjognomję trwożny wzrok.

— Cóż myślisz, doktorze? — zapytał.

— Nic! nic! Tłuszcz jest zabójczy dla pana... Zapiszę tu proszki... Proszę się tłuszczów wystrzegać.. — mówił Stypulski — biorąc się do pisania recepty, poczem nastąpiło jeszcze długie omawianie symptomatów choroby pana Jana. Dzierżysława Skorupski najdokładniej je opisywał eskulapowi z drobnostkową precyzją, jaka go we wszystkiem cechowała. Zadziwiał doktora tą troskliwością swoją o zdrowie i znajomością medy-

cyny, jaką sam posiadł w ciągu swego obcowania z medykami. Stypulski jednem uchem wprawdzie słuchał, ale udając zatopionego w myślach nad uwagami pana Jana, zgłębiał nasuwającą mu zawsze tę samą zagadkę, ile razy widział swego pacjenta. Zagadką bowiem wydawał mu się ten kult człowieka dla samego siebie. Pan Jan był jednym z najciekawszych jego kljentów. Nie miał dużo ich w świecie, do którego należał Skorupski, a chciałby wiedzieć, czy wszyscy ludzie z tych warstw społecznych, nieznających trosk i zabiegów, mają podobne rysy.

Wreszcie konsultacja się skończyła. Doktor *nolens-volens* musiał fachowo opowiedzieć panu Janowi tym razem wpływ pasztecika, smażonego na smalcu na jego organizm, nie mówiąc naturalnie, iż ten organizm był kompletnie trzydziestoletniem objadaniem się i dwudziestoma *saisonami* w Karlsbadzie przeinaczonym i zniszczonym.

— A teraz — odezwał się Skorupski — skorośmy skończyli kwestję swego nędznego życia, nie spiesz się doktorze i pogadajmy chwilę... Chciałem zasięgnąć od ciebie wiadomości, proszony przez pewną damę — mówił namyślając się nad słowami — co do osoby niejakiego doktora Sielenia...

— Doktora Sielenia! ha! ha! — zaśmiał się Stypulski i równocześnie ożywił.

— Znasz go? — zapytał pan Jan trwożnie.

— Jakże! kolega! panie! kolega!

— Jest że to dobry doktor?

— Ha, ha! Nie wiem panie, czy doktor...

— Nie rozumiem cię panie Stypulski... Przecież albo się jest doktorem, albo nie.

— Ha, ha! Tak! Tak niby być powinno. Ale... nie ma reguły bez wyjątku.

— Bądźże zrozumialszym, kochany doktorze.

— O cóż chodzi?

— Kto to ten Sieleń?

— To cała historja!

— Historja? — wykrzyknął pan Jan, uradowany, przewidując, iż złapie mądrą panią Wandę na gorącym uczynku popełnionej nierozwagi w wyborze Sielenia — Historja? — powtórzył — opowiadaj ją pan. Jestem wysoce ciekawy.. Mówiono mi, iż ma to być nowa znakomitość.

— Nowa znakomitość, ha! ha! — zaśmiał się na całe gardło Stypulski, i poprawiwszy się na krześle, jął opowiadać. — Doktor Sieleń, którego dyplomów nie widziałem, kształcił się podobno w Paryżu. To wystarcza, by zażywał wzięcia, o które my w pocie czoła ubiegać się musimy. Doktor Sieleń jest homeopatą — skompli-ko-wa-nym.

— Cóż to? — podchwycił pan Jan.

— Albo ja wiem — odparł doktor.

Jestże taki system?

— Nie słyszałem.

— A więc ?

— Ha ! ha ! W Paryżu, widzisz pan, w wysokich sferach towarzyskich ogromnego wzięcia doznaje niejaki D e v i v e doktor homeopata, którego cały świat uczony za szarlatana uważa. Ten pan, który na swych pigułkach zrobił miljony...

— Pigułkach ? — zapytał do najwyższego stopnia rozciekawiający się Skorupski.

— Pigułki zwane D e v i v e, któremi on tylko leczy - ciągnął Stypulski — są jakąś pobudzającą miksturą, którą udaje mu się kosztem organizmów przynosić względne i chwilowe ulgi, w niektórych cierpieniach ludzi tego popsutego i zgangrenowanego towarzystwa.

Pan Jan połykał słowa swego doktora i nie przerywał mu. Kwestja ta zaczynała go zajmować. Sieleń, jeśli był transplantatorem tych ożywczych pigułek dla ludzi, których Stypulski nazwał zgangrenowanymi, zaczynał być interesującym.

-- Mów doktorze ! mów ! — szepnął.

Stypulski ciągnął.

— Otóż ten Sieleń, niestworzony na doktora, tylko na panicza, był przez pewien czas pomocnikiem D e v i v e'a.

— Pomocnikiem D e v i v e'a?—szepnął przejęty pan Jan.

— Dostał się on do niego przez protekcję kilku wielkich dam, mieszkających w Paryżu, bo trzeba panu wiedzieć, iż ten Sieleń, to sprytna figura... przez baby ! przez baby ! panie ! Zna się on tak na medycynie, jak ja na poezji, ale zjawił się tutaj, rozpuścił bilety z... he ! he ! he ! he ! he !.. he ! he !...

— Bilety? - przerwał Skurpski niecierpliwie.

— Na biletach ma „homeopata nowej metody doktora Devive'a" ha ! he ! ha !

— Więc tej metodzie odmawiacie racji bytu ? — podchwycił Skorupski.

— Nie znamy jej Ale nas bawi ten pan Sieleń, który myśli, że mu się tu tak uda, jak Devive'owi w Paryżu. Warszawa to nie Paryż. Szarlatan znajdzie sposób zrobienia miljonów w Paryżu, ale...

— Więc pan D e v i v e'a uważasz za szarlatana ?

— Ależ naturalnie ! — oburzył się doktor — pigułki D e v i v e? co to? co w nich jest ? jaki sekret ? jaki skutek ? skąd działanie ? skoro w tych pigułkach nie ma nic... — mówił już zasapany, zapaliwszy się w ferworze.

— Robiono analizę ? — zapytał pacjent.

— Ależ naturalnie... -- odparł doktor i za raz znów dawnym szyderskim tonem pochwycił—

— nowa metoda? jaka metoda? jaka nowa? ha! ha! To panie szarlatany! Ale ten Sieleń zrobi fiasko. Otruje jednego i basta. Gruchnie po Warszawie i *aus Menelaus!* Sprytny! sprytny!! ale panie? U nas w Warszawie... Panicz? panicz! Ale u nas kto tam patrzy, jak doktor ubrany, jak się nazywa? nauka grunt!

— Więc doktor twierdzisz — podchwycił pan Jan tajemniczo — że ten Sieleń, to szarlatan?

— Szarlatan! Panicz, chciałby odrazu być wziętym, sławnym! odrazu bogatym! Ot i jazda do Warszawy z pigułkami D e v i v e.

— D e v i v e by mu je dał? — zapytał pan Jan, wierzący już widocznie w pigułki jego.

— Licho wie! A choćby dał? Toż to oszukaństwo, toż to rozbój, te pigułki... Analiza wykazała.

I po raz drugi opowiedział zapalony Stypulski zawartość pobudzających pigułek Devive'a.

. . . .

Wreszcie pan Jan został sam. Skoro tylko drzwi się zamknęły za Stypulskim, usiadł przy biurku i wziął się do pisania. Ale pani Matylda, która tylko czekała wyjścia doktora, weszła do gabinetu męża.

— I cóż?

— Nic! osioł! koronny osioł!

— Stypulski?

— Naturalnie!

— Ale cóż mówi?

— Że paszteciki!

— Paszteciki! ha! ha! Ci doktorzy!

— Rozbójniki! Piszę do Sielenia.

— Zdecydowałeś się? cóż się stało?

— Dowiedziałem się, że Sieleń jest uczniem sławnego D e v i v e'a z Paryża. Powtóre ten weterynarz Stypulski nazywa go szarlatanem. Więc mam wszelkie szanse, że to być może bardzo dobry doktor.

Nachylił się nad biurkiem i pisał dalej do pana d e S i e l e ń, *nota bene* po francusku, co mu już sprawiało pewną przyjemność, bo język ten znajdował o wiele łatwiejszym i grzeczniej wszystko powiedzieć pozwalającym.

V.

Pani Wanda Choryńska ulegała od pewnego czasu dziwnym względem Skorupskich uczuciom. Od kilku lat już, od owej pamiętnej epoki, w której Porycki starający się niby o jej córkę, nagle zwinął chorągiewkę i zaczął nadskakiwać Renie Skorupskiej by się z nią ożenić, pani Wanda ujrzała między sobą, a przyjaciółmi rodzaj przepaści, przed którą jednak zasłaniała oczy. Napróżno od tego czasu sama przed sobą tłumaczyła tak pana Jana jak i panią Matyldę, napróżno sprawdzała, iż oni bynajmniej i niczem się nie przyczynili w swoim czasie do zmiany w postępowaniu Poryckiego, napróżno robiła niemal wysiłki, by nie pokazać po sobie, dręczącej ją zawiści Czuła codzień silniej na dnie swego serca uczucie właściwe jej młodej jeszcze i namiętnej duszy, uczucie zazdrości, tem silniejsze im je więcej tłumiła, tem głośniej się odzywają-

ce, im je więcej jako niegodna siebie i swego rozumu potępiała.

Ale dziś, od dni kilku, od owego wieczora nie miała już ani siły, ani argumentów na bronienie przed samą sobą, dwudziestoletnich przyjaciół.

Wciąż stała jej w oczach jedna fatalna chwila, która podkopaną już przepaść między nią, a nimi, w jednej sekundzie stworzyła. Ta niedawna mianowicie chwila, w której podchwyciła porozumiewawcze spojrzenie między panem Janem a jego żoną, gdy im mówiła, że jej o tytuł zięcia nie chodzi. Krew jej uderzała do głowy, ile razy sobie przypomniała tę sekundową scenę, a przypominała ją sobie wciąż, dziesięć, sto razy na dzień, na godzinę. A za przypomnieniem tem szły zaraz w następstwie budzenia się różnych uczuć, przystępnych do jej żywego temperamentu.

— Dlaczego? — pytała sama siebie zapalając się — pan Jan przypuszczał, iż ona by pragnąć miała tytułu dla córki, ona, hrabianka Zapolska z domu? Spojrzenie Skorupskiego na żonę mówiło jej także, iż on posądzał ją o zazdroszczenie im może Poryckiego, iż on więc podchwycił jej zawiści i małostki? Miała je może, ale się z niemi głęboko kryła. Jakim sposobem więc oni je odgadli i o nich poufnie mówili?

Po uczuciach rozdrażnienia, pochodzących z czysto osobistych pobudek, następowała nawałnica dotąd hamowanych, trzymanych na wodzy i zwalczanych namiętności.

— Dlaczego wtedy Porycki przerzucił się z Heleny na Renę? Czy w tem nie umaczał palca przebiegły pan Jan? sprytna i ambitna Matylda?

Niedługo nad tem się zastanawiała, bo serce jej wzbierało od uraz i pretensyj ogólniejszej natury, a obracających się oddawna do koła Skorupskich i trawiących ją bezmiernie.

— Dlaczego — pytała ślepej fortuny — Skorupscy używali w świecie względnie lepszej pozycji, skoro do tego żadnego na nią przywileju nie mieli? Ona owszem, mając równie elegancki salon, równy majątek, miała tyle silniejszych balastów, jak nazwisko jej dzisiejsze i rodowe, jak pewne i niezawisłe od śmierci rodziców posagi córek, jak tyle... tyle innych. Czyżby przyczyny tego szukać miała tylko w rozumie pana Jana? w tym salonowym rozumie, składającym się z dyplomacji i hipokryzji, które ona doskonale znała? Wszakże i jej nie brakowało sprytu, umiała, lepiej jeszcze może od pana Jana, dysymulować swe uczucia i projekty, grać wybornie rolę w tym świecie komedji. Sam p. Jan admirował w niej ten niepospolity salonowy talent. . . . .

A więc dlaczegoż mi się wiodło, a jej nie? Dlaczego Porycki? No! stało się! minęło!!! Ale dziś, gdy Porycki pozostawał w biedzie na Wołyniu i kompromitował Skorupskich, dlaczego nikt nie zajmował się swataniem jej dwu córek? a tam Warewska forytowała siostrzeńca? Rudomina? księcia??

— Tego za wiele — szepnęła, cała w gorączce, jeszcze walcząc ze sobą, jeszcze usiłując nie dać się całkowicie owładnąć uczuciu nienawiści do tyloletnich przyjaciół

Wtem dzwonek w przedpokoju zajęczał. Skoro lokaj długo nie wchodził, by gościa zameldować, pani Wanda przeczuła w nim — doktora.

— Ale on dziś przyjść nie miał — pomyślała — to nie jego dzień

Mimo to uczuła radość, że ktoś przerywał wątek jej przykrych myśli. Powstała z szezlonga i podbiegła ku drzwiom, w których się spotkała z eleganckim Sieleniem.

— Odgadłam pana! — zawołała.

Młodzieniec ucałował ją w rękę z uśmiechem, pełnym wdzięku i przymilenia.

— Przychodzę pani podziękować — zagadnął — za nowego klienta. Jesteś moją dobrą gwiazdą...

— Więc pan Jan cię już wezwał?

— W tej chwili dostałem jego list.

Usiedli oboje na swych zwykłych miejscach, na których, odkąd Sieleń przybył z Paryża, tyle miłych chwil spędzili, bo pani Choryńska wysoce ceniła rozumną konwersację, a doktora uważała za jednego z najmilszych *causeur'ów*, jakich w życiu znała.

— Przychodzisz pan do mnie — odezwała się swym dźwięcznym i zawsze jakby rozbawionym organem — zasięgnąć języka, co do nowego pacjenta? Jesteś zdania, nie pamiętam już którego z wielkich ludzi, który powiedział: „Staraj się doskonale znać już tego, z którym spotkanie może być jakiegokolwiek dla ciebie znaczenia..."

— Jesteś pani genjalną — podchwycił Sieleń — i przerażającą zarazem...

— Prze...rażającą?

— Rozum pani, wychodzący z granic rozumem zakreślonych, przeraża niemal.

Pani Wanda się wdzięcznie uśmiechnęła, a doktor ciągnął:

— Zależy pani, przez przyjaźń dla mnie, na którą nie zasłużyłem, bym się pod jej opiekuńczymi skrzydłami wybił na znakomitość. Jak wszystkie osoby wyższe *de votre trempe* — mówił pociągającą dźwięcznością i modulacją umiejętną, czy wrodzoną głosu — chcesz robić znakomitości. Kobiety w pani rodzaju takich tylko robiły. Pani R é c a m i e r stworzyła doktora L e p e t i t... Otóż z chorymi *à la* pan Jan, zdaje

mi się, iż powodzenie przy nich i wyleczenie ich zależy, nie od sztuki medycznej, tylko od sprytnego zastosowania jej do organizmu.

Urwał, a pani Choryńska nie odpowiadała, tylko wpatrywała się w jego oblicze zamyślona tym razem, bo jej się nasunęła dziwaczna uwaga.

— Co za szkoda, — myślała — że ten człowiek jest doktorem, zamiast być po prostu Sieleniem, choćby jakim zbankrutowanym salonowcem, jakim bodaj *chevalier d' industrie* podejrzanym z tysiąca względów, ale wyzywającym, bezczynnym i niesplamionym fachem i zarobkowaniem. Jakże by ona go łatwo pokierowała w świecie i jakże inaczej? Kto wie, czyby mu własnej córki i dwa kroć posagu nie dała, gdyby tylko mógł...

Pani Wanda była entuzjastką, więc galopowała. Miała ochotę w odpowiedzi zawołać: „Panie Sieleń, twoje stosunki w Warszawie są jeszcze małe. Klientów prawie nie masz. O twoim doktoracie prawie nikt nie wie. Zniknij teraz, a za rok powróć ale nie jako doktor, tylko jako młodzieniec, jako hrabia Sieleń, jeśli można, pragnący się bogato, bardzo bogato ożenić, patrzący wysoko, bardzo wysoko, a wtedy...

Nagle stanęła jej w oczach niemożliwość tego planu.

Posmutniała, — a oczy jej mówiły:

— Jaki ty głupi z twą postacią, z twym aplombem i z twym doktoratem.

Ocknęła się i odparła:

— Masz słuszność, kochany doktorze, a szczególnie mając mieć do czynienia z panem Janem, który sam jeden jest w stanie ci zrobić renomę, winieneś uzbrojony przystąpić do rzeczy.

— A więc uzbrój mnie, Ateno. Przyjdzie ci to łatwo. Jak mistrz kilkoma rzutami pędzla tworzy postać tak pani, kilkoma rysami z jej sztuką opowiedzianymi, a wybranymi z żywota pana Jana, pozwolisz mi odgadnąć ten organizm. *Vous voyez*, jakim jestem doktorem? o organizm mi chodzi..

— Organizm to bardzo skomplikowany — podchwyciła pani Choryńska, lubiąca w ogóle psychologiczną rozmowę, a zapalająca się, gdy mówiła o panu Janie, którego uważała za fenomen w pewnym rodzaju — Opowiem panu w krótkości życie Skorupskiego, bo inaczej byś nie zrozumiał tego skomplikowanego organizmu. Lat temu dwadzieścia i kilka, pewna heritierka zakochała się w młodziku, zwykłym szlachcicu, mającym jednak inklinację do zostania wielkim panem. Był nim pan Jan Skorupski, który ożeniwszy się dla majątku prawdopodobnie, powiedział sobie: „a teraz dojdę do wszystkiego, co majątek dać może“.

— To jest?

— To jest do wszystkiego, na czem używa w pełni prawdziwie „wielki pan“ do nieposzlakowanej reputacji, wielkiego komfortu, dobrej w świecie pozycji, niczem niezamąconego, wyrafinowanego i wygodnego życia.

— Te miał tylko ambicje?,..

— Te tylko, ale je osiągnął. Ażeby je jednak osiągnąć, zrobił się człowiekiem o dwu licach, człowiekiem złożonym z dwóch ludzi, których czasem życie zmusza do stanięcia przeciw sobie, ale jego nie.

— A więc — podchwycił Sieleń — ta dwulicowość nie jest chyba cechą, która skłania panią do tak wielkiej dla tego pana admiracji.

— Owszem! — czemprędzej przerwała pani Wanda — ta dwulicowość jest odrębną indywidualną i czysto salonową. Nic nie ma wspólnego z dwulicowością, którą ludziom za wadę poczytujemy.

— Zaciekawiasz mnie pani.

— Pan Jan zrozumiał, co w świecie popłaca i przyswoił sobie jego hasła, nie przestając mimo to być uczciwym obywatelem, dobrym przyjacielem, doskonałym mężem i człowiekiem zasad. Tylko...

— Tylko?...

— Tylko ma on zasady inne dla siebie, a inne dla świata. Inne, które z natury swojej

żywi, a inne, które głosi nawet przed własnemi dziećmi.

— Człowiek ten wydaje się tak skomplikowanym, iżbym prosił panią o poparcie tego, co mówisz, przykładem.

— Ot zaraz! Pan Jan naprzykład, jako bałwochwalczy salonowiec, jako człowiek, którego całą areną był tylko salon, jest zacofanym arystokratą. U niego w głębokościach duszy człowiek bezprzecznie zaczyna się od wykwintnego salonowca w ścisłem tego słowa znaczeniu. Literat, muzyk, aktor, malarz, są..

— Hołotą! *passez moi l'expression* — dorzucił z uśmiechem Sieleń.

— Nie inaczej — zawołała pani Wanda — ale niechby go kto kiedy na tem złapał, niechby kto z niego to wyznanie wiary wydusił! Dla świata pogardza on tytułami, około których tylko się kręci, a wysoko ceni ludzi zasługi i duszy, który h nie spotyka i nie szuka. Ten system jest genjalny, jedna mu pasożytów, którzy już dla tego się za ludzi mają, że ich ceni, a nie zraża mu ludzi, których wysokiego oceniania dać dowodów sposobności nie ma. *Et puis* ten system robi mu opinję człowieka wyższego.. Kiedyś słyszałam na własne uszy, jak pan Jan surowo karcił ukochaną, popsutą córkę, że inaczej na recepcji powitała wszystkich, a inaczej nauczyciela literatury, który * przypadkiem się

tam znalazł. A przytem, *il fallait voir*, jak z przekonaniem roztaczał swoje hipokrytyczne wyznanie.

— Dla czego hipokrytyczne? — zapytał doktor.

— Panie! — uśmiechnęła się pani Wanda — ja go znam. Gdym raz z powodu balu kostjumowego, zaprzyjaźniła się z pewnym malarzem, pan Jan mi z głębokiem przekonaniem odpowiedział te słowa na moją filipikę za ludźmi talentu i zasługi: „Pani, jabym się żadnego z nich przez szczypce nie dotknął". A ton, jakim to powiedział!

— Nie bawi mnie, ale intryguje, pani przyjaciel...

— Jest to człowiek — ciągnęła dalej pani Wanda zapalona ulubionym, a dnia tego milszym jeszcze przedmiotem, — tak popsuty powodzeniem, które od lat zapewnił sobie siłą odgadnięcie życia i świata, iż dzisiaj przedstawia on anegdotyczny typ w swoim rodzaju. Stworzywszy sobie sztuczną atmosferę, nie rozumie już ludzi, nie umiejących nią oddychać... Ztąd poróżnienie z Poryckim. Potrafiwszy się zabezpieczyć przeciw wszystkim niespodziankom życia mu nieodpowiadającym, tak się popsuł, tak rozpasał w indywidualnym sybarytyzmie, iż dziś gotów dostać migreny, jeślibyś doktor na przykład do jego gabinetu wszedł inaczej, niż tego formy i zwyczaje i jego upodobania wymagają.

— I jemu — podchwycił Sieleń zaciekawiony i zamyślony — udało się dotąd nie umrzeć na migrenę?

Pani Wandy oczy zabłyszczały. Zaśmiała się.

— Wystaw pan sobie — zawołała — udało mu się to *à moins* Porycki. Ale widzisz pan, jak się z nim urządził. „Nie chcesz być takim jak chcę, byś był, więc cię niema“. Pan Jan jest chodzącym dowodem na to, iż świat do nas należy, a nie my do niego, tylko trzeba go zrozumieć i uchwycić...

— Do czasu! pani! — zawołał doktor z przekonaniem i naciskiem, wyciągając zegarek. — Ale druga! godzina naznaczona przez pana Jana — ciągnął. - Nie chcąc zaczynać od jego migreny, muszę panią opuścić. Zresztą... — kończył wstając.

— Zrozumiałeś go już? — podchwyciła ciekawie pani Choryńska.

— Oh! — zaśmiał się Sieleń, żegnając swą klientkę i mówiąc — rzuty pani pędzla są mistrzowskie. Jednakowoż głupi tylko są zarozumiałymi. Nie zrozumiałem go, ale...

— Ale go przeczuwasz?

— Nie. Zaledwie go zwąchałem.

— Ha! ha!

— Pani! — szepnął Sieleń i zniknął za pluszową, pąsową portjerą.

W uszach pani Wandy mile jednak dalej brzmiały jego słowa, a szczególnie te ostatnie, wypowiedziane jakby znacząco, na podstawie głębszej znajomości życia i świata.

— „Do czasu“ — powiedział.

Do czasu więc miało się wieść i powodzić Skorupskim, jak w powieści. Te słowa ją napawały błogiem uczuciem w chwilowem jej usposobieniu. Ten doktor — myślała — był także i człowiekiem myślącym. Tak! Powodzenie pana Jana, musiało mieć koniec. Życie nie mogło być sceną teatru, na której tylko by dawano wesołe salonowe komedyjki. Książę Rudomin...

VI.

W mieszkaniu drugiego piętra jednego z domów, położonych przy ulicy Nowogrodzkiej, siedział August Sieleń.

Jakkolwiek upływały to godziny, w których ordynował, bawił sam jeden w swym gabinecie urządzonym bardzo skromnie, lecz mimo to z pewną pretensją, a nawet elegancją.

Komnata ta nie przypominała niczem gabinetów lekarskich. Rozchodził się w niej miasto zapachu aptecznego, odór perfum *verveine*, których Sieleń używał. Ściany zdobiło kilka obrazów w ramach, ale te nie przedstawiały ani grup koleżeńskich, ani Mickiewicza, ani nic z tych banalnych i uniformowych przedmiotów. Duża fotografja wisząca nad biurkiem była podobizną jakiejś pięknej damy o francuzkim zakroju, a obraz nad otomaną zdawał się być angielską heljograwiurą z słynnego polowania *par force* księcia Walji, z cesarzową Elżbietą na froncie.

Sieleń siedział na miękkim fotelu i puszczając kłęby dymu z małego papierosika z przymrużonymi oczami, wlepił wzrok w bezdeń.

Myślał wytężająco, bo mu cała jego przeszłość przelewała się w wyobraźni. Kilkakrotnie usiłował rozpędzić te nieproszone niemiłe i ściągające mu brwi obrazy, ale one gwałtownie się narzucały.

Jakże on ich nienawidził, tych wspomnień młodości, składającej się z dwóch perjodów. W pierwszym, łudził się, że będzie panem, w drugim silił się, by zostać człowiekiem. Przypominał sobie te noce spędzone nad wstrętną mu nauką przed egzaminami, te ohydne posiedzenia w anatomicznych gabinetach, te rozmowy cyniczne i fachowe z kolegami, którzy w medycynie widzieli sztukę, kiedy on w niej tylko widział obmierzłą drogę do chleba. Później zaświtała mu gwiazda, jeśli gwiazdą nazwać można jakiekolwiek światło, błyskające mu w tej przymusowej karjerze.

Spojrzał na portret damy. Uśmiechnął się. Ona to może sprawiła, że nie wolał rozbijać kamieni, abdykując ze wszystkich sperand przyszłości. Ona to wyrobiła mu miejsce przy słynnym D e v i v e. Ona to, co najważniejsze, zdołała mu wytłumaczyć, że człowiek, może być doktorem i dżentelmanem zarazem, że tylko w oczach zapleśniałych zacofańców pieniądze wsuwane do

ręki, a zbierane powoli, nie tracą uroku i powabu złota.

— Bądź sławnym i bogatym, drogi i śliczny Auguście — mówiła mu nieraz — a będziesz mógł na równi z każdym sięgać po czarę życia.

Wierzył jej wtedy, ale nie wierzył już dzisiaj. Wiarę jego rozproszyła jedna minuta, jeśli nie sekunda. W Paryżu niedawno temu zaprezentował się był pani Choryńskiej. W toku rozmowy powiedział jej, iż jest doktorem. Zrazu dama wierzyć temu nie chciała.

— Jakto? — pytała - pan? *Un Sieleń?* doktorem? pan ze swoją wielkopańską miną? ze swoim salonowym dowcipem? Żartujesz pan ze mnie...

Uwierzywszy, zmieniła się dla niego do niepoznania i dotąd jeszcze cech tej zmiany nie zdołał zatrzeć i wyrównać.

— Dlaczego — pytał siebie — pani Choryńska, obsypująca go komplimentami, nie przypuściła go dotąd do swego kółka rodzinnego, nie przedstawiła go swym dwom córkom, które .

Urwał nagle wątek myśli. Rumieńce oblały jego policzki aż po uszy, aż po białka oczów, rumieńce palące, pochodzące ze złości i bezrady.

-- Ach! — szepnął — gdyby mój ojciec był się wstrzymał z ostateczną ruiną lat ośm, to

ta ruina by mnie była zastała młodzieńcem wprawdzie bez dyplomu medyka ale z szansą ożenienia się w moim świecie, moim z urodzenia, moim z upodobań, moim z krwi...

Zamyślił się i uspokajał.

— Jego starszemu bratu przecież się udało. Jako adwokat już wyjechał z Paryża do kąpieli morskich, wycieńczony tą straszną gorączką wybicia się na wierzch. W Ostendzie spotkał polską rodzinę z Wołynia, majętną i pragnącą wydać aż trzy nie piękne, lecz bogate córki. Wtedy na jednem słowie zawisł, była jego przyszłość. Ojciec panny spytał: „Kim pan jesteś?“ On odpowiedział bez wahania: „Sieleniem, potomkiem uczciwego i zrujnowanego rodu“. Został przyjęty...

Gdy się dowiedziano po ślubie, że był adwokatem, proszono go, by to w sekrecie utrzymywał...

Żeby się jemu tak udało? Ale...

Machnął ręką.

— Doktor! doktor! — zawołał z wściekłością — opatrywać ludziom rany i wyrzuty, wyciągać rękę, jakby po łapówkę.. Ha! Ręka, która przywykła do tego odrębnego sposobu, wysuwającego rubla z drugiej dłoni, czyż na zawsze nie traci swych arystokratycznych cech i skurczów? On rozumiał i panią Wandę i teścia brata. Rozumiał ich, a urazę czuł tylko do przeszłości.

— Gdyby — szeptał -- wyzwolić się, gdy-

by zrobić jaki *coup de maitre*, ale jak? jak? — pytał w rozpaczy — któryby mi uratował drugą połowę młodości, dał życie..

Pogrążył się głęboko w długiej zadumie. Nagle zerwał się.

— Nie! Niema rady — szeptał w gorączce dojść trzeba do sławy... ożenić się dla majątku i puścić w trąbę to rzemiosło. Ale jak dojść do sławy?

Jeśli pigułki Devive'a okażą się tak zbawienne dla organizmów warszawskich, jak paryskich, to do niej przecież wkrótce dojdzie. Devive niemi tylko wojował..

Opuścił się na krzesło i przypominał sobie w gorączce epizody przeszłości. Devive raz po obiedzie został wezwany do markizy Belmont. Miał gości u siebie i nie chciało mu się deranżować. Był podochocony nadto. Wtedy skinął na niego i polecił mu temi słowy: „Między moimi chorymi mam nieznośną babę, która sobie wystawia, że jeśli ją obejrzę przed każdym balem i rautem to młodziej na nim wyglądać będzie. Wzywa mnie ona teraz, że gwałtownie zasłabła, a wiem, że będzie na balu w ambasadzie niemieckiej Weź pan dwie pigułki i zawieź je jej... Powiedz... powiedz... powiedz... a! u licha, z takiemi babami.. powiedz, żem zachorował, ale znając jej organizm wiem, czego jej brakuje. Dla pozorów możesz jej kazać po-

kazać język. Powiedz, że ja ci opisałem, jak on ma wyglądać. Niech jedną pigułkę zażyje, wchodząc do salonów w ambasadzie, a drugą wychodząc z ambasady. Nie zapomnij! Ta baba histeryczka, szczególnie dba o takie pedanckie i niezrozumiałe rozkazy swych doktorów".

Sieleń się zaśmiał. Ta wizyta jego u markizy Belmont dała mu więcej do myślenia od wszystkich medycznych kursów. Na drugi dzień markiza napisała do Devivea: „Pańskie pigułki są bajeczne. W ambasadzie czułam się wyśmienicie. Odwrotnie przyszlij mi trzy, bo idę na bal do Rotszyldów, który dłużej potrwa." Devive ani jednej nie posłał, tylko jej odpisał „Pigułki, które panią zbawiły wczoraj, otruły by ją dzisiaj." A Sieleniowi list pokazał i śmiejąc się zagadnął:

„Młodzieńcze! Twoja protektorka mnie prosiła, bym ci otworzył drogę. Wiedzże więc, że chorzy, których leczyć warto, to wszyscy tacy... Dałem jej pigułki, silnie pobudzające, bo wiedziałem, że w ambasadzie podadzą tylko herbatę. Dziś przy szampanie... ha! ha! ha!.." August urwał wątek wspomnień i spoważniał. Pan Jan mu stanął w oczach. To jego klient od kilku tygodni, na którym wprowadził w zastosowanie system Deviva. Truchlał czasami o skutki tego systemu, bo sądził, że jeśli kto, to Skorupski może go bardzo prędko wybić na

wierzch. Dotąd szło wszystko dobrze. Pan Jan z wizyty na wizytę miał się lepiej, był weselszym i nie tail się ze swą wiarą w Deviva, a ze swą wdzięcznością dla Sielenia. Ale doktor mimoto bladł, ile razy sobie przypomniał swego pacjenta z *high lifu*. Jeśliby jemu metoda pobudzająca i oparta tylko na umiejętnem wzmacnianiu doz zaszkodziła, to w takim razie Sieleń był pogrzebanym w wysokich sferach Warszawy. A nieszczęście chciało, że pierwszy ten klient, nawijający się mu, był rzeczywiście chorym, według niego. Wolałby był próby robić na kim innym. Ale tymczasem szło wyśmienicie. Pan Jan młodniał...

Czasem doktor budził się w potach. Przypominał sobie straszny wypadek Deviva, gdy jego pacjent zmarł w klubie przy zielonym stoliku wskutek fatalnego zastosowania kantarydy, której nie znosił jego organizm. Ale Devive miał szczęście bajeczne. Tym klientem był Amerykanin, nie mający w Paryżu stosunków. Wypadek skompromitował Deviva wobec ciała doktorskiego, ale nie naruszył mu wzięcia.

Sieleń się zerwał, narzucił palto, wybiegł z mieszkania, dopadł dorożki i kazał się wieść do doktora Stypulskiego. Prz szła mu myśl, której natychmiast usłuchać gwałtowną potrzebę uczuł. On się nie mógł ograniczyć na swojej praktyce. On tu grał *trop gros jeu*.

Za chwilę znajdował się w gabinecie poważnego eskulapa.

— Panie! — zagadnął po przedstawieniu mu się, zasiadając z pańską swobodą na krześle, a przytem z pewną ujmującą skromnością. — Wiadomo ci, doktorze, że cię zastąpiłem, przy panu Skorupskim. Sądzę, iż ten wypadek, do którego bynajmniej się nie przyczyniłem, nie odbiera mi prawa odezwania się do pańskiej koleżeńskiej życzliwości. Jestem młody, potrzebujący protekcji powag, jaką doktor jesteś. Jestem nowicjusz, ale o tyle praktyczny, że wiem, iż nic nie zastąpi doświadczenia nabytego latami praktyki.

Stypulski, zrazu sztywny i zimny, mięknął. Sposób zachowania się młodzieńca ujął go od razu i ujmował dalej. Przerwał mu więc:

— Czemże koledze służyć mogę?

— Wypowiedzeniem mi swojego zdania o panu Skorupskim. Nie chciałbym zrobić fiaska, a wiem, iż go kolega już poznałeś. Wiadomości pana, którebym dopiero próbami nabyć mógł, będą dla mnie nieocenione, pozwolą mi może... — jąkał się.

Stypulskiego doszczętnie rozbroiła ta skromność Paryżanina, którego o zarozumiałość posądzał.

— Owszem — zawołał — owszem! Bardzo kolega mądrze robisz, zasięgając moich rad, bo

to organizm niełatwy do poznani a. Owszem. Przez życzliwość dla kochanego pana Jana, który wszystkich próbuje...

— Oh! panie — podchwycił Sieleń — wiem! Kolega wczoraj, ja dziś, kto inny jutro... wiem! Ale to nie przeszkadza, że z mojego obowiązku, choćby on miał być bardzo krótkotrwałym, pragnę się wywiązać sumiennie. Moja przyszłość zależy od moich pierwszych kroków w Warszawie. Moje leczenie Skorupskiego od kolegi informacji i przecennych rad...

Stypulski był zachwycony. Homeopata skomplikowany, adept Deviva, przychodził do niego...

— Kolego! słuchaj! — zawołał. — Zbadałem organizm tego objektu, o który ci chodzi. Skorupski ulega cierpieniom nerwowo-gastrycznym. Żołądek jego jest ruiną żołądka, którego poszczególne części funkcjonować nie chcą... Stąd migreny, cierpienia, katary, etc. etc. ... *caetera*... Kiszki spalone winami, opieszałe .. zatłuszczone wybredną kuchnią. Dodaj do tego żółć, skłonne, do wylewów, i nerwy, drażliwe do śmieszności, a będziesz miał zegarek, wskazujący dziesiątą po południu, z popękanymi rubinami i rozluzowanymi kółkami, z martwą sprężyną...

Zapalony, zadyszał się. Odchrząknął, odetchnął i mówił dalej z werwą, bo go zachęcały do tego ciekawie wlepione weń oczy Sielenia.

— Jeden jest tylko sposób leczenia takiego organizmu. Jeden!!

— Sądzi ko...lega?

— Siłą systemu, regularności, powoli, obliczając kuracię nie na skutek dni, lecz miesięcy i lat, odzwyczaić ten organizm od pokarmów, które go zużyły, i zrobić go podobnym przynajmniej do innych. Odświeżyć go, oczyścić, zmusić — jak zegarek — do jednostajnego i miarowego chodu... Czynić to bardzo powoli, stopniowo, kosztem choćby chwilowych i długotrwałych kryzysów, które on przechodziłby musiał, zanimby przywykł do zmiany radykalnej w funkcjonowaniu.

— A więc — podchwycił Sieleń spokojnie, cedząc wyrazy, jak gdyby ich ułożenia i obrotu nie był pewnym — środki po... bu... dza... jące.

— By go piorunująco zabiły! — krzyknął Stypulski — zużywając maszynę do reszty...

Sieleń zbladł i odparł prędko...

— I ja podobnie sądzę, ale myślałem...

— Coś pan myślał?

— Że od czasu do czasu... jąkał się Sieleń.

— Panie! — huknął eskulap — tu nie ma dwóch dróg. Środek pobudzający, użyty raz na miesiąc, psuje, niweczy cały miesiąc kuracji.

— Bezprzecznie...

— Myślałem, że pan innego...?

— Ale gdzie tam! — czemprędzej podchwycił młodzieniec.

Po chwili, powiedziawszy kilka komplementów doktorowi, pożegnał go, zachwyconego swym nowym kolegą, jego uznaniem dla praktyki i pracy, jego skromnością, jego przejęciem się serjo sztuką medyczną.

Sieleń wybiegając z mieszkania renomowanego eskulapa, wyglądał przerażony. Schodził powoli po schodach i głęboko myślał.

— Piorunująco... — szeptał zaledwie półgłosem — co on przez to rozumiał? Przecież nie *à la lettre*. No... rok... dwa... trzy... Naturalnie. Tymczasem zrobiłbym swoje... Piorunująco ?.. Przestraszył mnie na razie. Zawsze trzeba zmniejszyć dozy... *Qui ne risque rien, n'a rien*.. zapewne... *Mais qui risque trop*...

Ochłonął, wskoczył do dorożki i kazał się wieść do mieszkania Skorupskich.

VII.

Pan Jan wyglądał znacznie lepiej. Rumieńce nawet krasiły jego zwiędłe, lecz delikatne jeszcze policzki.

Siedział w swym gabinecie z córką, i zabawiał się z nią rozmową. Uśmiechał się do niej wyrazem, w którym malowało się całe jego bałwochwalcze uczucie admiracji dla tego ukochanego, a dziś i jedynego dziecka. Jak wszyscy wielcy egoiści, kochał to, co niem było pośrednio. Kochał więc żonę i córkę. Tę ostatnią kochał bez miary i bez granic, i to od kolebki, kto wie, czy nie dlatego, że była ona dziwnie do niego podobną i była nią od chwili urodzenia.

Pana Jana uczucie to, które czuł w sobie gorejące do córki, samego nieraz zastanawiało. Analizując je, dochodził do wniosku, iż ona musiała przedstawiać mu nietylko ideał córki, lecz też i ideał kobiety jego gustów.

Kochał więc w niej dziecko, podziwiał sie-

bie, uwielbiał kobietę. Te trzy odmiany zlewały się w jedno potężne ojcowskie uczucie o delikatnych, ale najdziwaczniejszych odcieniach.

Panna Wilma Skorupska uchodziła w oczach ojca za niewidzianą piękność, a była rzeczywiście zjawiskiem nie codziennem i uroczem. Przedstawiała doskonały typ angielski o przezroczystej cerze, ślicznych blond włosach i delikatnych rysach, których ozdobę i oryginalność stanowiło dwoje namiętnych, jedynie po matce, do której w niczem podobną nie była, oddziedziczonych oczu,

Okoliczność, że Wilma była typem *par excellence* arystokratycznym, stanowiła wiele w bałwochwalczej ojca jej admiracji.

Rozmawiali o świecie, o rautach i toaletach. Wilma zdawała ojcu sprawozdanie z wieczora dnia poprzedniego, odbytego u hrabiny Kirskiej.

— Naturalnie — podchwycił pan Jan — byłaś najlepiej ubraną ze wszystkich?

— Naturalnie — zaśmiała się Wilma — *ça va sans dire*...

Urwała, bo z przedpokoju dał się słyszeć dzwonek, naciśnięty gorączkową ręką. Ten sposób dzwonienia drażnił pana Jana, nie znosił go, jak nie znosił ludzi spieszących się. Pobladł nawet i szepnął.

— Kto to być może? Jakiś furjat!

— Ha! ha! ha! — zaśmiała się Wilma — to jakiś jegomość tylko, któremu się spieszy.

— Zawsze — wtrącił ojciec — jakiś oryginał. O tej godzinie i tak dzwoniący... Człowiek przy zdrowych zmysłach nigdy i nigdzie się nie spieszy... Przestraszył mnie.

Tak było rzeczywiście. Lokaj, wchodzący do gabinetu, spotkał się z przerażonem spojrzeniem swego pana.

— Co to?

— Pan Sieleń — odparł sługa.

Pan Jan odetchnął.

— Prosić! — szepnął z wysiłkiem.

— Mówiłeś papa — podchwyciła złośliwie Wilma — że ten doktor jest tak dobrze wychowanym człowiekiem, a oto...

— Mówię ci, coś się stało. On tak nigdy nie dzwonił, ale...

Urwał i pobladł w całem znaczeniu tego słowa. Skorupski bowiem wskutek drażliwości swych chorobliwych i wydelikaconych nerwów, mienił się z bajeczną łatwością. Pobladł, bo usłyszał w przyległym pokoju niezwykle przyspieszone kroki swego eleganckiego doktora.

Wtem drzwi się otworzyły i stanął w nich Sieleń, jakby wryty. W gabinecie, w którym go zwykle przyjmował sam Skorupski, nie spodziewał się zastać nikogo. Widok więc Wilmy go zrazu wstrzymał, a w sekundę później zastanowił. Sieleń lubił ten arystokratyczny rodzaj

kobiet, którego bardzo piękną odmianę nagle obejmował wprawnym, bo znawcy wzrokiem.

— Pan Sieleń! moja córka! — zawołał pan Jan — siadaj doktorze!

Wilma zaledwie z uderzającem lekceważeniem skinęła głową doktorowi. To jego zmięszało tak, iż poczerwieniał, a pan Jan znów pobladł.

— Panie! — odezwał się Sieleń, podchodząc do Skorupskiego — siadać czasu nie mam. Wpadam na sekundę...

— Czy... — pytał już strwożony pan Jan niezwykłym sposobem zachowania się młodzieńca, ale ten mu przerwał.

— Objeżdżam chorych... w tem — urwał i podchwycił. — Ile panu kazałem zażyć dziś pigułek?...

— Trzy — odparł zaraz wstając i trwożąc się w oczach Skorupski — jedną o dziesiątej rano, jedną o trzeciej, jedną o jedenastej wieczorem wychodząc z klubu, jeszcze w klubie — mówił powoli i z precyzją pedanta.

— A więc — zawołał Sieleń z trudnością powstrzymując śmiech — nie myliłem się, tak sobie przypominając.

— Co? Czyby?...

— Zażyłeś pan jedną?

— Zażyłem! ale...

— Nie trwoż się pan, tylko uważaj — podchwycił doktor. — Drugiej zażywać nie będziesz, a trzecią zażyjesz, nie wychodząc, tylko wchodząc do klubu. Żegnam pana, bo mi się bardzo spieszy...

— Panie! drogi panie! — zatrzymywał pan Jan.

— Nie mogę! nie mogę! Zboczyłem z Jerozolimskiej przypomniawszy sobie. Oj! godzina w pół do pierwszej — wykrzyknął, spoglądając na zegarek — od pół godziny czeka na mnie hrabina Dagriomoff... żegnam pana! Do jutra!

Tu uścisnął dłoń serdecznie się doń wyciągającą pana Jana, głęboki oddał ukłon w towarzystwie magnetyzującego spojrzenia młodzieńca pierwszej salonowej wody Wilmie i wybiegł.

Skorupski odwrócił się do córki ze zdumieniem na twarzy.

— Słyszałaś? — zapytał drżącym i przejętym głosem — co za doktor? — co?

Wilma milczała. Pan Jan, rumieniejąc nagle na twarzy, wybiegł z gabinetu do salonu krokiem przyspieszonym, a tak rzadkim u niego, iż zastanowił córkę. Biegł przez długi salon, wołając:

— Madziu!... Madziu!...

W drugim salonie dopiero, już u drzwi, prowadzących do pokoju żony, spotkał się z nią, naprzeciw niego wybiegającą.

— Co?

— Wystaw sobie! — zawołał już nieco spo-

kojniejszy pan Jan — w tej chwili był Sieleń... Zboczył z alei Jerozolimskiej i wpadł na sekundę tylko na to, aby mi powiedzieć, żebym dziś nie zażywał trzech pigułek, tylko dwie.

Pani Matylda słuchała z głęboką skruchą. Pan Jan ciągnął:

— Uważasz? Pamiętał, ile mi kazał dziś zażyć? Zajęty myślał o mnie! zastanawiał się! kombinował! Stypulski, albo inny z tych warszawskich weterynarzy! Czyby się któremu chciało wstępować dla pigułki? dla...

— Dla jednej! jednej! pigułki — wtrąciła pani Matylda.

— Dla jednej pigułki — powtórzył Skorupski. — Co to Paryż! Jak tam pojmują klientelę, jakie poszanowanie chorych. Ten Sieleń wyjdzie na wielkiego...

— Byle się tylko nie popsuł — podchwyciła żona.

Tak mówiąc, powracali do gabinetu, gdzie na swojem miejscu, polerując paznogcie u różowych i cienkich, a okrągłych palców, siedziała jeszcze Wilma.

— Ale! — zawołał pan Jan, spostrzegając Wilmę, a pozostając jeszcze pod pobudzającem wrażeniem wizyty skrupulatnego doktora i zwracając się do żony. — Żebyś była widziała, jak mu się Wilma ukłoniła, jak..?

Urwał i ochłonął z zaledwie dostrzegalnego rozdrażnienia, ciągnąc do córki:

— Zrobiłaś mi największą przykrość. Tak niedbale, tak lekceważąco ukłonić się takiemu człowiekowi, przyjacielowi, memu wybawcy!

— Wybawcy takiego ojca! — dorzuciła pani Matylda.

Wilma, nieprzywykła do najmniejszej uwagi uwielbiającego ją rodzica, poczerwieniała.

— Doktor! doktor! — bąknęła w pomięszaniu, lecz z głęboką pogardą w tonie.

Pan Jan pobladł, jak chusta, co widząc jego żona, a spostrzegając równocześnie złowrogą czerwoność na twarzy Wilmy, wtrąciła:

— Eh! Nie masz cię czem martwić. Nie uważał nawet. Zresztą... Ja także nie zwracam uwagi na doktorów...

— Przepraszam cię — podchwycił blady pan Jan, swym przejętym, cichym głosem — nie mów takich rzeczy, bo Wilma...

— Przesadzasz mój Jasiu...

— Przepraszam — począł znów głośniej pan Jan. — Nie zastanawiasz się nad tem, co mówisz, i Wilma...

Urwał, usiadł i ciągnął.

— Doktor, jeżeli jest człowiekiem dobrze wychowanym, porządnym, salonowym, przy tem dobrze urodzonym, jest zupełnie takim samym okazem, jak każdy z tych, których Wilma co

wieczór spotyka w świecie i dla których ma cudowny uśmiech...

— Mój Jasiu — zawołała pani Matylda — zdawałoby się... Doktor jest doktorem.

— *On le paye* — dorzuciła już że śmiechem Wilma — aby być wolną od uśmiechów...

Pan Jan zrobił minę poważną i zgnębiona.

— Mówisz umyślnie — odezwał się do córki — by mnie głęboko zmartwić... Gdybym wiedział, że ten sposób widzenia jest rzeczywiście twoim, tobym... tobym..

— Ależ rzeczywiście! — zawołała ze śmiechem, wstając Wilma — doktor, lokaj. . to dla mnie jedno..

— Wilmo... to żarty?

— Ależ ja nie żartuję.

Pan Jan zbladł, jak alabaster.

— Gdzieżeś ty zaczerpnęła tych zasad? — zapytał ze zdumieniem.

Zwrócił się do żony i ciągnął z przestrachem w głosie.

— Zlituj się i wytłumacz-że Wilmie, w jakim strasznym pozostaje błędzie... Wilmo! Jesteś zbyt rozumną, bym brał na serjo twe słowa. Wiedz że tylko, iż byłbym uszczęśliwiony, gdybym na przykład zamiast Poryckiego, miał zięciem porządnego doktora, a jestem nieszczęśliwy, mając... obdłużonego hrabiego.

Nie dokończył, bo Wilma, wzburzona temi

perorami, których celu, ani treści zgoła nie rozumiała, nie znosząca nadto, jako popsute do śmieszności dziecko. żadnych osobistych uwag. opuściła pokój. Wtedy pani Matylda ze śmiechem zwróciła się do męża:

— Jakże można mówić jej takie herezje?

Pan Jan jednak nie wyszedł z poważnego nastroju i odparł po chwili namysłu:

— Wilma nie może występować z podobnemi zasadami. Jeśli je ma, to winny one pozostawać głęboko ukryte. . głęboko...

— Nie rozumiem cię — fuknęła pani Matylda. — I ja całe życie uważałam doktorów...

— Wiem o tem — podchwycił mąż — ale zapominasz, że są pewne zasady, które głosić jednym wolno, a które drugich ośmieszają. Sanguszkówna odzywająca się z czemś podobnem w dziewiętnastym wieku, za dalekoby posunęła arystokrację, a panna Skorupska by się ośmieszyła.

Pani Matylda zrozumiała, co widząc, ciągnął Skorupski:

— Szczególnie Wilma. Musi być arystokratką aż do kończyn paznogci. Ja nim jestem, ale dla siebie. . Dla świata??? Zapominasz zawsze, że nam nie wolno mieć pozornych tego rodzaju zasad. Czuwajże więc, by się jej coś podobnego nie wyrwało w salonie... Wzięliby ją na języki, a głównym sekretem ludzi świata, jest nie po

zwolić się wziąć na języki. Gdyby coś podobnego palnęła *en plein salon...?* — urwał, bledniejąc.

— Wielka rzecz! Uszłoby jej doskonale, jeśli tak myśli. Dość jesteśmy bogaci i dość...

Pan Jan pobladł i wtrącił:

— Ale po cóż by jej kto miał wytknąć na przykład, że mój dziadek był mecenasem?

Pani Matylda poczerwieniała i zacisnęła usta. Wyglądała niezadowolona, ale rzuciła na męża spojrzenie, graniczące z podziwem. On jej przypominał, że jego dziadek był słynnym adwokatem. Cóż za delikatność w tym człowieku, który właściwie się bał, by Wilmie nie wyrzucono, że ojciec jej matki był dorobkiewiczem.

— Masz słuszność — szepnęła — ale ty nie uwierzysz, jaką ona jest arystokratką!

— Dlatego też — odparł swym tonem wielkiego dyplomaty, widocznie zadowolony pan Jan — nie wahałem się jej powiedzieć herezji, jak mówisz, żebym wolał doktora od Poryckiego.

— W tym wypadku! — fuknęła pani Matylda.

— Porycki — podchwycił mąż — jest bądź co bądź wybornym precedensem. Gdyby nie on, przez głowę Rudominowi by nie przeszło starać się o Wilmę. Ci synowie rodzin lubią udeptane ścieżki.. Dzierżysława Skorupscy, mając córkę za hrabią Poryckim, tem samem należą już do świata, tytułów i aljansów. Porycki, będąc zmorą naszego życia, jest dla małżeństwa Wilmy doskonałym precedensem Ostryga nie wchodzi do gardła, które nie wygładziło się kawiorem. Rudomin..

Tak dalej prawił, a żona go słuchała z tą głęboką wiarą w oczach, jakiej ślepo i zawsze ulegają próżne kobiety, którym mężczyzna zdołał taktyką i powodzeniem tejże w świecie zaimponować.

VIII.

Doktór wybiegł od siebie i spieszył prosto do pani Choryńskiej. Zaszedł wypadek, z którym nie wiedział co począć i jak sobie poradzić. Zamyślony dążył ulicami i szeptał:

— Chciałbym im dopomódz, ale jak się wziąć do tego? Jak by przyjął w tym względzie, każdy krok z mej strony taki dziwak? taki egoista? taki łotr, jak pan Jan...?

Był zły. Nie lubiał okoliczności, w których wypadało mu coś zrobić, co mogło obrócić się przeciw niemu, a z drugiej strony, jak każdy młody, nie zużyty jeszcze życiem, nie stępiony, jak zardzewiały nóż, nie bezczujny, jak stara sprężyna, pragnął wyświadczyć potrzebującym przysługę.

— Jestem w najprzykrzejszem położeniu — mówił sam do siebie — chciałbym i boję się, a możebym co mógł, Skorupski mnie tak lubi.., cóżby on począł bezemnie?... Te pigułki baje-

czny na nim wywierają skutek... Młodnieje... Zawdzięcza mi życie, choćby Stypulski powiedział, że go zabijam.... Pani Choryńska, to genjalna kobieta! co mi poradzi, zrobię... Chciałbym... Ci Porycey ..

W tejże chwili znalazł się pod bramą pałacyku pani Wandy, a wkrótce potem siedział już naprzeciw niej w uperfumowanym buduarze.

— Zaręczam — zaraz odezwała się kobieta objąwszy go spojrzeniem — że nie troskliwość o moje zdrowie dziś cię sprowadza do mnie, sławny, głośny, doktorze!

— Te epitety? podchwycił ze zdziwieniem Sieleń.

— Całe miasto o tobie mówi, panie Auguście. Pan Jan ci robi sławę... Rzeczywiście powinszować... Widziałam go wczoraj.. Jeśli tak dalej pójdzie... Ale co dzisiaj cię sprowadza? Interes odgaduję na twem obliczu.

Sieleń uśmiechnął się z zadowoleniem.

— A więc wysłuchaj mnie i radź pani! Wpadłem w fatalne położenie!

— *Vous*?

— Ja, ja we własnej osobie.

— Z kimże? — podchwyciła już połyskując oczami pani Wanda.

— Właśnie z tym panem Janem. Posłuchaj pani tylko uważnie...

Nie potrzebował tego zalecać. Pani Choryńska spoważniała i wytrzeszczyła swoje błękitne, a sprytne oczy.

— *Je suis toute oreille.*

Sieleń odchrząknął, złożył ręce, oparłszy je łokciami na kolanach i spuszczając głowę ku ziemi, jak to miał zwyczaj czynić, zaczął:

— Przybyła wczoraj do Warszawy pani Porycka. Wiedząc, nie wiem skąd, o faworach, jakich używam u Skorupskiego, udała się do mnie wprost, obligując mnie bym jej wyrobił interes, od którego zależy ich byt.

— Biedna! — szepnęła pani Wanda, z fałszywie brzmiącem współczuciem.

— Potrzeba tam — ciągnął Sieleń — głupich dziesięciu tysięcy rubli, których jeśli niebawem nie dostaną, będą zrujnowani, sprzedani na licytacji.. Otóż pani Porycka, nie widująca się z rodzicami, prosi mnie, bym udał poinformowanego o tej potrzebie przez mego brata, a jej sąsiada, jak to pani powiedziałem i starał się wpłynąć na tego egoi.. na pana Jana — poprawił — by..

— Rozumiem! — przerwała mu pani Wanda — ale dla czegoż do mnie z tem przychodzisz, doktorze?

— Bo wierzę tylko w pani rozum Jesteś przecież moją gwiazdą! Czy wmięszaniem się mojem do prywatnych i familijnych stosunków Skorupskich nie popsuję sobie u nich?..

— Rozumiem! — przerwała raz drugi pani Choryńska i wstała z szezlonga. — Pozwól

doktorze, że się namyślę — ciągnęła chodząc wzdłuż pokoju — odpowiedź nie jest tak łatwą, jakby ci się zdawało, nawet dla mnie, znającej na palcach Skorupskich. Domyślam się, *que vous voudriez*, przysłużyć się tym biednym Poryckim?

— Jak... naj...

— Pozwól! — Siedź cicho! Skombinuję.

Chodziła chwilę głęboko zadumana. Nagle przystanęła i zapytała:

— Pan Jan nigdy z tobą nie mówił o Poryckich?

— Nigdy! Owszem unika...

— Ale wie, że brat twój sąsiaduje?

— Wie...

Ruszyła dalej i chodziła po smyrneńskim dywanie, wolnym krokiem. Ale oczy jej błyszczały, policzki rumieniły się od takich rumieńców, iż Sielenia zastanowiły. On znów zatopił się w zadumie nad pytaniem, dla czego wszystko, co dotyczyło Skorupskich, tak żywo obchodziło tę kobietę. Nie przez przyjaźń — myślał — bo, co do tej przyjaźni, to był dość sprytnym, by jej fałszywe nuty, coraz silniej drgające uchwycić.

— Mówiłeś doktorze, że Poryckich zlicytują? — zagadnęła kobieta, przystając i jakby już z planem gotowym w głowie.

Sieleń ocknął się i spojrzał w oczy kobie-

cie. Zamilkł, bo go formalnie sparaliżował wyraz twarzy pani Wandy, rozpalony, namiętny i intrygujący.

— Tak... niezawodnie — bąknął — w końcu lutego sprzedaż... subhasta...

Pani Choryńska znów coś w głowie pokombinowała i zapytała

— Nie wiesz doktorze, czy książę Rudomin jest *avancé* w swem staraniu się o rękę panny Wilmy?...

— Nie umiałbym pani powiedzieć.

— Nie bywasz u Skorupskich... — zapytała prawie się jąkając — tylko w roli doktora?

— Nie! Bywam bardzo często.. Przyjmują mnie, jak przyjaciela.. Widuję..

— Widujesz Wilmę?

— Oh!

— Cóż więc myślisz o niej? — podchwyciła z największą ciekawością, nagle wychodząc z przedmiotu rozmowy.

— *Charmante personne*...

— I z temperamentem nielada — podchwyciła znacząco.

Sieleń objął ją ciekawem spojrzeniem. Nierozumiał — czuł — jej pytań, myśli,mowy, planów.

Ona tymczasem usiadła na szezlongu i wlepiając przenikliwy wzrok w Sielenia, zapytała:

— A więc masz pan do mnie nieograniczone zaufanie?

— Pani!

— I nazywasz mnie swoją dobrą gwiazdą?

— Czyż nią pani nie jesteś?

— A więc — podchwyciła z werwą. — Zdaje mi się... — urwała i zmieniła ton — po co uprzedzać wypadki... Możesz pan pomówić z panem Janem. To twojej pozycji w niczem nie zachwieje, owszem.. owszem... Słuchaj mnie pan dalej... Mówię do ciebie, jak do grobu...

— Pani!

— Jeśli pan Jan odmówi, to my Poryckim pomożemy, ale uczynimy to w ostatniej chwili. Ja ci doktorze dam pieniądze, a ty je pożyczysz pani Poryckiej.. Oh! są one pewne, jakkolwiek Skorupska mówi o wydziedziczeniu. Możesz więc uspokoić panią Porycką.. bardzo ją lubię.. w lutym fundusz mieć będzie, naturalnie, jeśli nic żadnym sposobem nie zdołasz zrobić z panem Janem.

— Nie wiedziałem, — zawołał doktor — że pani jesteś i dobroczynną gwiazdą...

— Ah! taka drobnostka... Wychowała się pod moimi oczyma. Będę szczęśliwą... ale pragnę tajemnicy. Nie chciałabym się poróżnić z panem Janem — mówiła urywkami pani Wanda, tonem spokojnym, któremu jednak wypieki na jej policzkach nie odpowiadały.

— A więc, doktorze — podchwyciła nagle innym głosem i przybierając znów inną pozę, co

jej ruchliwości było właściwem. — Jaknajprędzej zaczniesz działać na tego kochanego pana Jana... A i ja swoją drogą wsunę tam zgrabnie moje trzy grosze.. Może co zrobimy dla tych biednych Poryckich?... A nie wiem, czy pani Porycka wie, iż Skorupscy podwyższyli posag panny Wilmy? W takim razie nawet słusznie jej się ta zwyżka należy. W świecie rozeszła się wieść, że panna Wilma dostaje w dzień ślubu dwa kroć.. pan Jan miał sam to wyrazić, więc to pewne, a pani Rena dostała tylko sto i trzydzieści...

— Sto i pięćdziesiąt — podchwycił doktór.

— Więc będzie mieć powód z chwilą wyjścia Wilmy za mąż do słusznej pretensji o pięćdziesiąt — dokończyła pani Wanda.

Poprawiła się na krześle i nagle zapytała

— Powiedz mi doktorze, dlaczego nie bywasz w świecie?

Sieleń spojrzał na nią wzrokiem zdziwionym. Zdawało mu się ciągle, iż tym razem jego klientka miała jakąś ukrytą myśl i tę odgadnąć usiłował. Pracował wytężająco mózgiem, by przeniknąć jej kryjące się po za tem wszystkiem plany zdradzane jej ożywieniem, jej namysłem, jej dziwnymi pytaniami, jej przerzucaniem się wreszcie z przedmiotu na przedmiot. Po namyśle odparł.

— Nie proszą mnie nigdzie. W Polsce doktór...

— Ale nie pan! — przerwała pani Wanda rozumiejąca niedokończone zdania. — Trzeba, byś bywał, trzeba byś się zaprzyjaźnił z młodymi mężczyznami, byś się zrobił *un médecin du monde*... Czasu ci nie brak... To może ci się przydać... bardzo przydać — dodała z naciskiem.

Sieleń rzucił na nią spojrzenie pełne uwielbienia i wdzięczności. Tak! Nie ulegało wątpliwości, ta kobieta miała jakieś plany względem niego, których jednak wyjawić nie chciała. Młodzieńcowi serce zabiło, galopował wyobraźnią.

Pani Wanda ciągnęła.

— Nie potrzebujesz doktorze być *un enragé*, ale.. trzeba, byś należał do świata...

Doktór wlepił w nią oczy i słuchał. Każde zdanie jej ryło się w jego duszy. Zdawało mu się, iż każde słowo, które z namysłem i powolnie wyrzucała miało tajemnicze znaczenie, przedstawiało rozkaz, którego się ślepo tylko trzymać potrzebował.

Sprytna kobieta widziała, co się działo w duszy młodzieńca i ogarniało ją uczucie radości, że trafiała na tak podatny grunt. Ciągnęła więc

— U mnie miał być bal w końcu karnawału. Przyspieszę go... znacznie, abyś doktór zrobił na nim *votre entrée dans le monde*, jeśli dotąd by nie nadarzyła się sposobność. Zresztą dla człowieka tak sprytnego, jak pan.. ha! ha! Zabawną się sama sobie wydaję w mej roli mentora, ale

kobieta, *une femme*, to miewa te błyski myśli, które wam uciekają. Wy mężczyzni, grzeszycie zbyteczną skromnością i najśmielsi, jeszcze brakiem tupetu.

Sieleń uśmiechnął się i chciał coś wtrącić, ale pani Wanda, jakby pragnąc coprędzej wyczerpać przedmiot, nie pozwoliła.

— Zaprzyjaźń się pan z tym Rudominem — ciągnęła — *un prince... ça vous posera... et puis...* kuzyn domów, które przyjmują..

Nagle znowu innym tonem zapytała:

— Pani Porycka? kiedy przybyła?

— Onegdaj.

— A więc doktorze udasz się dzisiaj... zaraz... do pana Jana w interesie jego córki... Ja tam dziś także wieczorem będę. Nie mówże wypadkiem, iż ze mną...

— Ah! pani! Polecać mi dyskrecję...

— Zapewne... To, jakby ostrożność polecać aeronaucie... — zaśmiała się — ale czasem najmędrszym ludziom wyrwie się coś, co takim feinerom, jak pan Jan, wystarcza do odgadnięcia wielu rzeczy, których odgadnąć niepotrzebuje...

Sieleń wpadał w stan nerwowy. Czego ta kobieta chciała? Co miała na myśli? Dlaczego mu otwarcie planu swego nie wyjawiała? Tego planu, do którego potrzebnem było, by mówił z panem Janem, by nic nie uzyskał, by ona dała dziesięć tysięcy, by on bywał w świecie i zaprzyjaźnił się z Rudominem?

Kobieta spostrzegła, iż młodzieńcowi szumiało w głowie i powstała.

— A teraz! Do widzenia! Ja jadę z wizytami, a pan właśnie zastaniesz pana Jana. Przystąp wprost do rzeczy... Czas mija... Gadając tak z panem, gadałabym do nocy... *un bon causeur voyez vous...* to rzadsze, niż biały kruk... Pamiętaj pan, com mówiła. Miewam chwile wieszcze... a takbym chciała cię widzieć tym...

— Kim mnie chcesz uczynić... pani?...

— Kim cię uczyni doktorze twój rozum, nauka i tyle, tyyyle zalet...

Pożegnała go, a Sieleń wybiegł z szumem w głowie. Nie umiał sobie zdać sprawy z tego posiedzenia u pani Choryńskiej, tak odmiennego od wielu, ale którego jakieś tajne cele czuł i odgadywał.

Kiedy on spieszył do pana Jana, u którego właśnie miał skonstatować skutek trzech pigułek Deviva, zażytych w czasie wilji balu, na jakim pacjent koniecznie obecnym i zdrowym być pragnął, pani Wanda, w towarzystwie swej najstarszej córki, wsiadała do karety.

— Trzeba działać — szeptała myślą i ruchem pięknych ust tylko — Rudomin wczoraj był *assidu* przy Wilmie... Pan Jan nawet wystąpił, to znak, że się akcja zaczyna. Do tego przyjść nie może... Oni drugą... ja żadnej..

Spojrzała z widoczną złością na siedzącą przy niej córkę i zacisnęła usta, zapuszczając wzrok bezmyślnie w ulicę, którą pędził ekwipaż.

W głowie jej szumiało. Nie mogła rozprószyć myśli, wciąż jej stawiających przed oczami to Poryckiego, to Rudomina.

— Hrabia i książę! — szeptała — i to nie zgorsi... Ten złoty pan Jan myśli, że Wilma, to ósmy cud... bryzga tem.. Jeśliby Wilma wyszła za Rudomina, nie byłoby sposobu mu *faire comprendre*, że...

Urwała, bo kareta stanęła przed pałacem Kinsteinów.

IX.

Skorupscy siedzieli naprzeciw siebie, zamknięci w gabinecie pana Jana, pogrążeni w przygnębieniu, graniczącem niemal z obłędem. Aby się lepiej zastanowić nad grozą swego położenia, wysłali Wilmę do przyjaciółki jej, hrabianki Elizy i od godziny już czekając na zapowiedziane przybycie pani Choryńskiej, radzili, co dalej począć.

Sytuacja wydawała im się straszną.

Rudomin się starał, ale starał się ostrożnie i jeszcze bynajmniej niczem się nie angażował. W takiej właśnie chwili przybywała hrabina Porycka do Warszawy i głosiła swe opłakane interesy, posuwała do tego stopnia swą w oczach ich bezgraniczną bezwzględność względem rodziców, iż używała doktora, mającego – jak sądzili — szerokie stosunki w mieście, za pośrednika między sobą a rodzicami.

Wyczerpali byli już całe oburzenie swoje

na postępowanie córki, całą złość swoją na zięcia, który śmiał nietylko pozostawać w długach, ale nadto jeszcze o tych długach im donosić, im, znać go nie chcącym. Oni wydali córkę za hrabiego Poryckiego, który miał być panem choćby tylko stu i pięćdziesięciu tysięcy rubli posagu, ale nie obdłużonym dziedzicem wołyńskiej fortuny, broniącym się przeciw licytacjom. Licytacja w oczach pana Jana równała się policzkowi. Jedno i drugie nie mogło według niego z zasady spotykać ludzi, należących do pewnych sfer społecznych.

Po długiem milczeniu odezwała się pani Matylda:

— Ta Porycka gotowa roznieść po mieście... Ona gotowa być u Giedyminów, u Alfredów, u .. i powiedzieć im, że w lutym ich sprzedadzą, że nie chcemy dać dziesięciu tysięcy. Ja ci mówię...

— On ją umyślnie przysłał — podchwycił pan Jan, kładąc dziwny nacisk na tem słowie „on". Inaczej bowiem o zięciu się nie wyrażał. — On — ciągnął — nie potrzebuje dziesięciu tysięcy. On sobie bez nich by dał radę... On umyślnie ciągle się każe sprzedawać i ciągle na biedę jęczy, by mnie do grobu wpędzić. On wie, że taka wizyta Reny w Warszawie odbiera mi kilka lat życia. On mnie nienawidzi i dlatego tylko jest w długach.

— Co do tego — chciała wtrącić pani Matylda, ale mąż jej nie pozwolił, podchwytując:

— Nie mów mi! Ja wiem. Wiem o tem. On... — urwał i ciągnął: — Ale co począć. Co począć? — zawołał z rodzajem rozpaczy w swym spokojnym głosie. — Dać nie możemy. Zrujnowalibyśmy się i tych wołyńskich, obdłużonych stepów nie oczyścili.

— Nie to tylko — zawołała, nabiegając na twarzy kolorami, żona — ale dać nie możemy, bo dać nie chcemy. Ja nie mam córki! Ja nie znam zięcia! On śmie nam teraz, gdy wiedzieć musi, że tak pragniemy wydać dobrze Wilmę, takie robić swymi interesami... balanse! — mówiła z oburzeniem, nie mającem granic.

— Więc — przerwał pan Jan pytająco — uważasz, że dać nie możemy?

— Ależ naturalnie.

— Więc ich sprzedadzą?

— Niech sprzedadzą!

— Ale czy tylko ta sprzedaż?...

— Nie zastraszy Rudomina? Nie! — zawołała z przekonaniem pani Matylda. — Wczoraj powiedziałam mu...

— Komu? — zapytał, bledniejąc Skorupski.

— Rudominowi!

— Coś mu powiedziała? — podchwycił drżąc z trwogi.

— Powiedziałam mu *mon gendre ne mérite*

pas montre amour, et je n'ai pas de gendre. J'ai une fille, dodałam z dumą i naciskiem na *une*.

— Jakież to zrobiło na nim wrażenie? — podchwycił jeszcze nieuspokojony pan Jan.

— Najlepsze! Przecież ma dość oleju w głowie, by wiedzieć, że na tem tylko dobrze wyjść może...

- Jesteś tego pewną?

— Pewną!

Pan Jan odetchnął i zamyślił się, opierając głowę na poręczy krzesła.

— Możeby... — odezwał się po pauzie — możeby...

— Co?

— Wymyśleć coś, coby nie jątrzyło tej Reny, coby światu nie dawało powodu...

— Chcesz go przeprosić? Dać mu za to, że... — pytała w najwyższem rozdrażnieniu — nasyła nam doktorów w chwili, gdy my chcemy wydać córkę za taką partję? że światu odkrywa także mizerje rodzinne?...

Przerwała swe gorące pytania, lecz pan Jan pobladł i cały w potach wstał z krzesła.

— Że ci zdrowie niszczy? — podchwyciła żona i urwała, bo dostrzegła na wyrazistem, mieniącem się jak kameleon, obliczu męża pomięszanie, które pochodziło z jakiejś nowej myśli.

— Wiesz — zagadnął swym tonem dyplomaty, knującego obalenie państwa. — Wczoraj w klubie spotkałem Krajkorońskiego, któremu on dotąd jeszcze nie oddał tych głupich dwóch tysięcy. Uważasz? narażać mnie! mnie? na takie upokorzenia, abym codzień w klubie spotykał dżentelmana, któremu mój zięć winien dwa tysiące..?

Pani Matylda, to czerwieniała, to bladła z oburzenia.

— Jak to nas musi kompromitować! — zauważyła.

— Lepiej, by zbankrutowali i zniknęli — zakonkludował stanowczo pan Jan. — Człowiek bezpiecznie ruszać się nie może, a tak... będzie koniec. Stracili! Mało to ludzi traci? A dziś? dziś? niby jesteśmy obowiązani pomagać. Te paroksyzmy interesów jego szkodzą nam, szkodzą mi... szkodzą Wilmie...

To mówiąc, usiadł przy biurku i zaczął pisać. Nastąpiła cisza, w której tylko słychać było posuwanie się pióra pana Jana po papierze.

Wstał z listem w ręku

— Słuchaj! Do Sielenia tak napisałem — tu odetchnął i potoczystym tonem, modelując umiejętnie, jak wszyscy ludzie pozostający w admiracji samych siebie, czytał. — „Szanowny i kochany doktorze! Oceniając szlachetne uczucia, które cię skłoniły do pośredniczenia w wiadomym interesie, przykro mi być zmuszonym

donieść ci, że żadna kombinacja dalej z hrabią Poryckim nie jest możliwą. Człowiek ten postępowaniem swem okazał się niegodnym uczuć, któreby mogły nas skłonić do zajmowania się nadal jego osobą czy interesami, które chyląc się po takiej pochyłości jak dotąd, do przepaści się stoczyć muszą. Każdy grosz, włożony w nie, nie tylko by nie polepszył, lecz nadto przedłużając to konanie, pogorszył by los nieszczęsnej mej córki i byłby dla mnie nie do darowania lekkomyślnem marnotrawstwem. Racz przyjąć etc."

— Doskonale! — wykrzyknęła pani Matylda, a Skorupski list włożył do koperty, zaadresował i wysłał.

Ulżyło mu to. Z jedną katastrofą skończył, skoro ją od siebie oddalił. Pozostawało tylko obmyślenie środków, aby światu zamydlić oczy i nie pozwolić się zajmować Poryckimi, coby mogło żle wpłynąć na Rudomina.

Pomyślawszy chwilę, odezwał się do żony:

—Wanda kiedyś uważała słusznie, że nasze milczenie o Poryckim jest taktyką, mogącą się przeciw nam obrócić. Postanowiłem też głośno potępiać tego jegomościa Ale teraz lepiej będzie jeszcze wstrzymać się z tem. Ciekawym, co pani Wanda powie... Trzeba też również pozyskać sobie Sielenia. Jeśli on ma przekonanie, jak mi

się zdaje, że to my jesteśmy względem tego *en défaut*, to trzeba mu je wybić z głowy.

Obmyślę coś, tymczasem ciekawym... Ot i jest — zawołał, słysząc delikatne zajęczenie dzwonka w przedpokoju.

— Wanda! — zawołała Skorupska i wybiegła naprzeciw przyjaciółki.

Pan Jan wyjął z kieszeni od zegarka małe lusterko z grzebykiem. Przyjrzał się sam sobie. Poprawił misternej fryzury i wygładzonych, niepokalanych faworytów. Potem wyciągnął język i długo go w lustrze obserwował. Wreszcie schował aparaty toaletowe, a sięgnął po pudełeczko złote, artystyczne, staroświeckie mieszczące kilkadziesiąt białych pigułek. Spojrzał na zegarek, ktorego wskazówki stały na ósmej bez czterech minut.

— Brakuje czterech minut, ale to chyba nie robi różnicy... — szepnął. Mimo to, położył przed sobą na stole zegarek i czekał, aż wskazówki staną punktualnie na ósmej.

Wreszcie, usłyszawszy w przyległym salonie kroki żony i przyjaciółki, zrobił niezadowoloną minę, bo do ósmej brakowało trzy ćwierci minuty i połknął ożywczą pigułkę Sielenia.

Obie damy równocześnie weszły. Pani Choryńska zarumieniona jęła zasypywać komplementami *a propos* wyglądu przyjaciela, gdy wszystko

przerwała wzburzona Skorupska, zwracając się do męża.

— Wystaw sobie! Całe miasto wre. Rena objechała wszystkich... Wandę dziś wszyscy zaczepiali interesami Poryckich.

Pan Jan pobladł, ale mimo to z wysiłkiem nie pozwolił irytacji i trwodze owładnąć jego rysami. Zawsze szczególnie bał się porzucenia maski wobec pani Wandy.

— Jakże dobrze — zawołał do niej — że pani przychodzisz... *Voilà une vraie amie* Potrzebujemy jej rady, jej zdania...

Obsiedli jak konspiratorzy stół dokoła i spoglądali po sobie.

— A więc moi drodzy — zaczęła pani Choryńska — *on ne fait que parler de vous, et de Porycki*. Rena bawi w Warszawie... widziała mnóstwo osób...

Pani Wanda urwała, a Skorupska, chwytając ją za rękę prosiła:

— No mów! mów! wszystko! Wiesz dobrze, że sobie kpimy z tego, co mówią, a robimy, co Jaś za rozumne i uczciwe uzna. Opowiadaj wszystko!

Niedostrzegalny uśmiech przeleciał po obliczu pani Wandy i podchwyciła:

— Co mówią? Nic i wiele. Jedni stoją po stronie waszej, drudzy po stronie ich. Adela na recepcji głośno się wyraziła, że nie macie prawa

olśniewać ludzi toaletami i zbytkiem, mając dzieci w nędzy... Alluzję robiła.. *elle est jalouse*.

Urwała i spojrzała na pana Jana. Ten był blady, jak po nieopisanem wstrząśnieniu, jak po śmiertelnym wypadku.

— Nie! nie! — zawołała — nie będę mówiła. Co wam potem? Ot, kochany pan Jan już się mieni! *Mais cher ami*...

— Ten człowiek.. On... — bąknął Skorupski i urwał, bo mu głosu brakło. Publiczne odezwanie się księżnej Adeli przechodziło granice jego panowania nad sobą. — Mówisz pani, że księżna — pytał grobowym głosem — publicznie... na recepcji? Dużo osób było?

— Czterdzieści, trzydzieści... *que sais-je?* Dziś przed piątą. Gdybym nie słyszała na własne uszy?... ale... Trzeba coś obmyśleć. Teraz gdy ten Rudomin stara się o Wilmę, takie sarkania na was...

— Droga pani! — jęknął pan Jan. — Ale co robić? Co? Przecież...

Urwał i nastało milczenie, z którego skorzystała pani Wanda.

— Wiem, że Rena przyjechała teraz po pieniądze *une bêtise*, ale...

— Zkąd wiesz? — krzyknęła pani Matylda.

— *On en parle*...

— Przez Sielenia?

— Przez Sielenia? — powtórzyła z nieopisanem zdumieniem Choryńska. — Zkądże Sieleń?

— Wystaw sobie pani! — wtrącił Skorupski. — Sielenia w tym interesie przysłał do mnie!...

— Kto?

— On!

— Kto!

— Ten jegomość.

— A! — zawołała pani Wanda. — Nie widziałam go od tygodnia. Mówiono o tem u... u.. u...

— Gdzie?

— G...dzie?

— U księżnej także! — odparła prawie naturalnie.

Pan Jan ciężko westchnął, a pani Wanda czemprędzej podchwyciła.

— Dać nie możecie, *parce que ça ne finirait pas... et puis...* mam posądzenie... mam *une idèe.*

— Mianowicie? — zapytał ciekawie Skorupski.

— Porycki — odparła — umyślnie wam takie figle płata. *Au beau milieu du carnaval,* wiedząc, jak wam zależy...

Pan Jan spojrzał na żonę, pytając wzrokiem czy słyszy. Ta rozumna kobieta schodziła się z nim.

Długie zapanowało milczenio. Pani Wanda połyskiwała oczyma i śledziła przyjaciół, a w du-

szy wytężająco myślała, jakimby bodźcem zmusić pana Jana do wyjścia ze swej taktyki, do otwartego wystąpienia przeciw zięciowi. Uważała bowiem, że milczenie w tym względzie było jego potężną bronią, jego achillesową piętą. Gdyby Skorupscy zaczęli obgadywać zięcia... *Or qui medit, a tort...*

— Umyślnie — podchwyciła — dziś do was się zaangażowałam. Uważam bowiem, *que le petit prince Rudomin..* — urwała cedząc i spojrzała na panią Matyldę. Ta poczerwieniała.

— Jakiem prawem — myślała — Wanda śmiała nazywać pretendenta do ręki jej córki *petit prince?* Ona, co żadnego nie miała...? Pan Jan uspakajał żonę magnetyzującem spojrzeniem. Choryńska ciągnęła.

— Stara się na dobre... *ça marche très bien*... a musicie go go...rą...co pragnąć?... Porycki nie ma nic do stracenia. Jeśli już jesteście na takiej stopie. *S'il n'a rien à perdre* to przynajmniej popsuje wam... z Wilmą. To złośliwy człowiek...

— On mnie nienawidzi! — syknął blady pan Jan.

To syknięcie dodało jeszcze werwy pani Wandzie. Mówiła bez wytchnienia, potrącała o Sielenia, którego wtajemniczenie w ten stosunek uważała za fatalny krok.

— To doktor *en vogue* — prawiła — kto

wie, jak on się tam *au fond de son coeur* zapatruje na to wszystko...

A Skorupscy porwani jej wymową, jej przyjaźnią, jej sprytem przenikającym tajniki, które tylko pan Jan uważałby się w sile przeniknąć, zwierzali się mimowolnie ze swych ukrytych i tajonych trosk i zdradzali się bezwiednie ze swych próżności, ambicyi i złości.

Pan Jan czuł, iż całe zapasy zdrowia, nabyte pigułkami D e v i v a, ulatują podczas tego wieczoru. Mało mówił, tylko słuchał, myślał i obserwował przyjaciółkę. Wysoko ją cenił, ale z jednej strony, w przyjaźń z zasady nie wierzył, a z drugiej w wyższość pani Wandy, pozwalającą jej tak pogodnie patrzeć na Rudomina *le petit prince.* To „*petit*“ obudziło w nim pewne podejrzenie i w ślad za tem, znaczne zaniepokojenie i nowe trwogi.

* * *

Po północy dnia tego, zażywszy czwartą i ostatnią pigułkę D e v i v a, czy Sielenia, kładąc się do łóżka, odezwał się do żony:

— Obmyśliłem cały plan, którego niewolniczo trzymać się będziemy... Do czego nas ten Porycki doprowadził? Okropność! Doktorzy jacyś, takie indywidua! *de la canaille!* mięszają się w nasze osobiste stosunki...

Westchnął z oburzenia, ale rozpędził je zaraz, przypominając sobie, że mu Sieleń polecił uni-

kać drażniących go myśli, i po chwili ciągnął spokojnie, intonując naciskiem głosu na pewnych ustępach swych zleceń.

— Z Sielenia trzeba sobie zrobić przyjaciela i stronnika. Przypuśćmy go do *intimité.* To doktor, ale przytem człowiek dobrze wychowany. Niech na własne oczy widzi, że tacy ludzie, jak my, tylko słuszność mieć możemy... To jedno, a powtóre... ten stosunek z Poryckimi to paplanie świata by mnie zabiło, zniweczyło by cały skutek pigułek.

Zmienił ton na bardzo głęboki.

— Użyję Sielenia. Jeśli Porycki się upokorzy, sprzeda te stepy... oczyści się.. zapomnimy co było. My będziemy w tem bierni. Sieleń może im inicjować, a jemu udzieli Wanda mych myśli... W tym celu urządź kiedy jaki wieczorek *pour commencer* z Sieleniem... z nim, Wandą i jeszcze kim dla pozorów... Sielenia trzeba zjednać.. choćby dla okolicy.. *jego.* Z Wandą się strzeż. Wścieka się o Rudomina... Nie można jej już trzymać *au courant*... Trzeba jej jednak wybaczyć. Mieć trzy panny, o które nikt się nie spyta. Uważałaś jak mówiła o Radominie *petit prince?*

— *Petit prince!* — fuknęła pani Matylda.

— Z Rudominem trzeba spieszyć... Co do Poryckich milczeć.. Wandy rada?... Milczenie

jest godnem, a my tylko godnymi być możemy... to najwięcej światu imponuje...

Błogo zasypiał, a wydawało mu się, że lepiej sypia od chwili użycia pigułek. Szepnął więc do żony.

— Dawniej po takich wstrząśnieniach nie zmrużył bym oka. Teraz zaś czuję, że zasnę. Te pigułki przywrócą mi zdrowie. Złoty Sieleń! Jeśli jeszcze uwolni mnie od tych stepów rodowych. Ta Wanda! ozłociłbym ją za tego Sieleńka!

Usnął wkrótce.

X.

Minęło kilka tygodni. Pani Wanda niemało się dziwiła, że Skorupscy nie trzymają jej *au courant* biegu wypadków z Poryckimi i Rudominem.

Widywała często doktora, więc wiedziała, jak pan Jan załatwił interes z zięciem.

Widywała w świecie Rudomina i sprawdzała, iż tenże coraz jawniej się stara o rękę Wilmy.

Bolało ją jednak, a raczej drażniło to, że Skorupscy nie zwierzali się jej jak ongi, ze wszystkiego. Tę okoliczność dobierała za jedną więcej do tych, które jej, jak sądziła, kazały knuć dalej intrygę przeciw przyjaciołom. Ta kabała jednak, wydawała się jej samej bardzo trudną. Sama siebie nie jeden raz na dzień pytała, na jakich fundamentach ją oparła i dlaczego prawie niemożliwy sposób wybrała w celu upokorzenia swych zaszczęśliwych i zbyt zarozumiałych przyjaciół?

Ale, bo też jej nie tyle zależało na upieczeniu przy tym ogniu własnej pieczeni, ile na upokorzeniu tego kochanego pana Jana, tak pewnego swej taktyki, tej Matyldy, tak bezczelnej tą pewnością w swą szczęśliwą gwiazdę, tem ślepem zaufaniem w rozum mężowski, swą wiarą w bajeczną wyjątkowość Wilmy. Przypominała sobie, że i z Reną było to samo. Przypominała sobie, jak w swoim czasie ona zabiegała o Poryckiego, jej przyjaciółka zaś godnie się względem niego zachowywała.. Jej zabiegi ośmieszyły ją tylko, jej intrygi wtedy o mało jej z przyjaciołmi nie poróżniły... Porycki ożenił się ze Skorupską. Dziś nie chodziło jej już by Rudomin przerzucił się, na jej córkę. . Uważała to za zbyt śmiałe nawet na swój rozum... Ale zależało jej na tem, by Rudomin się nie ożenił z Wilmą. Pragnęła, by Skorupski, który był jej raz, narzekającej na brak konkurentów o córki, powiedział, iż tem się nigdy nie turbował bo od tego ma głowę, by wybierać zięciów, doznał większej niż z Poryckim katastrofy, skoro ta właściwie niczem nie była.

Szczegóły swej intrygi genjalnie obmyślała, tak genjalnie, iż sama przed sobą do nich się nie przyznawała. By władać łatwiej swemi wyrafinowanymi w tym kierunku zmysłami, zaparła się własnego w kabale interesu.

— Może... może... – myślała, ale to może

schodziło na drugi plan. Tu jej chodziło o porażkę Skorupskich, którzy w pozycji światowej, od chwili wprowadzenia w świat córek, ją wyścignęli, którzy wreszcie ją kilkakrotnie głęboko zranili może bezwiednie i ukłóciem delikatniejszem od tego, jakie zadaje lancet najwprawniejszego chirurga. Ale ta delikatność właśnie tych ukłóć, ich błyskawiczna szybkość, tem więcej robiła je pamiętnymi, a dlatego niezatartymi, że pochodziły od przyjaciela, który ją swoją finezją nieraz wywiódł w pole.

— On twierdził, że tytuł jest dlań defektem u zięcia. — Zaśmiała się.

Pani Choryńska z rozpaczą spostrzegała, że dwa tygodnie, wypełnione wirem światowym, nie posunęły nic naprzód jej planów. Była wprawdzie dała bal, na którym zaprezentowała Sielenia, jako najwykwintniejszego Paryżanina, na którym tenże do tego stopnia dobrze się wydał, iż pana Jana oblicze nie wyrażało zgrozy, gdy ujrzał podczas mazura, w jednej z tańczących par, Wilmę z — doktorem.

— *C'est assez dire* — szepnęła, przypominając sobie tą chwilę i pocie zając się — nie zrobiłam jeszcze nic, ale przecież...

Wtem odezwał się dzwonek oczekiwanem dnia tego tętnem. Uśmiechnięty, elegancki, wyświeżony i pański doktor wszedł do buduaru.

— Zdrowie pani?... — zapytał.

— Zupełnie dobrze.

— Czy to pożegnanie?

— Ah! — obruszyła się pani Choryńska — obrzydliwym pan jesteś *avec vos façons de médecin*, które czasem przybierasz. Siadaj i... opowiadaj.. coś robił wczoraj... co robisz dzisiaj?

— Wczoraj... nic.. dziś zaś jestem proszony na wieczorek do państwa Skorupskich.

Pani Wandy oblicze pokryły kolory. Milczała. Wieczorek u Janów z Sieleniem, o którym ona nie wiedziała nawet. Wtem wszedł lokaj i podał jej bilet. Z pośpiechem oczami go przebiegła.

— Więc — zawołała tryumfująco — Matylda i mnie prosi... pisze, *ça sera quelque chose tout a fait intime* — tu wlepiła wzrok w młodzieńca i zapytała: — Jesteś *un intime* więc?

— Któżby nim był, jeśli nie doktor? — odparł znacząco Sieleń.

— Ah! ten doktor! — obruszyła się kobieta.

Nastąpiła krótka cisza. Podczas trwania tejże Sieleń śledził twarz pani Wandy. On postanowił dnia tego wydrzeć jej ten plan, który czuł, że z nim w jakiejś roli, knuła. Chciał ją zajść tak sprytnie, by musiała się zdradzić, choćby nawet nie chciała.

— Pani — odparł z dwuznacznym uśmiechem — jak się jest doktorem...

— Bądźże sobie nim — zawołała kobieta przerywając — ale, gdy nie auskultujesz, to nie wspominajże o tem... Dziś, na tym poufnym wieczorku gotóweś nam palnąć dysputę o... o..

— Niezawodnie! — zawołał z udanem przekonaniem.

— Żartujesz? — zapytała z przestrachem pani Wanda.— Wiedz że że ci rozkazuję doktorze? Dziś wieczór być światowcem! wielkim panem aż do końców paznogci.

— Jeśli to panią bawić będzie?...

— Nie o mnie chodzi — zawołała z pośpiechem pani Wanda, nie zwracając nawet uwagi na minę młodzieńca, pełną przenikliwej ciekawości i ziejącą sprytem — tu chodzi o pannę... Wilmę!

— Ależ! — zaśmiał się Sieleń, jakby już przygotowany na tę aluzję, lub też jej nie biorący na serjo — ją przecież bawić będzie Rudomin!

Powiedział to tak naturalnie, iż kobietę ogarnęła złość.

— Rudomin! Rudomin!! — zawołała, a wstając uchwyciła Sielenia za rękę, poprzedziła go do olbrzymiego lustra, stojącego między oknami i przystając zapytała:

— Masz doktor w pamięci Rudomina?

— Mam!

— To przypatrzże się sobie i przypomnijże sobie jego.

Młodzieniec z naiwnością, której stopnia szczerości odgadnąć z jego miny było niepodobieństwem, zastosował się do rozkazu i podziwiał swoją swoją wysmukłą, arystokratyczną w lustrze figurę.

Zbyt się kochał, by na obliczu jego nie odbiło się zadowolenie. Dostrzegła je pani Wanda i zagadnęła.

— Wyście wszyscy... osły! Wy mężczyzni! — zawołała z oburzeniem i urwała, by ciągnąć innym tonem — zdajesz się pan wiedzieć, że panny w świecie wychowywane są tak, by się tylko mogły zakochać w złocie lub tytule, czego która potrzebuje. Ale wiedzże odemnie, że bywają między nimi panny... z większym temperamentem, które zapominają o pacierzu, jeśli tego umie chcieć taki, jak pan... doktor... ha! ha!

Zaśmiała się nerwowo i ruszyła z miejsca, zostawiając Sielenia, bynajmniej nie zdziwionego i nic nierozumi jącego.

Ona jeszcze podchwyciła, tyłem do niego obrócona.

— Żeby tak niedomyślnym, tak nieśmiałym był Sieleń... *passe!* ale Sieleń Paryżanin, który powinien wiedzieć, *ce que fait une belle taille et*

de l'esrrit. Sieleń doktor! który powinien się znać na pewnych wyrazach pewnych oczu dystyngowanych i... i...

Urwała i już do tego przedmiotu niepowróciła, bo zamyślone oblicze Sielenia ją upewniało.

XI.

Oświecone salony państwa Skorupskich zgromadziły dnia tego szczupłe grono przyjaciół.

Pan Jan chodził i promieniał swym wyrazem, ale tylko w oczach pani Wandy, która wystudjowała i znała doskonale jego angielską maskę. Dla wszystkich był godnym dżentelmanem.

Zbliżył się do żony w chwili, w której nikt ich zauważyć nie mógł i szepnął, wskazując wzrokiem w kąt salonu, gdzie się wesoło zabawiali, Wilma, książę, Sieleń i pani Choryńska.

— Widzisz! Jak dobrze zrobiłem, zapraszając tego doktora?... wyborny parawan! Nigdyby tak księciu nie szło sam na sam z Wilmą lub z innym...

— Jakim rywalem — dodała pani Matylda.

— A przytem — podchwycił mąż — oceni naszą grzeczność i spełni swą misję... Ten doktór *fait très bien*... Bałem się, by nie raził.

Nie uwierzysz bowiem, jak ci ludzie zwykle tracą na mniejszych zebraniach.

Pani Wanda zaś nie spuszczała oka z bawiących się w kącie salonu par. Wzrok jej, z którym się taić musiała przed panem Janem, tryskał nieopisaną przenikliwością i wprawą w tej, że, ile razy obejmowała nim grupę młodych ludzi. Z szybkością błyskawicy to biegał z Sielenia na Wilmę, z tej na księcia i podchwytywał wyrazy, a odgadywał z poruszeń warg słowa. A mina, jaką przytem dla salonu miała, bynajmniej zdradzić nie mogła gorączkowego interesu, jaki dla niej ten obraz przedstawiał. W salonie bawiło jeszcze kilka osób. Mądry, przemądry pan Jan, nie mógł dać temu wieczorowi, choćby tylko z obawy przed podchwytliwością przyjaciółki, pozorów urządzonego polowańka na Rudomina. Zresztą, on z zasady był przeciwnym polowaniom na zięciów. Twierdził, iż najwięcej ich się przyciąga, nie zachęcając ich, najwięcej ich się rozwydrza, nie dbając o nich. Tego systemu trzymał się był z Poryckim i tego trzymał się teraz z Rudominem. W salonie był wyznawcą zasady Talleyranda, który powiedział: „nie ofiarowuj nigdy twego towaru, jeśli chcesz by miał pokup.“ On już swoje zrobił. W klubie, połykając małemi dozami kieliszek szampana, którym mu Sieleń kazał popijać pigułkę, powiedział był: „kapitały tak spadają, iż my, oj-

cowie musimy o jedną czwartą podwyższyć posagi córek, chcąc wyrównać dyferencje procentów obniżki."

W salonach prócz księcia znajdowało się kilku młodzieńców, skwapliwie z towarzystwa warszawskiego przez panią Matyldę wybranych, à nie mogących być rywalami tegoż.

Bawiła też hrabina Warewska, gorąco pragnąca związku siostrzeńca z Wilmą, bo wiedziała, że pan Jan był słownym i rzetelnym. Nie przestawała ona powtarzać księciu:

— Posagi są zawsze dwa. Jeden, który panna dostanie i drugi, który dostaje. Jednego tylko znam w Warszawie pana Jana, który da to, co daje.

Pan Jan wiedział, iż na swej znanej słowności w chwili zdy-kredytowania posagów zrobi doskonały interes.

— Każda z córek Wandy — mawiał tajemniczo do żony — dostanie więcej od Wilmy, ale cóż z tego, kiedy nikt temu wierzyć nie chce.

Prócz hrabiny Warewskiej, znajdowała się i księżna, którą Skorupski postanowił przejednać był więc dla niej dnia tego niezmęczonym w nadskakiwaniu.

Pani Wanda jedna charakter dyplomatyczny tego wieczorku rozumiała. Ona jedna rozumiała cel jego, jakoteż obecność każdego z gości. Nie pytała się, dlaczego ona tam była, bo wiedziała.

Pan Jan bał się języka jej jednej w świecie..... Temu może zawdzięczała swoje istnienie dwudziestoletnia przyjaźń jej z tym człowiekiem, który wszystko robił z planem. Te myśli tego dnia dopiero pierwszy raz nasunęły się pani Choryńskiej. Uczuła urazę do przyjaciela, że ją przez dwadzieścia lat w pole wyprowadzał. Ona zawsze myślała, że on się w niej trochę podkochiwał. Dziś dopiero przejrzała jasno. Pan Jan ją całe życie oszczędzał, odgadnąwszy w niej kobietę, mogącą podchwycić jego kabały.

Gdy o tem właśnie myślała, zbliżył się do niej Skorupski i usiadł obok.

— Nie umiem pani wyrazić mojej wdzięczności za tego Sielenia.

— Widzę! widzę! — odparła, usiłując przywołać na twarz swój rozbawiony wyraz. — Jeśli tak dalej pan młodnieć będziesz, Wilma zostanie starą panną... Któżby chciał mieć tak młodego teścia?... Ale żarty na bok. Te pigułki.. Ten Sieleń, to znakomitość!

— Mówię pani, że się rzeczywiście czuję codzień młodszym.

— Nie radziłabym panu mówić tego zbyt głośno.

Skorupski, który na migi mógłby się był rozmawiać z przyjaciółką, tym razem nie zrozumiał jej i to już mu wystarczyło, by postanowił mieć się na baczności.

*

— Dlaczego? — zapytał.

— Rudomin potrzebuje i będzie potrzebował, jak Porycki i to z dodatkiem wyższości tytułu.

Pan Jan lekko zbladł, ale z uśmiechu nie wyprostował rysów.

— Dlatego też bardzo bym się nad nim namyślał...

— Czyż? — zapytała tylko, obejmując go wzrokiem.

Pan Jan silnie zbladł i oniemiał. To „czyż" zabrzmiało mu inaczej w uszach, niż wszystkie pytania, jakie od przyjaciółki przez dwadzieścia lat słyszał. To „czyż" go zelektryzowało, bo mu mówiło to, co zaledwie czasami przypuszczał. Pani Wanda go znała i znała tajniki jego duszy A być znanym — myślał — przez taką panią Wandę, to prowadziło ewentualnie do padnięcia ofiarą jej kabały, jeśliby jaka w jej głowie kiedv powstała.

— Że też ja pani... pani wytłumaczyć nie mogę — podchwycił — iż ten nieszczęśliwy tytuł Rudomina jest czarną plamą na jego karcie. Ludzie nieznający mnie, mogą przypuszczać, że wydałbym Wilmę.. Ach!... — urwał i dodał. — Jeśli mam prawdę pani powiedzieć, to sobie powinszujmy, iż nie nosimy tytułów. Ludzie uczciwi, dżentelmani w właściwem znaczeniu tego słowa, co raz rzadziej się spotykają noszący ten brelok.

— Brelok! ha! ha! ha! — zaśmiala się dama.

Pan Jan się ożywił, bo lubiał być dowcipnym i ciągnął:

— A cóż dopiero mówić o ludziach jakiejkolwiek zasługi?

Tu zapomniała się widocznie rozdrażniona pani Wanda i zawołała:

— Jeśli szukacie ludzi zasługi, młodych ludzi zasługi w salonie w Warszawie, *mais prenez Sieleń*, ma zasługę swych pigułek, mej migreny i pańskiego żołądka...

Pan Jan, nagle blady, jak ściana, objął spojrzeniem przyjaciółkę.

— Gdyby chciał tylko i Wilma, czy myśli pani? — zapytał serjo po chwili.

Pani Wanda zapóźno spostrzegła, że się dała porwać namiętności, wypływającej z jej rozumu i z właściwą sobie rzutkością przefrunęła na inny przedmiot.

Ale nie osiągnęła celu, bo pan Jan wkrótce później, opuściwszy ją, skinął na żonę i wyszli oboje do pustego saloniku. Tu szepnął jej:

— Wystrzegaj się Wandy. Jest wściekłą o Rudomina.

— A więc?

— Nie pokazuj po sobie żadnej pewności, ani pragnienia, bo gotowa zaintrygować.

Równocześnie Sieleń, korzystając z chwili,

w której książe zajął się panną Eweliną, będącą jak on parawanem, nachylił się do Wilmy i szepnął:

— Rodzice pani popełniają rodzaj zbrodni, produkując panią w świecie warszawskim.

Wilmę zadziwił i zabawił ten zwrot. Zrobiła zdziwioną i ciekawą minę, a on ciągnął:

— Piękność pani potrzebuje wielkiej stolicy, wyrafinowanych znawców. To książątko bawi mnie samym swym wzrokiem, jakim na panią patrzy.

— Jakiż jest ten wzrok?

— Wzrok kretyna, który widzi, że pani jest bardzo piękną, ale nie wie dlaczego.

— Powiedzże mi więc pan dlaczego? — zapytała z naciskiem i prawie złością, Wilma.

— Dlatego — odparł Sieleń — iż ten brylant, który masz pani w uszach, na tle jej różowego ciała zupełnie inaczej odbija, niż u wszystkich blondynek na świecie.

Wilma się zastanowiła, a Sieleń, śledząc jej zamyślony wyraz twarzy, sprawdzał, iż pewna dama w Paryżu dała dowód wielkiego rozumu, mówiąc mu raz: „Chcesz zrobić wrażenie na kobiecie, to wmów w nią, iż w jakiejkolwiek, choćby drobnostce, jest inną od wszystkich."

Wilma jeszcze dumała nad tem odkryciem doktora, którego nigdy nie słyszała, który uszedł

drobiazgowej uwadze jej ojca nawet, gdy młodzieniec się odezwał:

— Są pewne rodzaje kobiet, są pewne wyjątkowe zjawiska, których ocenić ani pojąć nawet nie jest w stanie człowiek, który bardzo wiele rzeczy nie widział, który kobiety nie studjował.

— Pan ją studjowałeś? — podchwyciła z wyzywającym, ale ciekawym uśmiechem.

— O tyle — odparł Sieleń — iż patrząc na panią, odgaduję w niej jedyne studjum artysty, jakim jest Twórca.

Gdy słowa te mówił, pani Wanda z miejsca swego powstała i zbliżyła się do stołu, u którego siedział. Oczy wlepione miała w twarz Wilmy. Przystanęła, jakby zapatrzona. Wtem Rudomin przerwał werwę Sieleniowi. Ten też ustępując mu miejsca, podniósł wzrok z Wilmy na salon. Spotkał się ze spojrzeniem pani Choryńskiej, wzywającem go dyskretnie do siebie. Zerwał się prawie, bo to spojrzenie jego protektorki pałało, a tryskało czemś, co mu miała powiedzieć. Zostawiając Wilmę jeszcze pod silnem wrażeniem swego komplimentu, czy swych magnetyzujących siwych oczu, opuścił miejsce i z najzupełniejszą swobodą zbliżył się do pani Wandy. Ta uprowadziła go do pustego saloniku, gdzie rzucając się na kanapę, wskazała mu miejsce obok siebie.

— Bardzo dobrze — zaczęła szeptem tajem-

niczym — bardzo dobrze, doktorze. Jeśli tak dalej pójdzie, jeśli oczy Wilmy z tym samym interesem słowa twe chwytać będą... jeśli z tym samym wyrazem będą na tobie spoczywać.. *ta carrière est faite.*

Fizjognomja młodzieńca zdawała się niedowierzać słowom pani Wandy. Ona też ciągnęła przekonywującym tonem:

— Ach! jacy wy... głupcy! Uwierzże mi pan raz, że ja mówię na poważnych danych, *fiez vous y.* My, kobiety tylko znamy się na pewnych wyrazach twarzy kobiet. Powracaj do salonu, piękny doktorze i szczęśliwy doktorze!

— Na dzisiaj skończyłem moją rolę...

— Masz słuszność. Roli twojej cechą powinna być taka rezerwa, iżby się nikt domyśleć nie mógł twych planów. Zacząłeś dobrze. Uśmiech, igrający na twych ustach, wielka swoboda twych manier nie miały nic wspólnego z wyglądem aspirantów. Zacząłeś dobrze!!! ale pamiętaj, że czasu masz bardzo mało... strasznie mało.. Ja dam podobny wieczorek niebawem.. dla Rudomina i Wilmy...

Zaśmiała się i śmiała się dalej, bo właśnie we drzwiach stanęła pani Matylda.

— Jesteście tutaj? — Bałamucisz doktora — zagadnęła przyjaciółkę. — Zdajesz się bawić wybornie... Z czegoż się śmiejesz?

— Z pana Sielenia! *Imaginez vous!* Twierdzi on, że Warewska potrzebuje kuracji, jego pigułek — tu zwróciła się do doktora i zapytała: — Więc pan i w świecie bywasz, aby robić studja na naszych cerach?

Uwaga była złośliwą, więc się zaśmiała i pani Matylda. A doktor, który miał bajeczny talent niezdradzania miną swych myśli, uśmiechał się stereotypowo, a mózg jego krajało pytaniem: czy pani Wanda, jeśli go zachęcała do tak śmiałego kroku, nie czyniła tego, by go ośmielić do starania się o jej córkę?

To pytanie męczyło go. Wstał i chodził po salonie, podczas kiedy obie przyjaciółki coś szeptały. Nie rozumiał inaczej gry pani Wandy. Nie znał dość Skorupskich, ani stosunków ich z Choryńską, by módz wpaść choćby na trop prawdziwy.

Pod koniec wieczoru, korzystając z momentu, w którym znów pani Wanda była samą, zbliżył się do niej.

— A pani — zapytał — wydałabyś córkę za takie małe książątko?

— Namyślałabym się nad tem, gdybyś zbałamucił Wilmę...

Nie zrozumiał odpowiedzi, ale zrozumiał, iż pani Wanda, popychając go na tej dziwnej, stromej, mogącej go ośmieszyć drodze, nie miała tej, co on przypuszczał, myśli. Ona chciała, by zbałamucił Wilmę.....

Oszołomiony powracał do domu. Czuł, że pani Wanda siłą swej gorącej woli opanowała go, że bezwiednie będzie działał dalej w jej duchu. Miał do niej zaufanie, to zaufanie nieograniczone, jakie młodzieńcy miewają do starszych kobiet, interesujących się nimi, a imponujących im sprytem i rozumem.

Czuł swym wyrafinowanym instynktem, że tu kabała jakaś świtała w głowie jego protektorki, ale czuł również, że za ten swój udział w kabale, mógłby być w razie powodzenia, hojnie ugratyfikowany, że wystrychnięcie go na dudka nie było możliwem. A więc to mu wystarczyło, by zasypiać dnia tego wśród fantastycznych obrazów swej próżnej imaginacji. Lśniły się zastawione stoły, zajeżdżały ekwipaże, połyskiwały od świateł salony, zwijali się w liberjach lokaje w tych obrazach zasypiającego mózgu doktora, który pierwszy wprowadził do Warszawy słynne ożywcze pigułki *Devive'a*.

XII.

Pan Jan doświadczał z dnia na dzień coraz bardziej błogich skutków pigułek. Policzki jego się wypełniały, a obiady coraz mniej mu szkodziły. Co najważniejsza jednak, humor jego robił się weselszym.

Mimo to dnia tego czytał *Słowo* przygnębiony i widocznie nie wesół, a z trwogą podniósł wzrok na żonę, gdy ta weszła do jego gabinetu.

— I cóż? — zapytał.

— Bardzo źle — odparła pani Matylda również stroskana — cierpi... Nie ma rady. Trzeba udać się do dentysty.. Jeden ząb musi być wyrwany, ząb mądrości... to zawsze tak z nimi. Zaledwo wyrosną, psują się i próchnieją, a dwa trzeba zaplombować. I potrzeba to zrobić jak najprędzej. Jestem w rozpaczy... Plombowanie sprowadza zwykle ból... zapalenie... A tu jutro bal u Warewskiej... będzie zła! brzydka!! okropność!!! — mówiła w rozpaczy.

Pan Jan się zamyślił.

— To wszystko mniejsza, mówię ci — podchwycił z miną nadzwyczajnie poważną — ale kto wyrwie? kto zaplombuje? Czy ty może myślisz, że tu w Warszawie jest dentysta? To są kowale! Mówił mi ktoś, że komuś wyrwali zamiast zęba, szczękę. Gdyby tylko było możliwe powstrzymać się z tem, gdyby nie to, iż przypuszczasz, że Rudomin się lada dzień oświadczy, tobym wolał jechać do Paryża, lub Drezna..

— Co ty mówisz?

— Ty nie wiesz, co to jest zła plomba! — zawołał niezwykłym u niego głosem i przejęciem Skorupski. — Ja Bogu dziękuję codzień, że coś się plomby Jenkinsa trzymają i może się doczekają wyjazdu za granicę.

- Ależ mój Jasiu! - obruszyła się żona — nie przeczę, ale przecież są tu ludzie, którzy plombują Rodrygowa kiedyś plombowała, choć ją stać na wyjazd...

— Ależ moja Madziu! Porównywasz zęby Rodrygowej z zębami Wilmy... ona ma tak delikatne dziąsła, że...

Urwał, bo żona potakiwała głową.

Siedzieli długo w milczeniu i zamyśleniu naprzeciw siebie.

-- No! ale coś trzeba zrobić. Balu jutrzejszego Wilma opuścić nie może... Rudomin jest

od kilku dni wyjątkowo gorący... zresztą toaleta... bal dla nich prawie... Ryzykować, że do jutra ból ustanie?...

Urwała, bo pan Jan z oburzenia ruszył ramionami. On nienawidził słowa „ryzyko“. Ryzyko, mawiał to niepokój i niepewność, a niepewność jutra, to największa *pesta*.

— Co za myśl! — zawołał. — Tu są dwie tylko drogi Albo, żeby zaraz pospiesznym pociągiem wyjechała do Drezna, albo dała się kuć któremu z tych kowali.

— Ale któremu?

Nastało znów grobowe milczenie, które po długiej pauzie przerwał Skorupski.

— Co za szkoda, że każdy doktor nie jest dentystą. Jak by to Sieleń zrobił! Mówisz, że cierpi?

— Bardzo cierpi!

Pan Jan się skrzywił, jakby go coś bardzo zabolało i tak skrzywiony pozostał.

— Przypomnij sobie, czy kto z naszych znajomych nie rwał, albo nie plombował zęba? Bo trzeba ci wiedzieć, że są specjaliści od rwania i od plombowania — tu się zerwał i zawołał — pobiegnę do Sielenia!

— Zaczekaj! — z pospiechem podchwyciła żona — Sielenia możesz nie zastać, a tu na minutach zależy. Teraz jest dwunasta. Trzy godziny dnia tylko, a trzebaby wszystko dziś

skończyć, by jutro była wieczorem wypoczętą i by...

— Masz słuszność! — jęknął mąż, opuszczając się bezwładnie na fotel. Energja go opuszczała.

— Ale! ale! — wykrzyknęła pani Matylda. — Przecież Wanda musi mieć tutaj dentystę?

— Ale gdzie tam! Ona pewnie plombuje we Wiedniu, wracając z Karlsbadu.

— Wiesz?

— Nie, ale się domyślam...

— Napiszę do niej! — zawołała zrywając się.

— Zaczekaj jeszcze — szepnął pan Jan. — Niechże sobie przypomnę, jakie Wanda i Choryńskie mają zęby...

— Mój Jasiu — zawołała pani Matylda, ale mąż jej nie dał się zbić z tropu i ciągnął:

— Wanda ma piękne zęby, ale jedna z Choryńskich ma ząb prawy taki, jak gdyby był przez niezgrabnego dentystę zmasakrowany...

— Piszę do Wandy! — odparła zniecierpliwiona już żona, wybiegając z pokoju — Jeśli nie zna tu dentysty, co prawie niemożliwe, to wie, który najlepszy.

Pan Jan pozostał sam i uchwycił *Słowo*. Ale nie szło mu dalej czytanie interesującego artykułu o Towarzystwie kredytowem i jego

świetnych manipulacjach. Było to w czasach kryzysu agrarnego i pan Jan, jako pesymista miał przekonanie, że towarzystwo i wszyscy prócz jego jednego muszą zbankrutować. On tylko mógł się utrzymać, bo *primo* nie miał towarzystwa, a *secundo* był sobą, jedynym w Polsce. Odłożył dziennik i myślał nad kwestją zebów Wilmy. Pedant we wszystkiem, miał pewne dokładne pojęcie o wszystkiem. A więc mruczał:

— Niezgrabnie wyrwie... stąd osłabienie dziąsła i ból całej szczęki, co sprowadzi opuchnięcie muszkułów szyjowych... Pięknie będzie wyglądać wydekoltowana z żyłami nabrzmiałymi... U niej jeszcze skóra tak delikatna i przezroczysta... To mamy pech... Poryccy na licytację wystawieni... tu! zęby!

Zirytował się, ochłonął i zadumał.

— Źle nerw zatruje... ból szalony... wyjmowanie plomby, jeśli nie utrata dwóch zębów...

Aż gorąco mu się zrobiło na tę myśl i by ją rozpędzić, postanowił być raz w życiu optymistą.

— Dobrze nerw zatruje... dobrze zaplombuje, ale ponieważ ci warszawscy kowale nie mają odpowiednich środków, więc powstanie naturalnie zapalenie okostnej, kto wie, czy nie gorsze od bólu zęba... Muszę się udać do Sielenia...

On przynajmniej poradzi, jak zneutralizować fuszerki tych...

Wstał, aby pisać do Sielenia. Byłby sam poszedł do doktora, ale sobie przypomniał, że dnia tego miał zażyć pigułkę po śniadaniu u siebie o wpół do drugiej. Gdyby sam poszedł do Sielenia, śniadanie by się spóźnić mogło, albo nawet by musiał zażyć pigułkę nie u siebie.

Wtem weszła pani Matylda.

— Napisałam! Odpowiedź będę miała natychmiast. — Tu usiadła na kanapie i ciągnęła:
— Wilma sama chce dentysty, więc albo zanadto cierpi, albo pragnie być jutro zdrową... Jabym tak sobie życzyła, by Rudomin oświadczył się teraz.

Mąż zrobił obojętną minę.

— Czy teraz, czy później, to wszystko jedno...

— Nie! mój Jasiu. Dwudziestego lutego jest sprzedaż Poryckich. Jeśliby ta sprzedaż do skutku przyszła, a Rudomin...

Pan Jan zbladł.

— Zapomniałem chwilowo o tym terminie— ale mamy trzy tygodnie czasu.

— Czas w zabawie, w świecie... to tak leci...

— Jeśli jednak przypuszczasz, że się jutro oświadczy, to w najgorszym razie oświadczy się i za tydzień.

— Ale, powiedz mi, dla czego on zwleka?...

— Tem daje dowód rozumu.

— Ciekawam...

Pan Jan nic nie odparł i nastało milczenie, które jednak on pierwszy przerwał, przeliczając pigułki w pudełeczku.

— Jeśli Wilma wyjdzie — mówił tajemniczym szeptem — za Rudomina, a Porycki wyjdzie na człowieka, to dwie najlepsze partje ostatnich lat kilku zrobią nasze córki... A Rudomin zdaje się być człowiekiem... Elegancki, dbający bardzo o siebie, lubiący świat, nie dzikus jak *on*, znający się na kuchni i winie, *clubman*.. posiada wszystkie warunki robiące ludzi miłymi i godnymi szacunku. Z pewnością nie będzie się rzucał, ni bawił w gospodarza, czy przemysłowca...

— Ależ naturalnie — podchwyciła żona — będzie panem, jak przystaje na rozsądnego człowieka.

— Kiedyś powiedział rzecz bardzo mądrą, cytowano ją w klubie, — ciągnął pan Jan.

— I nie powtórzyłeś mi? — z wyrzutem wtrąciła żona.

— Zapomniałem. Powiedział *à propos* bankructwa fabryki mebli giętych, tego warjata ze Zdanowa...

— Bo kto teraz siada na giętych meblach? — wtrąciła oburzona żona.

— Siadują jeszcze — odparł pan Jan — ale Rudomin bardzo sprytnie powiedział: *Chez nous le secret de faire beaucoup, est de ne rien faire.*“ A mówił to pod adresem arystokracji.

— Bardzo dowcipnie! - wykrzyknęła pani Matylda.

Wtem lokaj przyniósł list. Była to odpowiedź stosunkowo długo oczekiwana pani Wandy. Skorupska gorączkowo rozerwała kopertę i czytała głośno:

„Kochana Madziu! Nie umiem ci odpowiedzieć. Córki moje nie potrzebowały dotąd dentysty...“

Pani Matylda poczerwieniała i urwała.

— Czy uważasz? Przycina nam! Harpja!! — zawołała.

— Czytaj dalej... — szepnął blady pan Jan — to..

— Patrzcie ją! — fuknęła jeszcze i czytała dalej:

„Ja plombuję we Wiedniu. Do nikogo tutaj nie miałabym zaufania. Hamburger podobno sławnie zęby wyrywa, co nie przeszkadza, że krzyki jego kljentów nie dają spokoju poczciwej Henrykowej, mieszkającej pod nim...“

— Biedne dziecko! — westchnęła pani Matylda i kontynuowała lekturę.

„Ale Sieleń, jeśli się nie mylę, mówił mi, że jest dentystą skończonym. Doktorzy za granicą

podobno muszą być i dentystami. Wam, sądzę, nie odmówiłby tej grzeczności, choćby mu ona była mniej przyjemną.“

Skończyła i spojrzała na męża, który promieniał.

— Ta Choryńska jest nieocenioną! — wykrzyknął. — Wszystko wie! Dla czego ja nie wiedziałem, że Sieleń?...

Zerwał się i rzucił do biurka, mówiąc:

— Sieleń to zrobi *admirablement*...

Pisał.

Ale co chwila wstrzymywał bieg ręki po papierze, by się zachwycać edukacją zagraniczną.

— Naturalnie — mówił — organizm ludzki jest tak skomplikowany, iż dobry doktor musi być koniecznie dentystą, a Sieleń to już musi być znakomitym dentystą. Uważałaś, *il a une main de dentiste*.. Bo co to za okropna rzecz byłaby dla Wilmy, gdyby jej jaki kowal warszawski pakował grube łapsko do ust.. Ta Wanda!!!

Pisał dalej.

XIII

Około drugiej godziny dnia tego Sieleń powracał do domu z objazdu swych kilku klientów, jakich miał w mieście. Nie miał ich dużo, bo pigułki Deviva, mimo reklamy, jaką jej robili pan Jan i pani Choryńska nie budziły w konserwatywnych Warszawiakach zaufania. Klientela jego ograniczała się dotąd na kilku arystokratycznych, a raczej *high life*'owskich domach, w których leczono się dla zabicia czasu, lub też dla szanowania codzień nadwątlanego zdrowia.

Powracał, by ordynować u siebie. Wyglądał znudzony nad wyraz tą tymczasowością swych zajęć, których polubić nie mógł. Projekty jego protektorki, jakkolwiek jeszcze nie dawał im wiary i uważał je za niemożliwe, przecież głęboko go demoralizowały i zniechęcały. Przybywając do Warszawy — przypominał sobie — marzył o zajęciu w tem mieście stanowiska mo-

dnego doktora w ograniczonem kółku bogatych zwolenników metody homeopatycznej skomplikowanej, któreby mu pozwoliło usłać jakie takie, były swobodne i nie zatrute odorami aptecznymi gniazdo. Sądził, że w mieszczaństwie znajdzie jaką bogatą dziedziczkę i za pomocą jej posagu wyjdzie na dżentelmana, nie doktora.

Ambitna pani Choryńska sprawiła, iż temi marzeniami dziś pogardzał, a próżność jego uchylała mu zasłony na całkowicie inną przyszłość. Osiągnięcie jej często wydawało mu się niemożliwem wprawdzie, lecz wtedy przeglądał się w lustrze i przypominał sobie jeden z setki paradoksów swej protektorki i wmawiał w siebie, iż ona świat lepiej od niego znać musiała.

— *Or* — powtarzał sobie tysiąc razy na dzień — jeśli pani Wanda uważa skok ten szalony możliwym.. dlaczegóż ja... ?

Wilma mu się podobała. Zresztą nie zdawał sobie sprawy z uczucia, jakie w nim budziła. Sądził tylko, iżby ją bardzo kochał, gdyby mu ją kochać było wolno, to jest gdyby przez nią został zięciem tego pana Jana, nieumiejącego żyć w innej atmosferze, prócz atmosfery salonów *high lifu* warszawskiego. Gdyby przez nią został dżentelmanem, bezczynnym klubowiczem, dającym obiady, mającym swój ekwipaż na gutaperkowych kołach, swojego kamerdynera z dużym brzuchem i wielkich faworytach... byłoby nieźle...

On już Wilmę, bawiąc się temi myślami, kochał.

— Ale czy to tylko możliwe? — pytał.

Wprawdzie dość znał kobiety, by wiedzieć, że na pannie Skorupskiej, po kilku spotkaniach się w świecie, inne robił wrażenie, niż to, jakie by doktor tylko mógł wywierać. Wprawdzie uważał, iż spoglądała ona na niego oczami, któreby mu bardzo wiele może mówiły, gdyby przypuszczał, iż między nim, a córką pana Jana, mógł nastąpić stosunek inny, od tego, jaki powinien był istnieć w jego pojęciach między panną z najwykwintniejszego świata, a doktorem jej ojca.

Sieleń taką miał głęboką wrodzoną pogardę dla ludzi, zarabiających na kawałek chleba, iż nie mógł sobie wyobrazić, by ktoś „ze świata“ inne miał wyobrażenia od niego...

Te myśli nie dawały mu spokoju. Robił się roztargnionym, miewał co moment tak zwane *absences d'esprit* ogarniało go niepojęte zniechęcenie do praktyki lekarskiej, a formalne obrzydzenie do momentów, wciskających mu choćby dziesięciorublówki do ręki.

A tych papierków więcej od któregokolwiek z warszawskich doktorów potrzebował. Najprzód dla tego, że ich zarabiał bardzo mało, a powtóre dla tego, że od pewnego czasu prowadził życie na stopie hrabiczów *high lifu*. Zapożyczył się był już wszędzie, zapożyczył u lichwiarzy, u

kolegów, u brata, u wszystkich, u których mógł. On nie znosił braku, a więcej jeszcze jego pozorów. Musiał żyć na równi z tymi, z którymi żył. Te drobne wydatki, obiady w pierwszorzędnych restauracjach, dorożki pierwszej klasy, pańskie napiwki, kwiatki w butonierce fraka, koszule niepokalanej czystości, tworzyły tygodniowo, jak dla niego poważne sumy. Pani Choryńska kazała mu się zaprzyjaźnić z księciem... Sam Rudomin kosztował go... — liczył — od trzech tygodni do stu rubli. Spotykali się w europejskim hotelu przy obiedzie i kolacji.

— *Mon prince* — pytał często doktor paryskim akcentem — *prendriez vous un verre de Champagne?*

— *Mais volontiers* — odpowiadał książę.

Zaledwie Sieleń temi myślami roztargniony wszedł do swego mieszkania, służący wręczył mu dwa listy. Adresy obu poznał natychmiast, jeden pochodził od pana Jana, drugi od pani Wandy.

— Cóż to znaczy ten zbieg tych dwu pism? — szepnął do siebie, przestraszony nawet na razie. Ale wnet ochłonął, przypominając sobie, iż żołądek pana Jana co chwila mu sprawiał korespondencyjne emocje. Zaciekawiał go za to więcej list pani Wandy i tegoż kopertę rozerwawszy, czytał:

„Kochany doktorze! Odebrawszy ten list, jakiekolwiekbyś miał wezwania i zajęcia, natych-

miast, przed wszystkiem innem, wstąp do mnie *Toute à vous* Choryńska".

— Co to znaczy? — mruknął, ożywiając się i rumieniejąc — nie chora? wzywa mnie.. nie w interesie lekarskim... to dobrze! ale ten pośpiech! ten widoczny gwałt!! natychmiast!! przed wszystkiem innem!! z francuska *avant tout*... W Paryżu myślałem, że Polacy umieją pisać po polsku... w Warszawie...

Uśmiechnął się i rozerwał drugą kopertę. Pedancki pan Jan znów tak pisał:

„Kochany doktorze! Pani Choryńska, zapytana przezemnie o adres najlepszego dentysty w Warszawie, donosi mi, iż pan jesteś wykwalifikowanym dentystą..."

Rozejrzał się po pokoju, spojrzał na kopertę, czy nie zaszła omyłka, zaśmiał się ironicznie i złośliwie, ale czytał dalej.

„Moja córka od ośmnastu godzin cierpi szalenie na zęby, z których jeden potrzebuje wyjęcia, a dwa plomby. Zapewne zadziwisz się kochany doktorze, że ja dopuściłem do tego, by zęby mojej córki potrzebowały naraz dwóch plomb, ale właśnie zdziwienie twoje wyniknie z tej okoliczności, iż gdybyś ty nie zechciał się podjąć bezzwłocznie tych operacyj, musiałbym raczej z cierpiącem dzieckiem natychmiast wyjechać za granicę, niż dopuścić do operacji u którego z warszawskich dentystów. Mam więc nadzieję, że mi doktor nie odmówisz tej prawdziwej przysługi, która będzie nieocenioną, jeżeli zechcesz nadto dołożyć pośpiechu. Oczekuję niecierpliwie kilku słów, a raczej pełen wiary w twoją przyjaźń dla nas, przybycia twego".

Sieleń rozzłoszczony rzucił list na biurko.

— Zwarjował! — zawołał — Ja dentystą! Co oni chcą odemnie? Ta pani Wanda zakpiła z nich, czy ze mnie? Ja mam zęby wyrywać? plombować?? zaraz??? ha! ha! ha!

Ze śmiechu rzucił się na fotel. Za chwilę myślał poważniej.

— Coś w tem jest — szepnął nagle. Zerwał się i zaczął chodzić po pokoju, — coś w tem jest. Nie sposób, by pani Wanda.. ale... *c'est trop fort!* Ten list Choryńskiej, czy ma z tem związek??

Gubił się w domysłach, a co moment ogarniała go irytacja, stąd pochodząca, że pan Jan śmiał przypuszczać, iż on był chyba rodzajem szarlatanów z ośmnastego wieku, mieniących się doktorami, co to po jarmarkach i krew puszczali i zęby rwali i jeszcze coś robili.

Był wściekły.

— Oto *high life* — syknął — za co oni nas mają? Oni uważają nas... ha! I ta pani Wanda, ta głupia Wanda knuje podobne plany... za dentystę? za dentystę?? ha! ha! ha!

Porwał kapelusz, zapiął futro i wybiegł jak-

szalony, by dopaść dorożki i pędzić do Choryńskiej. Przedewszystkiem pragnął jej pokazać list pana Jana. Interes jej go nic nie obchodził. Jakiem prawem go kompromitowała? Z niego, adepta Deviva, homeopaty skomplikowanego, robiła dentystę? Zkąd jej ta szalona myśl do głowy przyszła? Co on z tym fantem pocznie?

Mimo zapasów zimnej krwi, jakie posiadał, rozgorączkowany jeszcze, wszedł do buduaru pani Wandy.

— *Quelle mauvaise plaisanterie!* — zaczął, a kobieta mu przerwała.

— Wcale nie żarty! Dostałeś pan wezwanie do Janów?

— Oto list! — odparł już innym tonem, podając protektorce pismo. Mina jej odkryła mu bowiem, iż się znajdował w jakiejś ważnej chwili prowadzonej przez nią intrygi.

Pani Wanda przebiegła papier Skorupskiego oczami.

— A więc zrobisz się dentystą? zagadnęła serjo.

— Czy pani żartujesz? — odparł zdziwiony, a ze zdziwienia tego niemal ogłupiały.

Kobieta zrobiła niecierpliwy ruch ramion, a rzucając iskry oczami zawołała:

— Wy wszyscy! najśmielsi! najzdatniejsi! jesteście *des ânes!*

— Dziękuję za komplement...

— Człowiek, — ciągnęła w zapale — który nie umie w danej chwili *saisir l'occa ion par les cheveux*, który nie ma dość sprytu, by zrobić się, gdy potrzeba, wszystkiem, jest... - urwała i podchwyciła — *lord Bouckingham*, gdy niemógł mieć wolnego dostępu do królowej Francji, zrobił się lokajem, a zdradził się zanadto silnem uściśnięciem jej nogi i wygrał partję... Jeszcze pan nie rozumiesz? Jeszcze wodzisz po mnie oczami?...

Urwała znów i uśmiechnęła się tryumfująco. Sieleń zrozumiał, ale równocześnie ogarnęła go szalona troska, pochodząca z niemocy i z braku odwagi. Widziała to pani Wanda i zawołała:

— Siadaj pan!

Zajęła miejsce sama naprzeciw niego i zapytała:

— Nie masz pan pojęcia o dentystyce?

— Nie mam pojęcia! — jęknął Sieleń.

— Tego nie przypuszczałam...

— Widzisz pani sama - szepnął rozpaczliwie.

— Nic nie widzę — zirytowała się pani Wanda—pójdziesz do pierwszego lepszego dentysty i weźmiesz lekcję rwania zębów, trwającą pięć minut. Za drugie pięć minut kupisz sobie potrzebne narzędzia...

— Pani! — przerwał doktor — zdaje mi się, iż... *votre projet est impossible.*

— Więcbyś nie potrafił wyrwać zęba?

Doktor się zamyślił.

— No! no! od biedy... mając cierpliwe *medium*, zapewne *je finirais par l'enlever*...

— A więc?

— Ale cierpienie? Ząb niezgrabnie wyrwany sprawia...

— *Vous êtes fou!* — podchwyciła dama. — Dziś chloroformują do wszystkich operacyj.

Po obliczu Sielenia przebiegł nieokreślony wyraz. Zadowolenie, tryumf, nadzieja, wszystko w nim się mieściło i oblało mu oblicze w jednej chwili rumieńcem.

— Więc pani mówi serjo?...—pytał, cedząc i wlepiając swój wzrok w Choryńską, która, chcąc uniknąć tego badawczego spojrzenia, odparła z pospiechem:

— Serjo. powinieneś *au plus vite* stać się tym razem dentystą.

Już więcej mówić ze sobą nie potrzebowali, Sieleń w oczach protektorki wyczytał wszystko, co wiedzieć potrzebował. Ona zaś również odczytała w jego zmieniającem się spojrzeniu, odpowiedź na wszystkie swoje wątpliwości. Z takim, jak Sieleń, człowiekiem nie potrzebowała się wdawać w szczegóły — myślała.

— A więc — szepnęła — czasu doktor nie masz?

— Rzeczywiście — odparł, jak pijany, młodzieniec, wstając, i ciągnął urywkami — dziś trzeba ból uśmierzyć... tymczasem.. nauczyć się.

— *Voilà!*

Wychodził, a pani Wanda go przeprowadzała przez salon, mówiąc już o czem innem.

— Widziałeś pan Rudomina?

— Widuję go codzień!

— Oświadczył się już?

— Nie...

— A uczyni to kiedy?

— Nie tak prędko.

Pożegnał ją i wyszedł.

W przedpokoju nadziewał palto, gdy pani Choryńska uchyliła jeszcze drzwi od salonu.

— *Monsieur Sieleń* — szepnęła po francusku, a oczy jej przytem miały blask tak wyjątkowy, że doktora magnetyzowały i czuł on to — czyś studjował kiedy hypnotyzm? — zapytała.

Młodzieniec stanął jak wryty. W szumiącej głowie mu jeszcze bardziej zaszumiało. Połapał się zorjentował i odparł:

— *Mais certainement!* a pytasz mnie pani?

— Tak! Czytałam w *Revue* interesujący artykuł... Wystawiam sobie, iż byłbyś doskonałym hypnotyzerem... Pogadamy o tem kiedy... *Bonjour!*

Uśmiechnęła się i zniknęła.

Sieleń schodząc ze schodów, zapatrzony

w ziemię, trzymał się poręczy, bo czuł szum w całym swym organiźmie.

— Te kobiety! — szeptał tylko — te kobiety!!

Wyraz jego twarzy powoli uspokajał się. Myśli powoli się układały, plany rodziły, sposób ich wykonania upraszczał.

* * *

W godzinę później wysłał przez swego służącego flakonik i list pod adresem pana Jana.

List był biletem wizytowym, na którym stało:

Auguste de Sie'eń.

„Posyłam flakonik środka uśmierzającego z przepisem użycia. Do operacji będę chloroformował, co tylko czynić można na czczo. Proszę więc jutro do siebie rano między 8. a 10 tą. W ciągu godziny *tout sera fait*, a panna Wilma nie będzie wiedzieć, jak, co i kiedy...“

XIV.

W gabinecie doktora siedział sam pan Jan. Tam, obok, w przyległym pokoju, będącym właściwą pracownią, homeopata chloroformował Wilmę. Poprosił on ojca, by się oddalił, gdyż każda drobnostka utrudnia zasypianie, jak twierdził. Skoro tylko Wilma zaśnie, doktor obiecał wpuścić pana Jana i pozwolić mu asystować przy wyjmowaniu i plombowaniu.

Skorupski niecierpliwie czekał. Nie był nadto, mimo ogromnego do Sielenia zaufania, bez obaw. Jeśliby, myślał, chloroformowanie było rzeczą tak prostą, toby wszyscy dentyści go używali, zdwajając w ten sposób swoją klientelę. Pan Jan bowiem każdego, kogo widział z nadpsutym zębem, uważał za patentowanego tchórza, bo jakże inaczej mógłby sobie wytłumaczyć podobne z jego strony niedbalstwo i lekceważenie tak doniosłej rzeczy, jak zęby, jeśli nie obawą przed bolem?

Ta myśl przyszła mu w ostatniej chwili i zaniepokoiła go. Spojrzał na zegarek i skonstatował, że już pół godziny minęło, jak Sieleń usypiał Wilmę. Jeśli uśpienie więc było widocznie trudnem, to... Zerwał się, ale w tejże chwili we drzwiach od gabinetu, stanął doktor.

— Szzzz.... — szepnął zarumieniony i pobudzony — usnęła...

Skorupski się uśmiechnął z zadowolenia. Rumieńce na obliczu Sielenia upewniały go, że i on był przejętym ważnością chwili, którą brał do serca i którą się troszczył. Ochłonął. Z takim Sieleniem mógł być spokojnym.

— Widzę — szeptał siadając przy gościu doktor — że pan jesteś zemocjonowany... To wzruszenie ci jest niepotrzebne i wychodzi całkowicie z zakresu *de votre traitement*... Wypada więc, byś pan dzisiaj zażył extra-pigułkę.

— Zaraz! *Ça vous coupera l'emotion*..

Pan Jan z pośpiechem sięgnął po pudełeczko, do kieszeni od kamizelki.

Doktor mu się bystro przyglądał, co go zaniepokoiło.

— Czy pan dostrzegasz we mnie jaką zmianę? — zapytał.

— Oh! nie! — odparł Sieleń — ale zawsze, pokaż pan język!

Skorupski wyciągnął język.

— *Oui... bon... bon*.. — mruknął doktor i wstał — pigułka! pigułka! — dodał rozgorączkowany.

Pierwszy raz w życiu usypiał medjum i pierwszy raz w życiu miał plombować. Choćby to tylko, już usprawiedliwiało jego stan, o który się bał, by nie uszedł uwadze pana Jana. Dlatego też tak go bystro obserwował.

Skorupski połknąwszy pigułkę, zapytał:

— Więc zasypiała trudno?

Doktor długo kazał czekać na odpowiedź. Myślał zupełnie o czem innem, nie słyszał pytania, tylko dźwięk głosu pana Jana. Ocknął się i odparł rozważywszy, iż tenże, skoro mówił, musiał o coś pytać.

— Bardzo.. bardzo...

— Jej! — jęknął Skurpski.

— Co panu?

— Jeśli bardzo trudno zasypiała?...

— Ależ... owszem... bardzo łatwo...

Pan Jan zmarszczył się Pierwszy raz łapał Sielenia na dystrakcji, a tej u nikogo nie znosił, a cóż dopiero u doktora, u dentysty?

— Czy pan wiesz dobrze — zapytał z przestrachem — który ząb ma być wyjęty?

Doktor ściągnął brwi, bo zmiarkował przyczynę pytania.

— Jakżeby mogło być inaczej? — odparł z przekąsem.

Ton ten znów uspokoił pana Jana. Roztar-

gnienie doktora było czysto wypadkowem i ważnością chwili nieco wytłumaczonem.

Wtem Sieleń szybkim ruchem uchylił drzwi od pracowni i wszedłszy do niej, zostawił podwoje za sobą otwarte. Skorupski wsunął się za nim.

Tu Wilma siedziała głęboko uśpiona na wysokim operacyjnym fotelu.

Sieleń z wprawą, właściwą dentystom, naregulował krzesło, ustawił je do światła, odpowiednio nachylił w tył wywróconą i na podporze wspartą głowę dziewicy. Zgrabność, z jaką to wszystko robił, tak uspokoiła pana Jana, iż objąwszy troskliwem spojrzeniem pogodnie śpiące oblicze córki, powrócił na palcach do gabinetu. Nie chciał przeszkadzać, choćby tylko swoją obecnością doktorowi, a z drugiej strony, będąc nerwowy nad wyraz, nie znosił widoku krwi, a gorzej jeszcze instrumentów dentystycznych, których cały lśniący, stalowy szereg, ujrzał na stoliku.

Uczynił sobie tylko uwagę, iż elegancki Sieleń w swej osobie, dbał też nawet o elegancję swej pracowni. Te instrumenty oprawne w kość i srebro zaimponowały mu. Postanowił odtąd lepiej honoryfikować doktora. Przekonywał się codzień, iż miał tu do czynienia z innym całkowicie typem eskulapa.

Zdziwienie jego przeszło wszelkie granice, gdy w gabinecie spotkał się z lokajem Sielenia,

perfumującym za pomocą rozpylacza pokoje zapełniane niemiłym zapachem chloroformu.

Postanowił silnie nie rozłączać się z Sieleniem do śmierci. Ten człowiek był stworzonym doktorem dla niego. Lokaj zjawił się z dobroczynną maszyną w chwili, gdy on właśnie się trapił okolicznością, że ubranie jego nasiąknie zapachami lekarstw. A nie znosił wszelkich zapachów, od niektórych chorował, a raz na balu na wsi głowa go śmiertelnie rozbolała, bo sąsiadka uperfumowała się wanilią.

Skorupski przypominał sobie donioślejsze wypadki, jakie miał w życiu z odorami. Nie zważał prawie na operację, odbywającą się w przyległym pokoju, tak głęboko zatopił się w tych wspomnieniach

Po chwili wstał i zajrzał do gabinetu, a sprawdziwszy, że się nic w nim nie zmieniło, że Sieleń dalej wytrwale i z precyzją właściwą paryskiemu doktorowi, manewrował w ustach śpiącej Wilmy, powrócił do saloniku.

Nudził się.

Uchwycił jakąś gazetę, leżącą na stole i jął ją machinalnie przeglądać.

Oczy jego padły na jakąś korespondencję z Wołynia, donoszącą o sprzedaży różnych dóbr, była to bowiem *Gazeta Warszawska*, specjalnie zajmująca się rolnictwem.

*

Czytał z dziwnym wyrazem na twarzy, wyrazem pełnym pogardy.

— Iluż to niedołęgów — myślał przebiegając spis dóbr, wystawionych na sprzedaż — licytują o tak głupie sumy... o tysiące z setkami... Lepiej! Niech niezdary ustępują miejsca zdolnym. Czemuż j e g o nie subhastują? Wszakże o n także jest właścicielem ziemskim..

W tem zbladł, jak chusta. Czytał bowiem. „Dobra Poryckie...

W oczach mu się mieniło. Przebiegał tylko „własność hrabiego Edwarda Poryckiego“ „dziesięć tysięcy morgów“, „pałac“, „park“, „Szmul Ludenberg“, „dziesięć tysięcy ośmset pięćdziesiąt i cztery“, „dwudziestego trzeciego lutego“.

Tego finału nie przypuszczał. Ludzie to czytali... Wiedział o mającej nastąpić sprzedaży, lecz nie przypuszczał tak rychłego terminu... podczas karnawału... właśnie, w chwili może, gdy Rudomin...

Drętwiał, a czas ulatał piorunem. Powoli ochłaniał. *Gazeta Warszawska*, wiedział, nie liczyła wielu prenumeratorów... Zresztą — pocieszał się — cały świat, świat ludzi rozumnych musiał uważać przymusowo sprzedawanych, jak on, za osłów, trutniów, łotrów! Któżby się dziwił, że jakkolwiek zięciowi, ale łotrowi on w pomoc nie przychodził? on, chodząca lojalność, porządek, rzetelność i dżentelmenerja...

Sprzedają drogą licytacji tych tylko, co dobrowolnie oddać nie chcą, a dobrowolnie nie oddają tylko... łajdaki!! Zamyślił się.

Przypomniał sobie, iż w swoim czasie dobra hrabiego Emila, były wystawione na sprzedaż. Dalej, że gdyby nie Kohn, toby byli sprzedali na subhaście księcia Pawła, który uchodził za prototyp uczciwości i dżentelmenerji.

— Tak... — mruknął -- tak... bywają wypadki, ale to nie jest wypadek jeden z tych. Zresztą on, jeśliby ten wypadek był analogicznym z podobnymi, to on swoją pozycją degradował go. Cóż łatwiejszego, jak zgubić Poryckiego? Na pochyłe drzewo, to i koza skacze...

Oblicze jego wypogodziło się. Postanawiał obmyśleć sposób przeciwdziałania wrażeniu tego ogłoszenia.

— Ten Porycki — myślał — mógł mieć przynajmniej delikatność, wystarania się, by dzienniki ich nie kompromitowały...

Zerwał się i zaczął chodzić po pokoju.

— Wilma miała go pocieszyć... Ona miała wynagrodzić jego ojcowskie strapienia. Ona, idąc za Rudomina, miała mu zastąpić dwie córki, a książę dwóch zięciów.

Byłby dalej myślał, ale we drzwiach stanął uśmieehnięty Sieleń.

— Za chwilę obudzi się... skończone! — szepnął.

Pan Jan zapomniał o wszystkiem, co go przed chwilą drażniło. Niebawem miała się obudzić Wilma, jego bóstwo, słońce jego życia. Przystąpił do doktora i zapytał tajemniczo:

— Czy się tylko obudzi bez żadnego bolu?

— Bez najmniejszego — odparł Sieleń z pewnością w tonie — dziąsło znieczuliłem nowym środkiem i radykalnym.

— Proteiną? — podchwycił Skorupski.

— Tak, ależ pan jesteś wszechstronny...

Pan Jan się uśmiechnął — a Sieleń ciągnął,

— Nerwy zatrute... ot! budzi się — dodał, usłyszawszy szmer w gabinecie.

Rzucili się obaj ku Wilmie, która powoli się cuciła.

* * *

W godzinę później w restauracji hotelu Europejskiego, przy małym stoliku, na którego środku widniały w srebrnych rezerwoarach dwie butelki szampana, siedziały trzy osoby: Wilma, Sieleń i pan Jan.

Ten ostatni promieniał. Uśmiechnięta Wilma jadła i piła z apetytem, a twierdziła, że doznaje tylko po chloroformie wrażenia, jak gdyby po balowej kolacji, podczas której wypiła trzy kieliszki szampana — rodzaj lekkiego odurzenia — nic więcej.

— Po śniadaniu i to przejdzie — zapewniał doktor.

Pan Jan dowcipkował. Bal był zapewniony. Wilma miała doskonale wyglądać, a wszystko zawdzięczał Sieleniowi.

Co chwila zwracał się do niego, z komplementem *à propos* szczęśliwej operacji, a doktor go badał ze zdumieniem. Mimo wielkiej czci, jaką sam dla siebie żywił, nie mógł zrozumieć tego człowieka, który potrafił ubóstwiać jedną córkę, a ignorować drugą. Ten objaw wydawał mu się fenomenalnym, dowodzącym niemal jakiegoś zboczenia mózgowego. Tego chciał się dopatrzyć w panu Janie. Doktor jeszcze nie był skończonym egoistą i Skorupski pozostawał dlań pod tym względem zagadką.

— Zdrowie pana Augusta! — zawołał pan Jan, trącając kieliszkiem o kieliszek doktora.

Wilma mimo odurzenia, wytrzeszczyła zdziwione na ojca oczy. Pierwszy raz go słyszała nazywającego po imieniu kogoś nie z najczystszego *high lifu*. Pierwszy raz go widziała, rozochoconego niemal.

Pan Jan spostrzegł to wrażenie, jakie na córce zrobił i odezwał się do Sielenia:

— Patrz pan! Córka moja mnie nie poznaje, bo mnie widzi takiego, jakim mnie nie znała. Mnie od lat truli warszawscy weterynarze... odkąd dorosła. Pigułki pańskie... zdrowie D e v i v a!

Sieleń podzielił wrażenia Wilmy. Pan Jan mu się przedstawiał pod nową postacią, pod po-

staçią miłego towarzysza biesiady. Oczami wrażeń swoich sobie udzielali młodzi ludzie, a Sieleń korzystając z werwy pana Jana, znajdował często sposobność objęcia Wilmy, swem dnia tego, więcej, niż kiedykolwiek, magnetyzującem spojrzeniem.

— Zdrowie Deviva! — powtórzyli oboje.

Ożywienie trwało dalej. Roztargniony doktor musiał używać co chwila wysiłków, aby się nie zdradzić z jakąś *idée fixe*, która go widocznie trawiła. Oczy jego, spoczywające na Wilmie, nieraz podchwytywał Skorupski. Wdzięczny mu był za tę ojcowską, już nie doktorską troskliwość o dalszy stan dziecka. Chciał go rozerwać, nie pozwolić mu myśleć o skutkach chloroformu, plomb i t. p., o które sam był spokojny.

— A więc — zawołał — piliśmy zdrowie pana Augusta i zdrowie doktora i... Deviva, ale nie piliśmy jeszcze jednego zdrowia.

Wyciągnął kieliszek i dodał:

— Zdrowie znakomitego dentysty!

Sieleń pobladł, ale wychylił kielich z uśmiechem na ustach. Złem okiem spojrzał na Skorupskiego i rozejrzał się, czy kto w pustej o tej godzinie restauracji nie słyszał fatalnego zdrowia, potem spoczął wzrokiem na Wilmie.

Ta odurzona chloroformem i winem, nie zdawała sobie sprawy z niczego. Śmiała się tylko,

bo się śmiał ojciec i Sieleń, a siłą nie wytłómaczoną i której zbadać nie usiłowała, nie zdając sobie z tego sprawy nawet, czuła się oczami przykutą do doktora. Wydawał się jej przystojniejszym niż zwykle.

Pana Jana drażniło to widoczne roztargnienie na twarzach Wilmy i Sielenia. Chciał im udzielić swej werwy. Sądził chwilami, iż nie był dość grzecznym dla młodzieńca, kierowany wciąż tą myślą, że nigdy u stołu nie jest się dość grzecznym dla ludzi z innego świata, obok nas siedzących.

— Ale! — zawołał, wyciągając znów kielich do Sielenia — jedno najważniejsze jeszcze zdrowie. Zdrowie pani Wandy, której zawdzięczamy stosunki z kochanym panem.

— Zdrowie pani Wandy! — powtórzył Sieleń, a umysł jego poruszyło siłą dynamitu pytanie, gdzie się przenikliwość ludzka kończy, kiedy się narkotyzuje, co ją rodzi, a co zabija.

Na dnie drugiej butelki mało co było już płynu.

XV.

Pani Wanda ulegała od pewnego czasu, coraz silniej ją ogarniającemu uczuciu jakby gorączki trawiącej.

Rudomin dalej się starał o Wilmę, jakkolwiek była chwila w pierwszej połowie lutego, w której zdawał się przechylać na stronę panny Choryńskiej. Od tego czasu, nie zaniedbując widocznie jej córki, zbyt natarczywie jednak kontynuował staranie się o Wilmę.

Pani Wanda wprawdzie użyła kilku fortelów w celu przyciągnienia do siebie księcia, jednakowoż z rozpaczą widziała, że fortele te nie prowadziły spiesznie do celu.

— Gdybym mogła zdyskredytować przed Rudominem Skorupskich? — myślała. — Przyszłoby jej łatwo. Umiałaby uderzyć w właściwą stronę. Ale czyż mogła to uczynić? Czyż mogła księciu cokolwiek przeciw Skorupskim insynuować? ona! znana i głośna ich przyjaciółka?

Nietylko, że krokiem takim łatwoby się zdemaskowała, ale nadto krok taki, nie prowadząc do sukcesu, mógł prowadzić do przedstawienia się w czarnych kolorach dwudziestoletnim przyjaciołom. Czuła to i przeklinała tę przyjaźń. Gdyby nie ona, wprost by rozwiała projekty księcia choćby tylko odkrywając mu delikatnie zasłony na stosunki Skorupskich z Poryckimi, odkrywając mu to w sposób jej wiadomy i wystarczający, by zachwiać zapałami pretendenta do wielkiej przyszłej fortuny Wilmy. Pan Jan miał lat czterdzieści i kilka, pani Matylda była o kilka lat od niego młodszą. Te szczegóły, jakkolwiek księciu jaskrawoby uwidoczniły różnicę zachodzącą między jej córką, mającą starego ojca, a Wilmą, mogłyby nie zachwiać jego postanowieniami. Ale zachwiałyby nimi inne okoliczności, choćby ta jedna tylko, że pan Jan był typem człowieka mogącym popijać szampana w najlepszym humorze w chwili, gdy córka jego walczyła w upokorzeniach o byt i kawał ziemi. — Książę musiałby być osłem — myślała — by się nie przestraszył podobnego teścia, na którego, wiedziała, że podobnie jak Porycki, liczył.

Ale któż miał mu to insynuować i w jakiej chwili?

Obmyślała to wszystko była wprawdzie ge-

njalnie, obmyślała każdy szczegół i efekty z góry przygotowała, bo na nie głównie liczyła.

Ale w ostatniej chwili, w przededniu podniesienia kurtyny, zdawało się jej, że się cała maszynerja psuje.

Sieleń od dnia, w którym stał się dzięki jej tylko dentystą, przybrał jakąś dyplomatyczną względem niej maskę, której ona odwagi nie miała uchylić. Była bowiem ślepą wyznawczynią bismarkowskiego zdania, iż przed najlepszym przyjacielem i sojusznikiem, wszystkich kart się nie odkrywa. Milczenie Sielenia, to ją upewniało, to ją zatrważało. Upewniało ją w chwilach, gdy ślepo ufała w jego spryt, zatrważało, gdy o tymże wątpiła. To milczenie Sielenia zadawało jej tortury. Ale ona nie mogła przed nim gry swej jaśniej odsłonić. Jeśli nie zrozumiał, to był durniem... Jeśli zrozumiał i o obowiązkach wdzięczności względem niej zapomniał, to był łotrem... Zresztą pewne poczucie wstydu i godności, której pozory wysoko ceniła, nie pozwalały jej naruszać z młodzieńcem przedmiotu, który z chwilą, w jakiej i tak już umiała doktorowi wskazywać kropki nad *i*, stał się drastycznym. Czekała.

Ale nietylko dziwne, a może i naturalne zachowanie się doktora, zatrważało panią Wandę. Nietylko Rudomin ją niepokoił. Najwięcej zagadkowymi byli dla niej Skorupscy, którzy nagle, odkrywszy przed nią swe nadzieje, zamilkli i

nietylko nic jej nie komunikowali, ale i w niczem się jej nie radzili. A więc odgadli jej skryte myśli. Nie dziwiła się temu. Znała pana Jana i jego wszystkie zdolności wyćwiczone w grze *au plus fin*. Ta gra ją irytowała.

— Ha! — myślała — ustępujemy sobie lat dwadzieścia. Lat dwadzieścia politykujemy i wyprowadzamy się w pole... W wilję dnia, w którym Porycki się oświadczył o Renę, pan Jan mi radził nie odmawiać go, jeśliby się oświadczył o moją córkę... Ha! jeszcze jedną partję zagramy, kochany panie Janie!

Zapalona, nie wiedziała, co ją pchało z tą siłą do przeprowadzenia intrygi, czy chęć upokorzenia Skorupskich, czy pragnienie dostania tego zięcia, czy wygranie tej partji, którą zwała w myśli, grą z panem Janem *au plus fin*. Okoliczność, iż tenże ukrywał się przed nią, zapalało ją i zwalniało niejako ze skrupułów. Gdyby w swoim czasie Skorupski był jej otwarcie powiedział, iż wyda Renę za Poryckiego, a nie durzył ją, iż tenże stara się o jej córkę, ona byłaby go złapała.

Wspomnienia te sprowadzały uderzenie krwi do głowy pani Wandy. Piąty rok prowadziła córkę w świat, a dwie swojej kolei czekały. Piąty rok prosiła się z towarem, o który być powinna proszoną. Miała ochotę na Poryckiego, zabrali go Skorupscy. Nawijał się Rudomin,

dopasowany, jak rękawiczka do ręki, do jej stosunków... kręcił się około Wilmy, forytowali go do Wilmy!

Zerwała się z szezlonga, na którym leżała pogrążona w tych myślach i gorączkowo zadzwoniwszy, kazała zaprzęgać.

Oczy jej pałały. Policzki nabiegły krwią. Jakiś nowy szczegół kabały zaświtał w jej głowie.

Pospiesznie myślała.

Instynkt jej mówił, że doktor działał w jej myśli, którą całkowicie odgadł. Jemu przypisywała pewne świeże atencje księcia. A więc nie powinna tracić odwagi i dalej przygotowywać *le grand coup*. Doktór nie mógł jej trzymać *au courant* swych nikczemnych działań... ale mógł się zgłosić lada dzień i powiedzieć jej „Pani! *votre volonté est faite*“. W takiej chwili ona powinna mieć wszystko gotowe i ostatecznie zagrać.

Zamęt panował w jej głowie. Usiłowała rozdzielić pewne szczegóły kabały, ale nie widziała sposobu uczynienia tego. Jeśli Sieleń miał być jej narzędziem, to musiał być sowicie wynagrodzonym. A nie wystarczało jej to tylko, by książę nie ożenił się z Wilmą... Ona nienawidziła Skorupskich, od dnia, w którym spostrzegła, że odgadli zazdrość, miotającą się w jej sercu.

Zresztą pani Wanda przyznawała to sobie

sama, że od najmłodszych lat miała dziwny pociąg do intrygi. Przez całe panieństwo marzyła o wyjściu za dyplomatę. Jeśli zamiast tego, wyszła za hreczkosieja, nie było to powodem, by miała zatracić swe zdolności i talenty. Chciała raz jeszcze spróbować. Pan Jan ją wyzwał...

Tak myśląc, zagłębiona w swem ekwipażu, objeżdżała miasto z wizytami. Tu ją przyjmowano, tam rzucała tylko bilety. Gdziekolwiek była, musiała się gryźć w język. Szaloną miała ochotę rzucić coś to tu, to ówdzie na Janów, ale ta nieszczęsna przyjaźń nie pozwalała jej na najmniejszą aluzję. Czuła, iż niewinny, dowcip puszczony na Skorupskich, świat by jej wziął za złe i przeciw niej go obrócił.

Musiała więc walczyć potajemnie, skrycie, nie mogła sobie niczem dopomódz, nawet jakąś błahostką wszystkim dozwoloną, a służącą do podkopania nią bliźniego.

— Przyjaźń w świecie — zakonkludowała sama w swym powozie — jest nonsensem, nie prowadzi nigdy do niczego, chyba... *pour être dupé de son ami.*

O czwartej kazała się wieźć do hrabiny Warewskiej. Wiedziała, że i u niej tem więcej niczego się nie dowie, ani też z niczem wystąpić nie będzie mogła, ale liczyła na swój spryt, który jej, miała nadzieję, z miny hrabiny pozwoli się różnych rzeczy domyśleć.

Pracowała wytężająco głową, co zdradzało całe jej pobudzone oblicze. Już tuż pod domem hrabiny dała rozkaz, by nawrócono i zawieziono ją do doktora Sielenia. Myśl jej jakaś widocznie przyszła do głowy, której wykonanie wymagało widzenia uprzedniego doktora, a nie widziała go od dni kilku.

Wkrótce ekwipaż stanął przed mieszkaniem Sielenia, a lokaj u drzwiczek karety czekał rozkazów swej pani.

— Józefie — mówiła — przejdź do doktora i poproś go, jeśli jest w domu, by zeszedł do mnie na minutę.

Lokaj zniknął w bramie, w którą wlepiła oczy kobieta gorąco pragnąca, by w niej niebawem stanął Sieleń.

Tak się też i stało. W niespełna trzech do czterech minutach, nadbiegł szybkim krokiem doktór.

— Sądziłem, że się pani słabo zrobiło w karecie — zagadnął, całując podaną mu przez spuszczoną szybę rękę pani Wandy i ciągnął — narzuciłem futro, porwałem pigułki i... jestem. Czem służyć mogę?

— Nie pigułkami — odparła pani Wanda, spostrzegając z radością, że z tym gładkim człowiekiem wymiana kilku projektowanych słów pójdzie jej łatwiej, niż sądziła. — Potrzebuję —

ciągnęła z naciskiem i obejmując go znaczącem spojrzeniem — się dowiedzieć, *comment ça va.*?

Sieleń uśmiechnął się, bo natychmiast odgadł treść pytania.

— *Ça va bien* i jakże może być inaczej. — mówił po francusku — skoro jestem wykonawcą genialnej bogini.

— A więc *ça va bien?* — powtórzyła z naciskiem pytanie.

— *Oui* — odparł, spuszczając oczy na poduszki karety doktór.

— Jeśli więc — podchwyciła pani Wanda — tak dalej pójdzie, nicby nie stało na przeszkodzie, byś mógł doktór w tych dniach, *en huit jours* oświadczyć twoje...

Sieleń pobladł i jakby z przestrachem szepnął:

— Tak prędko?

— Czy pan byś był zwolennikiem metody — zaczęła cedząc i urwała, by podchwycić — Gdyby Napoleon w 1812 nie był zwlekał i bawił się nadzieją zwycięstwa, byłby nie przegrał.

— *Certainement*... będę u pani... czuję potrzebę *des vos conseils d'or* a zrobię, co rozkażesz....

— Ah! — obruszyła się pani Wanda — rozkazywać? Ale takbym chciała, byś nie żałował, iż cię namówiłam na przyjazd do Warszawy.

Zmieniła ton, zrobiła gest swym futrzanym

rękawkiem, poprawiła wstążki kapelusza i zagadnęła:

— Ale *à propos?* Porycki miał być w tych dniach. Pieniądze leżą gotowe u mnie.

— Ach! — zawołał doktor — zapomniałem na śmierć. I tak byłbym był dziś u pani. Miałem list od Poryckiego.. przyjedzie jutro rano.

Pani Wandzie się spieszyło, zaczynało się bowiem zmierzchać i tem samem kończyła się pora wizyt w wielu domach.

— A Rudomin? — zapytała, przerywając.

— Także zwleka..

— *Qu'il tarde* — szepnęła, równocześnie podając rękę doktorowi, a dając znak skinieniem lokajowi, by wsiadł na kozioł: — Do hrabiny Warewskiej — rozkazała, gdy powóz już ruszał.

W kilka minut później pani Wanda siedziała u hrabiny.

— Doprawdy nie wiem — zagadnęła — czy już, czy jeszcze nie przyjmuje pani powinszowania? — tu utopiła swój przenikliwy wzrok w hrabinę i czekała. Ta udała zmięszanie.

— *A propos* czego? — zapytała.

— Małżeństwa pani siostrzeńca!

Hrabinie pytanie nie było widocznie miłem.

— Jeśliby coś już było — odparła — byłabyś pani najrychlej poinformowaną przez Skorupskich.

— Oh! — zaśmiała się pani Wanda — te

rzeczy trzyma się w sekrecie do ostatniej chwili. Nic więc nie wiem, a pytam, sądząc po tem, co w świecie widzę...

— Nie widziałam ich dawno razem, mego siostrzeńca i panny Skorupskiej.

— Są najlepiej, *ça brûle.*

— Znajdujesz pani? — pytała hrabina wpatrując się w panią Wandę i chcąc — również, jak i ona — z miny jej coś wymiarkować.

— Znajduję i jestem uszczęśliwiona ze względu na Skorupskich, — mówiła z werwą i bez cienia żółci. — Mają szczęście! Posagi nie duże, a tak im łatwo idzie *cette rude besogne, que de marier ses filles.* — *Et puis ils tombent très bien.* Rudomin jest do pozazdroszczenia...

Hrabina uśmiechnęła się wdzięcznie, a pani Wanda ciągnęła.

— Moja córka jest o wiele posażniejszą, a przecież *je suis obligée d'attendre...*

Przestrach zamalował się na obliczu hrabiny.

— I.. i... — szepnęła — panna Skorupska może się liczyć do partji...

Nastąpiło długie milczenie. Hrabina czekała, a pani Wanda, spuszczając oczy posmutniała i westchnęła szeptem i jakby z bolem.

— Porycki... *cette pauvre Rena.*

Tu, jakby żałując tych kilku słów wyrwanych, podchwyciła już innym tonem.

*

— Ale Skorupscy powinni by dać bal teraz.

— Nie aranżują ..

— Oni zawsze w tym czasie dają...

— Zd'je mi się...—bąknęła małomowna hrabina, której westchnienie pani Wandy klina widocznie wbiło w głowę.

Pani Choryńska wstała i pożegnała się. Krokiem przyspieszonym i młodym zbiegła na dół i kazała się wieźć prędko do państwa Skorupskich.

Wyglądała tryumfująca i uradowana. Nigdy krótka przestrzeń, oddzielająca mieszkanie hrabiny od mieszkania Janów, nie wydała się jej tak długą.

Zanim jeszcze lokaj zdołał zeskoczyć z kozła, gdy się ekwipaż zatrzymał, ona już sama otworzyła drzwiczki karety i biegła do przyjaciół.

Jak bomba, nie anonsując się, wpadła do salonu, gdzie zastała oboje Skorupskich, czekających już na obiad.

— Przepraszam was—zawołała odedrzwi—za ten napad, ale rzecz nie cierpi zwłoki. *En bonne amie,* jakkolwiek niepytana i nieproszona— ciągnęła swym ożywionym tonem — żywo się interesuję wszystkiem, co was dotyczy, a więc i Rudominem i Wilmą...

Tu odetchnęła i podchwyciła:

— Wracam od Warewskiej, która mi się

tak, ale to tak dopytywała — mówiła z naciskiem na każdem słowie — czy dacie tego roku i kiedy bal, iż widzę z tego, że książę na to tylko czeka, by się oświadczyć... Bal dajecie co rok. Dajcie go i teraz. Jeśli więc. Cóż wam szkodzi go przyspieszyć? *pourquoi faire souffrir les ardeurs du petit prince?* Do widzenia z wami! *au revoir!!*

Skorupscy chcieli ją zatrzymywać, ale pani Wanda nie mogła minuty dłużej pozostać. Zagadała się u hrabiny. Tam na nią czekał w domu obiad proszony, do którego musiała się jeszcze przebierać. Wstąpiła tylko, by im udzielić wrażenia, odniesionego z pytań Warewskiej. Mogli z niego korzystać lub nie. Ona zrobiła swoje jako prawdziwa ich przyjaciółka.

— *Au revoir à demain!* — powtórzyła i wybiegła.

XVI.

Książę Rudomin mieszkał w hotelu Brülowskim. Obiad jadał często tamże w restauracji na dole, gdzie bywał też i Sieleń.

Dnia tego dali sobie *rendez-vous.*

Punktualnie o godzinie szóstej schodził książę z pierwszego piętra, krokiem wolnym człowieka, nie spieszącego się nigdzie i nigdy. Był to mężczyzna lat trzydziestu, blondyn, niski, o szerokiej twarzy, rudawym wąsiku i niebieskich oczach, a sympatycznym choć banalnym wyrazie.

W przedpokoiku restauracyjnym spotkał się z eleganckim Sieleniem.

— *Grrande est votre naissance, grrrande est votre exactitude* — zawołał, witając się doktor.

— To tylko — odparł książę — dowód dobrego wychowania.

Zajęli miejsca przy oddzielnym i zaledwie wystarczającym na dwie osoby, stoliku.

Po zupie i wymianie kilku pytań pobieżne treści, zaczął książe:

— Widziałeś dzisiaj pannę Wilmę?

— Byłem tam wczoraj.

— Czy nie zauważyłeś w niej żadnej zmiany w usposobieniu co do mnie...

Sieleń się zamyślił, spuścił oczy.

— Owszem.. owszem... — bąknął po chwili — zdaje mi się, że możesz...

— Wyobraź sobie — podchwycił Rudomin z ożywieniem — iż nie mogę zdecydować się oświadczyć. To dziwna panna, dziwna od pewnego czasu, od niedawna... Jak ci nieraz mówiłem, wszystko jest ułożone między jej rodzicami a moją ciotką. Wiem, iż będę przyjęty, wiem, iż oświadczenie moje jest oczekiwane... a mimo to nie mogę się oświadczyć.

— Dla czego?

— Nie wiem. Słowa zamierają mi na ustach. Nie jestem pewny, znajdując się przy niej, przyjęcia! ha! ha! nonsens! w tych warunkach, ale mnie paraliżuje. Rozumiesz to uczucie?

Doktor zapatrzony w księcia milczał. Połykał jego słowa, a wyraz jego oblicza miał cechy bajecznej przebiegłości w tej chwili.

— Rozumiem — odparł — pochodzi ono stąd, mogę ci je jako doktor, który musi być nieco psychologiem, wytłumaczyć...

— Ciekawym.

— Widocznie czujesz, iż nie dość jeszcze owładnąłeś sercem panny. Czujesz to instynktem. Gdyby małżeństwo nie było ułożonem, gdybyś nie był pewnym powodzenia, w takich warunkach nigdy byś się nie oświadczył.

Wyraz oblicza księcia zdradzał rodzaj decepcji, graniczącej z przerażeniem, co spostrzegł Sieleń i podchwycił dziwnym tonem, unikając spojrzenia w oczy towarzyszowi

— Ale w tym wypadku, rozmawiając często z panną Wilmą, obserwując was w świecie, widzę, iż już niebawem możesz bezpiecznie wynurzyć twoje uczucia. Zresztą.. także przyczyna twych wahań leży w twym charakterze. Są ludzie tak dumni, iż zdaje im się, że nie przeżyliby kosza...

— *Voilà!* — zawołał Rudomin — jesteś nieoceniony jako przyjaciel. Wytłumaczyłeś mi objaw, który mnie niepokoił. A więc trzeba się zdecydować - *le courage à deux mains.*

— Ot! *une charmante occasion..* Skorupscy dają bal...

— Czyż?

— W tych czasach... dniach raczej.

— Wybornie!

Nastała chwila milczenia. Sieleń obserwował oblicze Rudomina, zatopionego w kombinacjach.

Ten, aby przerwać to badawcze wejrzenie przyjaciela, ocknął się.

— Ale *à propos* — zawołał — czy ty nic nie wiesz o dziwnym stosunku Poryckiego do Skorupskich? Będąc tam *intime*...

Doktor się zmięszał. Nie wiedział, co odpowiedzieć, bo nie wiedział, jaka odpowiedź na podobne pytanie leżała w planach pani Wandy. Po długim namyśle, który zamaskował oddaniem się z wyjątkowym apetytem ćwiartowaniu kwiczoła, odparł:

— Nic nie wiem. Poryckiego znam..

— I ja także.

— *Un charmant homme* zdaje się.

— Mój kolega dawny... - wtrącił książe.

Nastało znów milczenie, które przerwał Rudomin szeptem:

— Chciałbym wiedzieć przecież..

— Przez przyjaźń dla ciebie — podchwycił niedbale doktor — mógłbym się poinformować.

— U kogoż? — zapytał ciekawie książe.

— U pani Wandy.

— Czyż jej informacja co znaczy? Ona taka przyjaciółka Skorupskich...

— Mnie jednakże, jako także ich przyjacielowi, może zechce swoje zdanie wynurzyć. Naturalnie nie powiem, iż ciekaw jestem dla ciebie.

— Ah! *ce serait bien de savoir...*

Tym razem zapanowało długie milczenie, bo doktór zatopił się w wytężającej pracy mózgu. Nawijała mu się cudowna okazja pomożenia sobie i pani Wandzie. A nie wiedział, jak jej użyć. Cokolwiek by powiedział, to to wprost dochodziło przez Warewską do Skorupskich i mogło wiele popsuć, nic nie poprawiając. Wściekał się, iż tej rozmowy z Rudominem nie przewidział Uczuł od pracy świdrujący, chwilowy ból w głowie i w tejże samej chwili się zbudził z letargu.

— Ten człowiek — zawołał — szalone zrobił głupstwo!

— Kto?

— Porycki!

— Jakie? pytał zaciekawiony Rudomin.

— On potrzebował pieniędzy — odparł niedbale Sieleń. — Pani Choryńska byłaby za niego wydała córkę.

Książę spojrzał zdziwiony.

— Czyż panna Choryńska miałaby serjo więcej od..

— Ah! — zaśmiał się doktor — *le double!*

— Któż ci takie *absurdum* powiedział? — pytał rozciekawiony książę.

— Oh! — bąknął z najwyższą niedbałością Sieleń — wiem. To ludzie bardzo bogaci, tylko nie umieją *faire valoir l'or*, jak... jak inni — dokończył, zająknąwszy się.

Rudomin mu się przyglądał z taką siłą badawczą we wzroku, na jaką tylko głowa jego mogła się wysilić. Taki doktor, myślał, mógł być lepiej poinformowany od świata. Ileż to on sam już w świecie widział panien, nie uchodzących za partje, które jednakowoż niemi rzeczywiście były.

Sieleń odgadywał jego myśli i podchwycił też z uśmiechem:

— Umiejętność grania brylantem do światła niekiedy posiada jubiler. A to talent także. Sam znałem w Paryżu heritierkę w której posag nikt wierzyć nie chciał. Książę Chartemise w jej oczach starał się o jej kuzynkę i dostał ją. Pojmujesz jego rozpacz, gdy się dowiedział, że kuzynka jego żony miała dziesięć razy tyle... *Ça arrive* i częściej niż nam się zdaje...

Nie potrzebował dłużej mówić, bo Rudomin, wsparszy głowę na jednej ręce, drugą bez wytchnienia mięszał w filiżance czarnej kawy. A Sieleń dość go już znał, by wiedzieć, że ta manipulacja była u niego niezbitym dowodem najgłębszych frasunków.

Wtem portjer hotelowy podszedł i oddał księciu list. Rudomin go rozerwał i czytał:

„Przed dzisiejszym balem bądź u mnie Mam ci coś ważnego do zakomunikowania dotyczącego naszych projektów.

Twoja ciotka

Warewska“.

Zamyślony schował list do kieszeni i wypił duszkiem kawę i pełny kieliszek likieru. Spojrzał na zegarek, wyraził przestrach z powodu spóźnionej pory i wstał mówiąc:

— Przed balem jeszcze mam gdzieś być.

— I ja także — odparł, również wstając Sieleń.

Wyszli razem. U bramy hotelu pożegnali się. Rudomin wskoczył do dorożki i kazał się wieść do hrabiny. Sieleń zaś piechotą spieszył do pani Wandy. Pilno mu było, bo najprzód miał się widzieć u niej z Poryckim, który po pieniądze przybył, a powtóre musiał jej zdać sprawę z obiadu, do którego nadzwyczajną w duszy przywiązywał wagę.

Zamyślenie się księcia, jako wyjątkowy objaw jego powierzchownego usposobienia, musiało mieć swoje znaczenie.

Sieleń bardzo pragnął okazać się zdolnym i sprytnym sprzymierzeńcem pani Wandy, która mu tyle genjalnych dała rad.

XVII.

W salonie, oświetlonym bladem światłem przysłoniętej lampy, siedział książę Rudomin na fotelu tak niskim, iż nogi, jak długie musiał wyciągnąć przed siebie.

Ubrany był balowo, ale oblicze jego zasępione nie harmonizowało z tym strojem. Kilka razy już otwierał usta, by odpowiedzieć na ostatnie pytanie, jakie mu zadała jego ciotka hrabina Warewska, również zatopiona w poduszkach szeszlongu.

— Zapewne... być może — mruknął wreszcie. — Nie przeczę, by córki pani Wandy miały mieć mniejsze posagi, niż to ciocia twierdzisz, ale wogóle nie wierzę w te fortuny panien *nettement* niezdeklarowane, ani też w tesperandy, oparte na *on dit* Zresztą, nie wiem, co mam robić... nie wiem. Dziś, za godzinę bal... dany dla mnie... a tu cioci w głowę wszedł nowy plan...

Hrabina podchwyciła z ożywieniem:

— Ależ miejże mnie za wytłumaczoną! Twoja matka raz po raz pisze, czyby ci się nie dało znaleść lepszej partji od panny Skorupskiej. Podzielam zupełnie twoje zdanie, co do posagów... Rzuciłam okiem na Wilmę, bo znam pana Jana, bo wiem, że co powie, tego dotrzyma, bo znam wreszcie ich stosunki, pozwalające rachować na sperandy, jak je nazywasz... Ale dziś, gdy widzę, że córka pani Wandy może być, że i...

— Na czemże to ciotka opierasz? — podchwycił prawie niecierpliwie książę.

— Widzisz, ja w świecie zęby zjadłam, a jak Bywalski mówi, nogi schodziłam. Otóż mnie złapać nie łatwo. Pani Wanda ani myśli odbijać cię Skorupskim... zajęta jest sobą i jest przyjaciółką pana Jana..

— Ah! to wszystko, to wszystko — zaśmiał się książę.—Przyjaźń jej ..

— Wiem — znów przerwała siostrzeńcowi ciotka — ale ja znam panią Wandę na końcach palców. Ten sposób, w jaki mi powiedziała: „moje córki o wiele bogatsze"... nie pozwala mi wątpić o rzeczywistości. *C'est le ton qui fait la chanson*... Wreszcie — mówiła powoli i niedbale — los Poryckich mnie zastrasza...

Tu zrobiła pozę, zamyśliła się i podchwyciła:

— Zresztą nie wiem.. Chciałabym jak najlepiej... jak najlepiej... ztąd ta moja chwiejność. Zrobisz, jak ci instynkt podyktuje...

Rudomin powstał z krzesła, przeciągle ziewając.

— *Alea jacta est* — mówił — czasu nie mam. Przerzucić się na pannę... kompromitowałoby mnie. *Ça m'arrange* stosunki Skorupskich... a Poryccy?... Poryccy? — ciągnął równocześnie myśląc — któż wiedzieć może jakie tam zachodzą okoliczności?... Pani Skorupska wydaje mi się idealną *belmerą*, a Porycki, mówią ci, co go znają, nie jest wygodnym zięciem.. Właśnie postępowanie Skorupskich dowodziłoby ich pewności siebie... *d'une certaine solidité* posagu... Wilmy...

Zabierał się do wyjścia i spojrzał na zegarek.

— Dziesiąta! — zawołał — kiedyż ciocia się wystroisz?

— Ah! — odparła hrabina, powstając i podając siostrzeńcowi rękę — na mnie nikt nie czeka.. Za jakie dwie godziny przybędę na ten epokowy bal — tu się uśmiechnęła i podczas gdy Rudomin całował ją w rękę — zapytała: — Powiedz mi, kiedy się oświadczysz: podczas mazura, czy podczas kolacji? *j'étudirai le moment*. . To mi doda interesu.

Książę odparł:

— To zależy od inspiracji chwili...

Skłonił się i wybiegł żwawym i ochoczym krokiem. Ale wnet, bo już na schodach domu się zamyślił i na pół przytomny odbył w dorożce drogę, prowadzącą do mieszkania Skorupskich.

Wchodził do oświetlonych apartamentów i jeszcze myślał, jeszcze kombinował wszystko, co mu w ostatnich dniach, to ciotka, to Sieleń, insynuowali. .

Zatopionego w zadumie przywitał u wejścia pierwszy Skorupski, wyglądający doskonale, ożywiony, prawie młody.

— Jesteś książę — zawołał po francusku swym cichym i wystudjowanie spokojnym tonem — doskonale! Sieleń mi zabrania walca. Młodzież niecierpliwie czeka. Otwórz bal z mą córką.

Wtem zabrzmiała muzyka. Oblicze księcia nagle się pod wrażeniem świec, kobiet, brylantów rozpogodziło. Posunął się prosto do Wilny i uchwycił ją w swoje objęcia.

Pani Wanda, która dotąd siedziała w sali tańców, powstała, jak gdyby jej już nic więcej nie interesowało, jak gdyby na to tylko czekała. Zbliżyła się do swej przyjaciółki i zagadnęła:

— Czy już, czy jeszcze?

Pani Matylda ściągnęła brwi.

— O czem mówisz? — zapytała ozięble.

Pani Wanda roześmiała się.

— Ah! te matki! te matki! nawet z najlepszymi przyjaciółmi grają komedję, gdy chodzi o tę niezmiernej doniosłości kwestję. Ha! ha! ha! Otóż pytam się, moja Madziu, czy Rudomin już przyjęty, czy jeszcze nie?

Pani Skorupska udała, że widzi coś nadzwyczajnego w sali jadalnej, gdzie się krzątały roje służby i pobiegła tamże, rzucając przyjaciółce:

— Nie! nie! zaraz! zaraz!

Pani Wanda nie czekała jednakże jej powrotu tylko powolnym krokiem szła wzdłuż salonów i zdawała się szukać kogoś. Nie znajdowała widocznie przedmiotu swych skrytych myśli, bo zacisnęła usta. Ale nagle, przechodząc w sali balowej około framugi okna, nie mogła stłumić wykrzyku radości.

— Ah! *ce vous? Vous êtes.*

— Jestem pani! — odparł, powstając ze swego ukrycia Sieleń — obserwuję i... czekam...

Kobieta spojrzała mu w oczy. Młodzieniec miał wyraz twarzy niezwykle podniecony i sprytny. To ją uspokoiło, czy uradowało, bo rumieniec pokrył jej oblicze.

— Chodźmy! — szepnęła — *nous causerons...* Nie wiesz pan, z kim tańczy panna Skorupska mazura? — zapytała, idąc krawędzią sali i usuwając się zgrabnie tańczącym parom.

— Wiem! ja wszystko wiem — odparł tryumfująco. Od czegoż byłbym doktorem domu?

— Ah! *ces farces*..

— Z księciem...

— Myślałam — mruknęła kobieta i jakby przyspieszyła kroku, wciąż szepcąc z doktorem. Udzielała mu niedbale swych wrażeń z początku balu, z toalet, z osób. Tak zmierzała przez zapełnione salony do buduaru, leżącego na końcu apartamentu.

— Gdzież pani kroczysz? — zapytał Sieleń — nie mogę opuszczać mego obserwacyjnego stanowiska.

— Teraz będzie kontredans, potem polka, a potem mazur...

— *Vrai*...

— Chodźmy do buduaru — podchwyciła — światło mnie razi moralnie i fizycznie.

Znalazłszy się w małym, pustym saloniku, który zaledwie oświetlała jedna tylko wisząca lampa swem topazowem przez klosz światłem, rzuciła się na fotel i wskazała Sieleniowi obok stojący taburet.

Odetchnęła, rozejrzała się dokoła i odetchnęła raz drugi.

— Wyglądasz pani, jak gdybyś mi miała powierzyć tajemnicę stanu. Wyobrażam sobie, że księżna *de Berry*, przed swym zamachem musiała mieć podobny wyraz swej pięknej twarzy. A była, zdaje mi się, również blondynką?

— *Oui, elle etait blonde* — odparła, o czem innem myśląc dama, a rozejrzawszy się jeszcze raz dokoła siebie, szepnęła: - Idź pan i zajrzyj za tę portjerę... w świecie portjery mają uszy.

— Jak w teatrze i komedjach! — zaśmiał się cicho Sieleń, spełniając rozkaz.

— *C'est bien la même chose* — podchwyciła — przecież najsłynniejsze sztuki Dumasa i Sardou są te, które nasze najcodzienniejsze życie przenoszą na scenę. Siadaj pan i zbliż się... Nie chwila po temu, *pour que nous fassions de l'esprit*.

— Czyż możemy robić co innego?

— Nie kuś mnie pan i słuchaj. Tu roztoczyła wachlarz, zakryła nim połowę twarzy po oczy i wywróciła się na tył fotelu.

— Zbliż się pan jeszcze bliżej — mówiła — nie jesteś skończonym światowcem, nie masz dostatecznej dozy ostrożności i podejrzliwości.

— Nie jestem przecież w sycylijskim lesie.

— Czasem gorzej, ale nie dowcipkuj pan. Tu chodzi o jego los.. - dodała jeszcze ciszej.

Sieleń spoważniał, a pani Wanda, zakrywając wachlarzem prawie twarz całą, jakby i doktorowi wyrazu jej nie chciała odkryć, ale zgrabnym manewrem nie tracąc z oczu jego fizjognomji, mówiła:

— Trzeba byś pan przed mazurem pogadał z księciem... ot... *de la manière la plus nonchalante*.. Trzeba, byś pan mu otworzył oczy...

Nastąpiło milczenie. Doktor wlepił nierozumiejący wzrok w roztoczony wachlarz pani Wandy. Ta się prawie zirytowała.

— Trzeba, — podchwyciła niecierpliwym szeptem — by to książątko wiedziało, że dziś licytują Poryckich.

— Przecież... — wtrącił Sieleń, ale pani Wanda purpurowa za swym wachlarzem, przerwała:

— Ale gdyby nie ja?

Doktor nie mógł powstrzymać wykrzyku:

— Ah!

Oczy mu zabłyszczały, a wzrok pani Wandy stracił w jednej chwili swój niecierpliwy i zły prawie wyraz. Uśmiechnęła się, spuściła wachlarz i wstała, mówiąc:

— Obserwuj jego fizjognomję. Jakie to na nim zrobi wrażenie? *Cette douche d'eau froide*...

— Po doktorsku go zaaplikuję — odparł Sieleń.

Kobieta uśmiechnęła się wyrazem w którym tkwiła prawie iskra admiracji dla tego „kochanego doktora" i zmierzyła ku drzwiom mówiąc:

— A teraz się rozejdźmy *Voilà*.. zaczyna się kadryl... Przygotuj pan już swój manewr.

— Jeśli tak dalej będziesz mną pani kierować, to zostanę jenerałem.

— Jenerałem? *Mais certainement*... i to w armji, szczycącej się najgenjalniejszą i najpodstępniejszą w manewrach taktyką.

— Armja? ha! ha!

— Zwana *high life!* — dorzuciła pani Wanda.

XVIII.

Książę nie tańczył kadryla. Te bezcelowe tańce nudziły go, to bawienie obojętnych mu panien męczyło go dzisiaj, gdyż głowę miał dziwnie zaprzątniętą i oszołomioną. Czuł, że się oświadczy o rękę Wilmy. Ta dotąd była dla niego tak zimną, iż nieraz przychodziło mu pytanie, ażali łatwo może dostać odkosza. Ale dziś, gdy mu sam Skorupski polecił się zastąpić w roli gospodarza, którą mógł spełnić fortencer, czy jaki przyjaciel domu, gdy go pani Skorupska zapytała, jak mu się podoba toaleta jej córki, obawy te uważał nietylko za płonne, ale wprost śmieszne.

— Tak! — był już przyjętym — myślał — chodziło tylko o czczą formalność oświadczyn, która zwykle, na zimno traktowana, bywa dziwnie trudną. Przypomniał sobie, jak rok temu, najniespodziewaniej odmówiła mu miljonowa hrabianka Tucka, która aż do tej fatal-

nej godziny, wraz z całą swoją rodziną, robiła mu najwyraźniejsze awanse.

Przystanął przerażony. Tego by jeszcze jego mitrze brakowało, by go odrzucili Skorupscy! To by go zdyskredytowało na lat kilka w świecie. Oczami odszukał gospodarzy domu. Dżentelmańska fizjognomja pana Jana, wesołe i żywe oblicze pani Matyldy go upewniły. Pan Jan nawet, pomyślał, nie pozwoliłby na przyciąganie młodego człowieka, któregoby zięciem widzieć nie pragnął. Pod tym względem znał go doskonale z opinji, jeśli nie z własnych obserwacyj.

Uspokojony ruszył swym apatycznym, a pewnością siebie pańskim krokiem. Zmierzał do gabinetu, w którym grano w karty. Możeby w trakcie oczekiwania na ostateczną i decydującą chwilę, udało mu się wygrać jakie kilkaset rubli. Zresztą potrzebował nie myśleć, nie tłumić wciąż tych samych obaw i wątpliwości. Za godzinę miał być po słowie z Wilmą. Małżeństwo, czemby ono w gruncie rzeczy nie było, myślał, było czemś ważnem, choćby tylko dla tego, że przeciętnie raz w życiu je człowiek odbywa.

Wtem stanął przed nim Sieleń.

— Szukam cię książę — zagadnął z rozbawionym wyrazem.—Pan Skorupski polecił mi robienie honorów bufetu... Podają tam Roedere-

ra, jakiego jeszcze tej zimy w Warszawie nie piłem.

— A...

— Bal świetny. Jak to wszystko zależy od talentu państwa domu. Onegdaj na niczem nie zbywało u Jadwińskich, a przecież...

— Prawda! — podchwycił książę, wsuwając swą rękę pod gotowe ramię doktora. — Jest coś... coś nieuchwytnego, co nadaje pewnym balom charakter...

— Balowy styl!

— *Voilà*!

Byli w bufecie prawie opustoszałym, bo młodzież tańczyła kadryla, starsi grali w karty. Zaledwie kilku młodzików, nie mogących znaleźć tancerek, raczyło się przysmakami. Lokaj stał za stolikiem, na którym ze srebrnej wanienki wyglądały szyje zamrożonych butelek szampańskiego.

Sieleń i książę uchwycili kielichy, perlące się i szumiące topazowym płynem.

— Zaraz znać gospodarza *un homme du monde*—szepnął książę. — Wino szampańskie tylko w ten sposób podawane, sprawia przyjemność. Zwykle w Warszawie trzeba go szukać, a zalewają znów niem podczas kolacji.

— Ha! ha!

Z kieliszkami w ręku odsunęli się na bok i stanęli oparci o framugę okna. Sieleń zbliżając

się do księcia, szepnął ze swym sprytnym i obserwacyjnym wyrazem na twarzy:

— Bal.. taki bal, jakie dziwne robi wrażenie na tym, który wie, co się dzieje za kulisami. *Le monde est bien bisarre*.

Rudomin wytrzeszczył zdziwiony wzrok, kieliszek przytknięty już do ust opuścił i zapytał niedbale tym tonem człowieka, znającego o tyle świat, by wiedzieć, że się tego najłatwiej dowiedzieć, czego się nie jest niby ciekawym:

— Co masz na myśli?

— No, dziś przecież licytacja fortuny Poryckich — cedził niedbale doktor — ostateczna ruina, *la détresse* córki tego domu, przepełnionego bogactwem w tej chwili, córki pani Skorupskiej, na której wisi kosztowności... za...

— Co mówisz? — podchwycił książę, chwytając go za rękę i uprowadzając dalej — dziś? dziś?

— Dziś byliby zrujnowani, *à sec*, gdyby nie głupie dziesięć tysięcy pani Wandy.

— Co mówisz? — zapytał książę jeszcze dalej do przedpokoju uprowadzając Sielenia z widocznem na rysach twarzy pomięszaniem — dziś? dziś? pani Wanda?

Doktor zesztywniał.

— Ah! — zawołał — na miłość Boga, *ne soufflez pas mot*... ale... jesteśmy tak dobrze, iż przywykłem udzielać księciu mych wrażeń.

— Możesz być spokojnym. Mówisz więc..

— Gdyby nie dziesięć tysięcy, które *par mon entremise* pani Wanda Poryckiemu w ostatniej chwili.. przed trzema dniami pożyczyła, dziś o godzinie pierwszej z południa Poryckich dobra byłyby sprzedane.

— Udawał się do pani Wandy?

— Dowiedziała się przezemnie.

— Rodzice nie chcieli?

— Udawali się do nich przezemnie. *Ils ont refusés tout nettement.*

— Niemożliwe — szepnął zamyślony Rudomin.

— *Le monde est bizarre* — mruknął filozoficznie doktor i ciągnął — pan Jan jest i anglikiem w kwestjach pieniężnych, *il est...*

— Ależ w takiej pozycji?

— Zawsze!

— I pani Wanda?

— Jak gdyby chodziło o dziesięć rubli.

— Ale bo to dziesięć tysięcy jest nic, ale zawsze w naszych stosunkach..

— Ona ich tak dobrze zna.. przyjaciółka tyloletnia. Hrabina Porycka wychowała się pod jej okiem.

— No *allez donc.* Toż wychowała się i pod okiem rodziców?

Sieleń tu się zamyślił.

— *Que voulez vous...* Ludzie jak pan Jan, to maniaki, a maniaki, maaaniaaaki..

— *Incroyable!*

— Świat!

Ruszyli z miejsca, książę wyglądał zatopiony w myślach i kombinacjach, zachwiany w najskrytszych postanowieniach, zdziwiony i co najważniejsza strwożony. Sieleń z zadowoleniem obserwował tę fizjognomję słabego światowca, polującego na łatwo zdobywalne pieniądze. Rudomin myślał, ale jedna rzecz widocznie w tem wszystkiem najwięcej go zastanowiła, bo zatrzymał się i zapytał:

— Pani Wanda byłażby dość bogatą, bysię bawić... — nie dokończył, bo doktor z gestem niedbałym ręki podchwycił:

— Oh! Mając w banku posagi trzech córek gotowe, możnaby dorobić się fortuny, manewrując nimi... Porycki ma czas do zwrotu.. ha! ha! nim trzecia wyjdzie, ha! ha!

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się i Rudomin i znów przystanął mówiąc poważnie — ale zawsze *elle n'a pas de chances...* Starsza mogłaby już się przespacerować.

— Czy książę myślisz, że się jej spieszy? *Je suis intime dans la maison...*

— I?

— Pani Wanda ani myśli abdykować z czegokolwiek, a żąda wiele... Ta wysokość żądań

zastrasza tych, którzy by mieli nawet ochotę poczekać na koniec najdłuższego żywota poczciwego pana...

— Czy wtedy?

— Oh! wtedy, to będą partje!

— A dziś?

— Dziś! dziś *que sais-je?* Ale jeżli Porycki bierze dziesięć tysięcy *comme une cigarette*, to zięć?... Chętnie bym się na niego pisał.

Rudomin zamyślony został na miejscu we drzwiach sali tańców, a Sieleń spoważniał nagle zoczywszy pana Jana, wydającego z miną Talleyranda dyspozycje kamerdynerowi, i podszedł ku niemu. Poważne oblicze Skorupskiego, nastrojone tylko do ważności chwili, w której nakreślał, porządek win przy kolacji zmyliło doktora Tenże sądził, że pan Jan uległ zmęczeniu. To też zbliżył się doń i szepnął.

— Teraz... teraz *une pilule*.

Skorupski wdzięcznie się uśmiechnął i sięgnął do prawej kieszeni od kamizelki.

XIX.

Przed kotyljonem tej samej nocy przestało wrzeć na chwilę w salonach.

Jedni byli zmęczeni, inni rozstrojeni rozwianemi w ciągu tych kilku godzin ułudami i marzeniami. Szeregi pełne śmiechu i otuchy, ożywione i podniecone, przerzedziły się. Starsi poznikali, spragnieni spoczynku.

Dotrzymywali tylko placu tancerze, matki z córkami na wydaniu i ci bywalcy różnej płci, z których nie jeden chętnieby się przez śmierć dał zaskoczyć na balu.

Ale ci, co zostali, gotowali się jeszcze do kilkogodzinnej walki. Po kotyljonie miał nastąpić kontredans, potem mazur biały i śniadanie, przy zwykle nieprzyjemnem dla tych, co nie spali, świetle dnia, wkradającego się najniedyskretniej przez szczelnie zamknięte okiennice i zapuszczone portjery.

Pan Jan blady, widocznie więcej zirytowany,

niż zmęczony, prowadził przed sobą lokaja, niosącego przybory kotyljonowe, sprowadzone z Wiednia. - Ten kotyljon miał być najpiękniejszym w sezonie, wybierała go w naddunajskiej stolicy sama pani Kinstein na życzenie Skorupskiego.

U drzwi do sali tańców zatrzymała go pani Matylda, której oblicze nie umiejące się maskować, wyrażało poprostu przebytą katastrofę.— Odprowadziła go nieco na bok, ku opróżnionej po kolacji jadalni i szepnęła:

- Żeby przynajmniej chciał się ten bal skończyć.

Mąż potakiwał głową. Ona ciągnęła :

— Czyś uważał wszystko? Czyś widział wszystko?

Skorupski znów kiwnął potakująco głową.

-- Co to ma znaczyć? - zapytała szeptem niewiasta.

Pan Jan ruszył ramionami, więc żona jego podchwyciła :

— Byłam pewna, że się oświadczy podczas mazura.

— Wszak ci tak nawet dała do zrozumienia ta oślica Warewska — podchwycił tonem głębokim pan Jan, który nie znosił, by cokolwiek chybiało jego programowi.

— Ależ tak! dzisiaj! — mówiła zirytowana pani Matylda. — Nietylko, że się nie oświadczył

podczas mazura, ale widziałeś, że kolację jadł z Wandą? — pytała tonem, którego nuta drgała nieopisaną dozą stłumionego wzburzenia.

Mąż milczał i zastanawiał się. On jeszcze nie przeniknął zagadki, a w takich razach zwykł był się wstrzymywać od uwag i komentarzy.

— Mówię ci — ciągnęła — że w tem jest coś niepojętego, coś... coś! Wanda unikała podczas kolacji mego wzroku. Wanda tutaj odegrała podobną rolę, jaką w swoim czasie z Poryckim...

— Szaaaa.... szaaaa.. — syknął pan Jan, przerażony podnoszącym się miarowo tonem swej żony — być może... zobaczymy... Coś się stało! ale zlituj się i nie dajże po sobie poznać — błagał prawie, obejmując wzrokiem oblicze żony. — Ot! już jesteś zalterowana! To prawdziwe nieszczęście! W takich wypadkach umie się grać komedję — szeptał nerwowo i urywkami. — Wyglądas jak po katastrofie, a ja się rozchoruję nie z przyczyny tej katastrofy, tylko z powodu twej miny, która zaalarmuje świat. Uspokójże się, moja Madziu — prosił — idź! idź! upudruj się nieco i orzeźwij wodą. Ot! *prends un verre de champagne* i pamiętaj, że jesteśmy na polu bitwy, my i sami nieprzyjaciele.

To powiedziawszy, w jednej chwili sam zdołał dziwnie wypogodzić swe oblicze i powrócił do salonów, gdzie już orkiestra przygrywała

melodyjnego walca.

Kotyljon miał się niebawem zacząć.

Spotkał Sielenia i zapytał go :

— Jestem zmęczony. Czy kieliszek szampana?

— Oh! — podchwycił doktor — dwa! dwa!!

Pan Jan powrócił do bufetu, a Sieleń stanął w sali i szukał w niej kogoś niespokojnym i rozgorączkowanym, jakby tryumfującym wzrokiem. Zanim znalazł, zoczyła go pani Wanda i podeszła ku niemu. Ale się nie zatrzymała, tylko zwalniając kroku, szepnęła:

— Zasługujesz pan na dekorację. Unikajmy się. Jutro wieczorem...

Sieleń się uśmiechnął. Aluzję do tej dekolracji zrozumiał. Był zadowolony. Chodziło mu o to, czy pani Wanda zauważyła nagłą zmianę w zachowaniu się Rudomina i czy ją dostatecznie oceniła. Wzrok jej połyskujący, wypieki na policzkach upewniły go, a były tak wyraziste, iż sam się zastanowił, dlaczego ta kobieta tak się na tego księcia uwzięła Tryumf jej był i jego tryumfem.

Stał dalej w miejscu. Przyszła mu myśl dziwna. Zwykle nie tańczył prawie, ale gdyby dziś spróbował przetańczyć kotyljona? Szaleństwo! Czyżby się znalazła danserka, niemająca dotąd tancerza? Przypomniał sobie, że pod tym względem różne dziać się zwykły wypadki. On nie był złym, jak Francuzi mówią *valseurem*. Panna Wilma wieczoru tego rzuciła mu była kilka spojrzeń innych od tych, do których jako doktor, przywykł. Czy by to był skutek tego plombowania z uśpieniem, w którem nieśmiało próbował wyników badań nowej nauki za insynuacją genialnej pani Wandy? Czy by to był może wynik tego komplementu, który, jak pamiętał, wywarł na pannie wrażenie?

Ruszył prosto ku miejscu, w którem stała, otoczona kilkoma młodzieńcami Wilma, uśmiechnięta, podrażniona, ale z ojca światowa Angielka. Sielenia uderzył jej wyniosły wzrost, jej figura, pełna gracji jej aplomb wielkopański. On lubił wszystko, co pachniało temi wymarzonemi sferami.

Zbliżył się i stanął z wzrokiem utopionym w Wilmie, a tak głębokim, tak namiętnym, tak bałwochwalczym, iż panna nie umiała ukryć uczucia zadowolenia, jakie on jej sprawiał.

Tymczasem pani Wanda wyminąwszy doktora, odnalazła córkę, której właśnie szukała i to pilnie. Uprowadziła ją w odległy od zgiełku kątek. Oblicze jej w jednej chwili straciło swój rozbawiony i wesoły wyraz, a przybrało nawet pewne złe i niemiłe skurcze.

— Tańczysz? — zapytała cicho i sucho.

— Tańczę.

— Z kim?

— Z księciem Rudominem.

— A z kim tańczyć miałaś?

Córka spojrzała zdziwiona na matkę, ale krótko. Połapała się widocznie rychło, bo zanim pani Choryńska zdołała zacisnąć usta, odparła:

— Z Krośnińskim.

— Cóżeś mu powiedziała?

— Przeprosiłam go — mówiła niedbale panna — powiedziałam... że zapomniałam.

Tu pani Wanda uchwyciła rękę córki i szeptem, ale wyraźnym i ostrym, cedziła zbliżając twarz do twarzy i wlepiając swoje bystre spojrzenie w niebieskie zastraszone, oczy dziewczyny.

— Przygotowałam ci... przygotowałam *de longue main* i wszystko. Jeśli — mówiła sylabizując — i tym razem nie potrafisz, to zasłużenie zostaniesz starą panną.

Urwała i zamyśliła się sekundę. Ta groźba wydała się jej za małą. Zostać starą panną mogło być nawet w pewnych wypadkach pewnym indywiduom rzeczą ponętną, czy potrzebną. Dodała więc, wypuszczając rękę córki ze swego silnego i wymownego uścisku:

— To będziesz *une sotte*!

Nagle zmieniła oblicze i ożywiona, jak zwykle, tryskająca sprytem i dowcipem przez piękne

i żywe oczy, posunęła się ku ścianie, by uwolnić środek sali, gdzie się już kotyljon zaczynał.

Za chwilę, przeliczywszy wzrokiem pary, zatrzymawszy się nieco dłużej na swej córce, z którą Rudomin zaczynał kotyljonową rozmowę, rzuciwszy porozumiewawczy znak Sieleniowi, obracającemu w szalonym wirze wysmukłą Wilmę, wysunęła się z salonu.

Postanowiła odszukać „kochanego pana Jana" i pogadać z nim chwilę Bądź co bądź, lubiała jego rozmowę, jego dowcipy i wyrafinowane krytyki, jego dyplomatyczne wybiegi i dyskretne komplementa.

Ale stanęła jeszcze raz. Sieleń, tańczący z Wilmą zastanowił ją zbyt silnie. Czy on został wybrany może do obrotu walca? czy rzeczywiście kotyljona tańczył z panną Skorupską?

Powróciła nazad i stanęła we drzwiach. Tak! Doktor tańczył z Wilmą. Siedzieli oboje na swych stołkach, związanych chustką, a Sieleń szeptał jej coś na ucho, co przykuwało jej panieńską wyobraźnię.

Djabelski uśmiech przebiegł po całem obliczu pani Wandy. Zadowolona ruszyła z miejsca i spotkała się z panem Janem. Była tak podnieconą, iż nie zastanawiając się, rzekła:

— Jaką piękną parę tworzą Sieleń i Wilma. On wygląda, jak gdyby bardzo dobrze umiał bawić i panny. Z pańskiem zdrowiem i jego za-

sadami nie miałabym nic prz ciw temu, by mieć zięcia doktora.

Skorupski zbladł jak chusta. Pani Wanda ugryzła się za późno w język. Po co było zwracać jego uwagę? Miała już coś na ustach, co by rozwiało wrażenie jej ostatnich słów, przypadkiem wypadłych, gdy pan Jan ochłonąwszy, zaśmiał się z trudnym do dostrzeżenia wysiłkiem i odparł:

— Chwalą dzisiaj mojego *Roedoerera*... Widzę, że rzeczywiście jest dobrym, ale za mocnym, skoro się i pani upiłaś.

Pani Wanda połapała się odrazu w tym niejasnym zwrocie. Zacisnęła usta, zagryzła ironiczny uśmiech i zagadnęła z rozbawieniem:

— A więc *cher monsieur Jean?* Znajdujesz, że tylko pod wpływem „Roederera“ można wymyśleć taką kombinację?

— W każdej parze tańczącej widzieć małżeństwo — podchwycił pan Jan, uspokajając się nagle i żałując znów swoich słów. Ale złość wewnętrzna wzięła wyjątkowo u niego górę tego wieczoru, bo dorzucił: — *Mais madame*, starzejesz się na miłość Boga ze swemi małżeńskiemi kombinacjami. — Tu uśmiechnął się z kokieterją i jeszcze dodał: — Pomyślałbym to, gdybym panią słyszał, a jej nie widział.

W chwilę później blady, znękany, dopadł

żony, rozporządzającej w jadalni lokajami, przygotowującymi śniadanie.

— Cóż znaczy ten kotyljon Wilmy z Sieleniem?

— Ah! — odparła zniechęcona pani Matylda — wszystko jedno...

Pan Jan nie posiadał się ze złości.

— Nie wszystko jedno — bąknął.

— Jeśli ją bawi...

— Ależ, moja Madziu. Doktorzy są od popsutych żołądków, a nie od bawienia.

Pani Matylda uczuła się obrażona za córkę.

— Nie trzeba więc było jej tłumaczyć, że...

Pan Jan domyślił się dalszego ciągu i przerwał z niebywałą irytacją:

— Ah! kobiety... dzieci! Można się cudownie uśmiechać do doktora, jak ci bada puls, czy opukuje żołądek, ale nie potrzeba w dalszym ciągu tańczyć z nim kotyljona na balu u siebie. Jeślibym dawał bale na to, by mieć taki spektakl na finał, kazałbym sobie...

Urwał i spoważniał, bledniejąc. Lokaj ustawiał butelki wina białego na stole, więc odezwał się przejętym głosem do żony:

— Ten dureń nie wie, że żaden przyzwoity człowiek nad ranem innego wina nie powącha, prócz czerwonego.

— Mój Jasiu! Idź sobie! Nie irytuj się, bo jutro znów będziesz chorować... — przerwała pani Matylda.

XX.

Działo się to kilkanaście dni później. Pani Wanda, z obliczem zarumienioném po białka oczu, odetchnęła po recepcji dziennej, na której przesunęło się w jej salonie kilkadziesiąt osób. Była zadowoloną, szczęśliwą. Plany się powiodły. Rudomin nie oświadczał się oficjalnie tylko dla tego, by pospiechem nie ściągnąć uwag świata, pamiętającego tak niedawne staranie się jego o rękę Wilmy. Sama mu insynuowała, by odwlókł ten stanowczy moment, nie chcąc stanąć w niejasnej pozycji względem przyjaciół. Ci przyjaciele również przyczyniali się do błogiego usposobienia pani Choryńskiej. Cały świat mówił tylko o dziwacznem zachowaniu się panny Skorupskiej, która na rautach i zebraniach, zastępujących w poście bale niedawno ubiegłego karnawału, zabawiała się tylko z Sieleniem. Jednych to dziwiło, drugich zastanawiało, trzecich bawiło, innych skandalizowało. Dość, że mówiono tylko o

Skorupskich, jako o zagadce chwili. Ten bal, to cofnięcie się Rudomina, ten światowy doktor, Poryccy wreszcie, wszystko to razem przedstawiało doskonałą do bajek, plotek i kalumnji kanwę. Pani Wanda przypominała sobie wszystko, co o tej sprawie w ostatnich dniach była zasłyszała i doznawała nieokreślonej radości. Pan Jan się potknął. Ale ściągnęła nagle brwi i zagryzła usta. To potknięcie przyjaciela, czy to nie ona sprowadziła? Rumieniec wstydu, który przez chwilę palił jej policzki, rozszedł się jednak. Ona miała przyczyny. Ona mogła była z czystem sumieniem zastawiać zasadzki na przyjaciół, którzy ją wyzywali. Przypomniała sobie powiedzenie pana Jana na ostatnim u niego balu. Zaśmiała się nerwowo i ze złością.

— Upiłam się! ha! ha! — szepnęła — zobaczymy! Wszystkie wyrzuty sumienia, jeśli jakie ją ogarniały, pierzchnęły z tem wspomnieniem. Kobieta stanęła silna do dalszej walki Spojrzała na zegar, przypomniawszy sobie, że doktor powinien był już nadejść, tak rzeczywiście było, o dziesięć minut się spóźniał już, a ona musiała się z nim stanowczo rozmówić. Poco on zwlekał? Dla czego wyczekiwał? Ażeby się Skorupsy spostrzegli, co im właściwie zagraża i wymyślili jaki gwałtowny przeciwśrodek? O! ona ich znała i wiedziała, że jeśliby tylko pan Jan jedną sekundę przypuścił, iż

Sieleń... toby genjalnym obrotem radykalnie tamę położył dalszemu ciągowi epopei. Szczęściem pigułki mu pomagały, ale dziś właśnie znów mówiono w jej salonie, że Skorupski bardzo źle wyglądał i nie wychodził nawet do klubu.

Wtem dał się słyszeć dzwonek elektryczny. Wszedł Sieleń. Pani Wanda go nie poznała. Wyglądał zmęczony, a był blady, jakby wychudzony i wycieńczony.

— Jeszcze kochany doktorze, nie wypocząłeś po tegorocznym karnawale? *Vous êtes pâle.*.

Sieleń opuścił się na krzesło i z ruchem pełnym zniechęcenia zawołał:

— To nie karnawał, to ta wściekła klientela, to latanie po mieście, to radzenie o fikcyjnych chorobach, które mnie ani nie interesują, to namyślanie się nad receptami, to szalone nudzenie się nad pacjentami, opowiadającymi ci jedno i to samo razy tysiąc..

— Powinieneś pan tylko być szczęśliwym — podchwyciła pani Wanda — *la gloire et puis l'argent...*

— Ah! gdyby nie potrzeba tych ostatnich, gdyby nie ta przyjemność w wydawaniu dużo, bo się zarabia dużo, to bym panią przeklinał za myśl, jaką miałaś w zrobieniu mnie modnym doktorem.

— Doktorem *du high life* — uśmiechnęła się złośliwie.

— *Peste!*

Chwilę panowała cisza. Pani Wanda ją przerwała, lekko zażenowana, mówiąc:

— Zaczekaj pan! *Patience... patience...* I to się skończy, bo sądzę, że przez te dwa tygodnie, czy więcej, jakie nas dzielą od ostatniego balu...

— *Du grand coup?* — podchwycił młodzieniec.

— Niechby! — odparła i ciągnęła. — Zrobiłeś pan wszystko, co do niego należało... Nie widzę już potrzeby, byś zwlekał... Swiat jest *en éveil.* Trzeba przyspieszyć.

Sieleń zapatrzony w twarz kobiety milczał. Czasem się obawiał, czy nie żartuje z niego. To znów zwlekał z chwilą, która bądź co bądź nie uśmiechała mu się. To oświadczenie się panu Janowi robiło na nim samym dziwne wrażenie. Miał bowiem nieszczęśliwy charakter. W trudnych pozycjach stawiał się zwykle w położenie przedmiotu katastrofy, czy zawikłania. Otóż stawiając się na miejscu pana Jana, wyobrażał sobie, że jego wizyta oświadczalna sprawi mu takie samo uczucie, jak gdyby ktoś nagle do niego wszedł i wylał mu na głowę z za rękawa konewkę zimnej wody. Tym wylewającym miał być on, ulubiony doktór domu.

— Wie pani co — nagle podchwycił z iskrą

w oczach, — teraz dopiero wiem, dlaczego *les gens d'esprit* tak rzadko robią *des grands coups*.

Pani Wanda nie rozumiała, więc się tłumaczył.

— Gdyby to nie chodziło o tak ważną rzecz, jak małżeństwo. Gdyby nie to, że ja sam..., że panna Wilma jest mną zajęta. . nie odważyłbym się nigdy na tę rozmowę z panem Janem, któraby tylko na scenie grana przez artystów wypadła świetnie. Ależ nieszczęście chce, że właśnie te świetne role teatralne są niesłychanie trudne i przykre w życiu. Aktorzy się do nich palą głupcy je podobno biorą *bonacement*, a ludzie jak ja, na nich cierpią..

— Oh! — przerwała z odrobiną irytacji pani Wanda — życie i filozofja, to dwie przeciwne drogi. Jeśli pan wpadniesz w rezonowanie, w to nieszczęście ludzi rozumnych skądinąd, jeśli zaczniesz się przypatrywać dziś temu, co jutro sam masz robić, to jesteś dla życia stracony. Prawdziwie sprytni ludzie nigdy się sobie nie przyglądają, inaczej nigdyby nic nie robili. *Nos plus grands plaisirs sont bien ridicules...*

Ona jeszcze mówiła, a słowa jej i tym razem naturalnie, jak zawsze, przekonywały doktora. Po godzinnej rozmowie wychodził zamyślony.

— A więc jutro? — zapytała go jeszcze kobieta.

— Tak... jutro — odparł Sieleń i zaśmiał się ciągnąc — jutro, między dwiema pigułkami *je lui servirai cette nouvelle.*

Pani Wanda nie mogła też powstrzymać wybuchu nerwowego śmiechu. Bo ona widziała już minę pana Jana, jaką zrobi na wieść tej nowiny. Bo ona sama, przenosząc się w rolę przyjaciela, doznawała nieokreślenie dziwnego uczucia. A przytem ta scena musiała być wysoce komiczną...

— I przyjdziesz pan mi zdać relację?

— Nie omieszkam.

— Ale sukces jest pewny? — zapytała z naciskiem.

Sieleń ruszył ramionami, a ona dodała:

— No! Chyba dość miałeś czasu i dość sprzyjających okoliczności.

— Ah! panna! — bąknął doktor.

— Dziś — podchwyciła dama — panny decydują. *Que voulez vous.* Świat przewrócił się do góry nogami. W salonach rządzą panny, w polityce *des cabotins...* To epoka taka, epoka, w której Hirsch tworzy *un royaume* w której panna V...... zachwiewa tronem. *Bon soir et bonne chance!*

XXI.

Na drugi dzień dzwonek, uderzający po godzinie jedenastej w przedpokoju pani Wandy, zelektryzował ją.

— Czyżby już Sieleń? — myślała.

Wtem drzwi się otworzyły i weszła niemi pani Matylda. Widok jej o tej godzinie był tak niespodziewany, iż na razie zbladła pani Choryńska, obejmując badawczem spojrzeniem zmęczone i zmienione oblicze przyjaciółki Ta musiała mieć do niej jakiś ważny i pilny interes. Od poróżnienia się bowiem Rudomina, stosunki ich się oziębiły i przybierały nawet cechy, poprzedzające zerwanie. Namiętna pani Matylda nie umiała jak jej mąż, ukrywać żółci, przelewającej się w niej na widok kobiety, która raz jej chciała odbić Poryckiego, a drugi raz odbiła Rudomina. Nienawidziła jej. Po co więc dziś przychodziła? Pani Wanda bała się sceny, czy eksplikacji. Nie lubiała wszystkich utarczek, w których traciła

moc swej broni cichej, podstępnej, opartej na światowych finezjach.

Lekko zbladła i wytężająco pracowała mózgiem, by się połapać i uzbroić do walki, która ją czekała.

Jakież jednak było jej zdziwienie, gdy pierwsze słowa przyjaciółki rozwiewały jej obawy.

— Przychodzę do ciebie — mówiła Skorupska – w dwóch bardzo ważnych interesach, z dwiema prośbami...

— Jestem *tout à vous!* — czemprędzej zawołała pani Wanda i odetchnęła głęboko, rozsiadając się wygodniej w fotelu.

Nastąpiło milczenie. Pani Matylda nie wiedziała widocznie, jak zacząć przemowę, a pani Wanda potrzebowała czasu, by ochłonąć. Tym czasem zagadnęła:

— Mąż twój zdrów?

— Dziękuję ci. . nie jest gorzej, choć skarżył się wczoraj wieczorem.

— Nie opuszcza domu podobno?

— Rzeczywiście. Właśnie, gdym wychodziła, przybył Sieleń.

— Teraz? — jęknęła prawie stłumionym głosem pani Wanda.

— W tej chwili — odparła naturalnie przyjaciółka, zajęta tylko tem, co ją obchodziło i nie uważając ani na bladość, pokrywającą obli-

cze towarzyszki, ani na jej drżące tonem zapytanie, podchwyciła: —

— Przychodzę do ciebie z prośbą, byś mnie w jednej rzeczy przy Wilmie zastąpiła.

— Przy Wilmie?

— Tak!

— Słucham cię.

Pani Matylda się zamyśliła, ściągnęła czoło i rzekła:

— Kompromituje się z tym Sieleniem...

Pani Wandzie, na chwilę tchu zabrakło, więc też dopiero po pauzie, jąkając się zagadnęła:

— W czemże więc... ja...? kompromituje się z Sieleniem? Nie rozumiem cię...

— Otóż tak — zawołała, ożywiając się Skorupska.. — Czy jej się podoba, nie wiem, nie chcę wiedzieć, nie przypuszczam. Ale rozmawia z nim na rautach za wiele, jest dla niego... nie tak, jak się dla doktorów bywa.

— A więc czemuż jej nie zwrócisz na to uwagi?... — zapytała pani Wanda, której oblicze wyrażało zdziwienie i niedowierzanie, radość i trwogę.

Skorupska zrobiła pozę, poprawiła się na kanapie i ciągnęła:

— Widzisz. Czy źle, czy dobrze, nie wiem. Dość, żeśmy tak wychowali dzieci, że...

Urwała, zamyśliła się i podchwyciła.

— Widzisz! Wilma, jak jeszcze była dzie-

ckiem, nie znosiła żadnej uwagi. W tej chwili płacz, spazmy! Ojciec ją psuł. Ja tak dalece zwracać uwagi na nią nigdy niepotrzebowałam. Z tego się wyrodził między mną a nią stosunek, stosunek... stosu...

— — *Je comprends* — podchwyciła pani Wanda, dla której szczegół ten nie był nowiną. Podchwyciła z pewną radością, bo o nim była zapomniała — *je comprends* — dodała — i mogę cię w tem chętnie zastąpić, ale... ale..

— Wdzięczną ci będę — wtrąciła przyjaciółka z pośpiechem. — Sposobność znajdziesz byle kiedy. Ot, dziś na wieczorze u Trzciskich. Mówię ci, że mi się coś dzieje, gdy widzę...

Urwała i podchwyciła:

— A teraz moja droga. Czybyś nie mogła temu Sieleniowi.. jesteś *intime* z nim?

— Jest moim doktorem, jak i waszym — przerwała pani Wanda.

— No tak! Ale zawsze znasz go od dawna. Zresztą ja przecież nie mogę...

— A o cóż ci właściwie chodzi?

— Byś zwróciła jego uwagę na stratę czasu, jaką ponosi, bawiąc naszą córkę. *En général* nie rozumiem tych ludzi, bywających w świecie i.. Gdybyś ty z twoim *savoir-dire* mu zechciała tylko bąknąć kilka słów, ręczę...

Pani Wanda z pośpiechem odrzekła:

— Ależ i owszem. Przy okazji... I tę misję

biorę na siebie, nie rozumiejąc jednak waszych obaw i skrupułów, doprawdy *pas de ce siècle*. Doktor dzisiaj...

— Ale poco, poco? powiedz mi — przerwała z życiem Skorupska — niech każdy swego pilnuje. Zresztą są panny, które bawić się lubią... Ja jestem otwarta i szczera. Nie prowadzę w świat córki, nie ekspensuję bajecznie na toalety, na to, by się bawiła z eskulapami. Nie rozumiem tego Sielenia. Przez ten czas, co mizdrzy się do Wilmy, mógłby zarobić kilkanaście rubli, albo wreszcie, *s'il tient à s'amuser*, mógłby... przecież są panny, któreby wyszły za niego. Więc tam...

— Oh! — zawołała pani Wanda — wątpię, by w ogóle żywił matrymonjalne projekty. *Il a trop d'esprit pour ça.*

— Właśnie.

— Ale wychowany w Paryżu, nie rozumie naszych małostek.

— Ale bo... ty byś pozwoliła, by twojej córce?

— *Ça depend.. ça depend* — przerwała pani Wanda. — Jemu się jednak dziwić nie można. Devive ożenił się z jakąś księżniczką włoską...

— Ah! polscy hrabiowie, a włoscy książęta — wtrąciła pogardliwie Skorupska i wstała, jakby jej wyjść pilno było.

Jeszcze stojąc pogadały i pożegnały się. Pani Wanda rzuciła się na szezlong. Przyjaciółki wizyta nasuwała jej tysiące refleksyj ciekawych i zastanowienia godnych.

— Cóż za słabe stworzenie ten człowiek — myślała. A pani Matylda robiła na niej wrażenie żołnierza na polu bitwy, sięgającego do rękojeści pałasza w chwili, gdy kula armatnia już mu miała świsnąć nad głową.

Zastanawiała ją przyjaciółka.

— Czyż można, czyż wolno być tak ślepą i tak zasklepioną w przesądach? Oni nie widzą poprostu tego ci Janowie, czego widzieć nie chcą.

Myślała długo i sprawdzała, że strasznego wypłatała figla przyjaciołom. Sprawdzała to z taką przyjemnością, iż ta psuła jej rozkoszowanie się faktem.

— Czy zemsta nie była za straszną? Czem kto wojuje, od tego ginie.

Przeraziła się o siebie. Ale po chwili namysłu uznała, iż była narzędziem tej widocznej w życiu potęgi, zajętej tylko poskromieniem zbyt gwałtownych namiętności, odpowiedziami na zbyt śmiałe wyzwania, na hipokryzje i komedje. Pan Jan przecież jej powiedział, że woli doktora od Poryckiego.

Uśmiechnęła się. Ta nemezys życia bawiła

ją swymi wyrokami. Pierwszy raz w życiu ucieszyła się myśląc, że o ile niżej w finezji światowej od pana Jana stała, o tyle mniej była narażoną na podobnie nadzwyczajne fortuny drwinki.

XXII.

Pan Jan trupio blady odchodził od zmysłów. Pierwszy raz w życiu doznawał tego szumu w głowie, niespowodowanego cierpieniem żołądkowem, ani migreną. Ośm godzin upłynęło od wizyty doktora i nie zdołał ochłonąć. Czuł, że nie wytrzyma katastrofy, z której granic sprawy sobie nie zdawał, bo wierzyć jej nie mógł.

Doktor mu się oświadczał o rękę córki. Myślał, że tenże zwarjował. Córka oświadczyny te przyjmowała. Nie wiedział, czy on śnił, czy dokoła niego panowała epidemja obłędu, skoro własne jego dziecko jej ulegało. Przez ośm godzin wysilał się, by sobie mózg zdać sprawę z awantury, i nie zdołał zgoła ani na jotę zrozumieć tego, co się stało. Właściwie nie wiedział, jak się to stać mogło. Nie myślał nawet nad tem, tylko instynktownie czuł potrzebę widzenia ludzi, którzyby podzielali jego zapatrywanie, to jest kamienieli pod wrażeniem katastrofy, jaka

go spotykała. Nie wątpił, że takichby znalazł tysiące, ale przecież nie mógł wybiedz na ulicę i głośno wołać, co za niebywały i niepojęty przytrafił mu się wypadek. Doktor, doktor od jego żołądka, zakochał się w jego córce i rozkochał ją w sobie. No! czytał podobne może wypadki w romansach, ale romanse od tego właśnie były romansami i nigdy ich za wierne odbicie życia nie uważał. Rzeczy takie mogły się rodzić w bujnych fantazjach drapipiórów, ale żeby miały jego spotykać? Dziesięć razy na godzinę wbiegał do budoaru oniemiałej pod wrażeniem wypadku żony i pytał:

— Matyldo! I powiedziała ci sama wyraźnie, że pójdzie za niego?

— Powiedziała

— I ty cóż na to?

— Cóż miałam powiedzieć? Oniemiałam.

Pan Jan to rozumiał On niemiał także, niemiał za każdym razem, gdy mu to żona powtarzała

Dopiero wieczorem, gdy oświecono apartamenty, pan Jan, na którym światło lamp podniecający wpływ wywierało, jak na większą część światowców, uczuł się moralnie nieco rzeźwiejszy. Przynajmniej zdołał się połapać i w koło jednego punktu ustatkować swoje biegające, jak iskry elektryczne, myśli.

Usiadł, chwilę głowę w skroniach obiema

rękami ścisnął, jak gdyby usiłował ją połatać, czy w pęknięciu wzmocnić, i odezwał się do żony:

— Dotąd lawirowałem szczęśliwie w życiu. Dotąd nie znalazłem się nigdy w tak trudnem położeniu, iżbym zaraz przed sobą nie widział jednej jasnej i szerokiej drogi. Dotąd nie wpadłem nigdy w ambaras, w którymbym tracił, choćby na najkrótszą chwilę, potęgę logiki i rozumowania... Dziś... dziś — szepnął rozpaczliwie — jestem.. jestem...

Umilkł i wstał, mówiąc:

— Potrzebuję na tę wściekłą babę wylać choć odrobinę tej żółci, która się rozlewa we mnie. Ha! ha! Ja przeszedłem przez życie całe i ani razu nie mogłem się dopatrzyć ulgi w zwaleniu części przyczyn złego na trzecią osobę. Dziś szukam winowajcy. Jest nim po części ta czarna dama z kabały.

Pani Matylda przyglądała się mężowi i słuchała go z osowieniem. Nie rozumiała słów jego i truchlała o to drogie jej zdrowie i życie.

— O kim mówisz? — zapytała.

— O kimże by — odparł cicho pan Jan, którego i ta katastrofa nie wyrwała z jego spokoju zewnętrznego — o tej kobiecie, która mi tę figurę wprowadziła do domu, której przeznaczeniem było odegrać w mem życiu rolę czarnej damy z kabały.

— Wanda? - wykrzyknęła zdziwiona pani Skorupska.

— Ona! — odparł mąż — ona! Nie wiem co? zkąd? dlaczego? Ale ja, ja — mówił z wielkim naciskiem — ja w tem piorunującem nieszczęściu ją wciąż przed oczami widzę.

Pani Matylda się zamyśliła. Ona nigdy nie lubiła tej przyjaciółki, narzuconej jej przez męża. Ta myśl jego trafiła jej też do przekonania, ale nie chciała jej wzmacniać w mężu, by nie powiększać jego gorączki. Milczała więc, a Skorupski, chodząc po pokoju, jak gdyby się zabierał do wyjścia, mówił dalej.

— Żeby na nas, na nas to nieszczęście padło. Ten szarlatan, żeby nasz dom sobie wybrał do zrobienia karjery. On albo zwarjował, albo był zawsze furjatem. Czy ty uważasz, jaki talent ma ta Wanda do wynajdywania tego rodzaju indywiduów? On mi zawsze był podejrzanym, on mi zawsze robił wrażenie nieokreślone. I że ja, ja, ja —takiego człowieka wpuściłem przez próg mego domu?

Tu się desperacko uderzył po czole.

— Ależ, mój Jasiu — usiłowała wtrącić żona.

— Ah! żeby na starość wpaść w takie błoto — podchwycił mąż tonem przejętym i grobowym — bo co poczniemy? Zabronimy? To nie przeszkodzi światu do paplania, owszem!...

To nie powstrzyma zabiegów tego łotra... owszem! On wygląda na sztukę cierpliwą i wytrzymałą jak wszyscy *chevaliers d'industrie*. Zabronimy i co powiemy? dlaczego? Żeby bestja był jakiem monstruum! Żeby był szubrawcem! Żeby był kretynem. Żeby przynajmniej się nie nazywał Sieleń, tylko Stypulski. Ah! wszystko się na mnie spiknęło. Ale tu, dobre nazwisko, świetna powierzchowność... Wpadliśmy! Wpadli jak w romansie jakiego katastroficznego gryzipióry...

Ożywiał się i ciągnął.

— Byłem tak skonsternowany, iż obiecałem mu dać dziś jeszcze odpowiedź. Przecież na razie sądziłem, że zwarjował po pierwsze, a po drugie byłbym dał głowę, że Wilma odmówi. Ja nigdy nie złamałem słowa. Co ja temu zbiegowi może z jakiego paryskiego domu zdrowia odpowiem? Bo kto wie? Możo to jaki zbieg z domu warjatów, jaki doktor *par imagination*... Czytałem coś gdzieś w dziennikach podobnego... Po tem, co nam zrobił, wszystko możliwe...

Odetchnął i tajemniczo z blaskiem w oczach, chorobliwie ożywiony, zapytał:

— Czy ty wiesz, że on jest bardzo dobrze z Rudominem? Czy ty pokombinowałaś już to wszystko? Wanda? Rudomin? Sieleń? Mówię ci, to jak w dramacie. Nieraz widziałem szeptających to jego z księciem, to Wandę z nim..

Urwał, a pani Matylda ważyła to wszystko,

co mówił, w swej szumiącej głowie. Wypadek, bo za taki brała katastrofę, przybierał formy jakiejś intrygi w jej wyobraźni. Galopowała nawet po kobiecemu na tej pochyłej drodze, ale milczała, by nie rozogniać chorego męża, któremu Sieleń wzruszeń oszczędzać kazał.

On podchwycił znów innym tonem, bo tenże zawsze u niego szedł w harmonji z treścią:

— Nie ma co. Trzeba poprosić o zwłokę dni ośmiu do namysłu. Co za piekielnych dni ośm? Wilma ci powiedziała, że wyjdzie za niego? Powiedziała ci to stanowczo?

— Zupełnie stanowczo.

-- Ha! ha! ha! Dzieją się rzeczy, o których się filozofom nie śniło — zaśmiał się pan Jan — przypominając sobie ten ze studenckich czasów zwrot. Spoważniał i podchwycił:

— My musimy przed Wilmą udawać biernych, bo cóż jej powiemy, co podamy na wytłumaczenie naszego sprzeciwiania się? Wilma ma lat dwadzieścia i pięć! Tymczasem trzeba nam zebrać dokumenta na tego ptaszka. To musi być ptaszek! Gdzieżby doktorowi przyszedł do głowy taki, taki plan?

Odpoczął i mówił:

— Trzeba sprowadzić Porycką. Siostra może jej mówić rzeczy, których my nie powiemy. Rena jest arystokratkę...

— Czy tylko przyjedzie po ostatnich wypadkach? — wtrąciła pani Matylda.

— Czy przyjedzie? ha! ha! My się ubrali. Zapłacimy, by przyjechała. Zapłacimy na wagę złota.

— Znasz Poryckiego. Właśnie...

— Porycki potrzebuje pieniędzy, a ja dam pięć, dziesięć, dwadzieścia, sto tysięcy, by przyjechała i zrobiła, jeśli co zrobić potrafi. Tu chodzi o wszystko, o całą przyszłość naszą i przyszłość o... Ja się trzęsę na jednego zięcia, że podpisuje weksle, ale ja wolę już weksle niż recepty. Ja się pienię na tego, że cudze pieniądze do rąk bierze, ale ja wolę takiego, niż takiego, któremu się je jak lokajowi wsuwa... Ha! ha! ha!

Tu nagle pani Matylda zbladła, a oczy jej tak zamigotały, jak gdyby sobie coś doniosłego przypomniała. Mąż jej spostrzegł tę zmianę na obliczu żony i odgadł jej przyczyny.

— Ty masz coś do powiedzenia? Ty coś..

— Tak! — zawołała pani Skorupska. — Słyszałam to wczoraj. Nie chciałam ci powtarzać, może bajki...

— Co?

— Powiedziała mi Aniela.

— Ale co? Aniela jest źródłem kurjerkowem, ale w takich wypadkach i... Co?

— Poryckiemu podobno Wanda pożyczyła wtedy te dziesięć tysięcy.

— Co ty mówisz? — jęknął pan Jan, zamyślając się z wytężeniem rozsadzającem mu głowę, — to ci powiedziała Aniela?

— Aniela!

— A ona słyszała od?

— Miało to wyjść od Warewskiej.

— Od Warewskiej?

— Tak mówiła...

Pan Jan opuścił się na krzesło i zamilkł, szarpiąc nerwowo faworyty. Nieruchomy siedział długo. Nagle się zerwał, jak oparzony.

— Choryńska pożyczyła dziesięć tysięcy, a do mnie przychodził Sieleń? Wanda skąpa i wyrachowana? Aniela ci to donosi a wie od Warewskiej. Kombinuj! ha! ha! Nie jesteśmy w kabale?

Tu rzucił się ku drzwiom.

— Gdzie idziesz?

— Do tej wiedźmy!

— Odłóż.. Jeszcze się namyśl... — zawołała przerażona Skorupska, widząc pierwszy raz męża w tym stanie.

— Ha! ha! — zaśmiał się krótko i jakby nerwami tylko pan Jan — my jesteśmy w kabale! Ale jeszcze nie sfiksowałem, jeszcze myśleć mogę i widzieć. Włosy mi tu wyrosną — mówił wskazując na dłoni — jeśli sama mi wszy-

stkiego nie wyśpiewa. To ona nam spuściła na głowę ten potop nieszczęścia. Ale poco? Co za interes w tem miała? Kobiety z szumiącemi głowy! To *pesti* ludzkości.

Uspakajał się i poważniał, jak gdyby wolał być ofiarą kabały, niż wypadku. — Wychodząc dodał:

— Ho! pani Wando! Nie wymkniesz mi się tym razem

Pani Matylda przerażona temi słowy i jego stanowczym tonem, zerwała się.

— Cóż zrobić myślisz?

Pan Jan nagle ochłonął i najspokojniej odparł:

— Przecież rewolweru nie przyłożę jej do piersi, boby mi ze strachu nic nie powiedziała.

XXIII.

Pan Jan siedział w gabinecie pani Wandy, a ta wlepiała weń swój przenikliwy i zdumiony wzrok. Przyjaciel jej bowiem, którego rysy wypogodzone siłą nadziemskiej światowca woli, nie mówił nic o tem, co jak sądziła trawić go i pożerać musiało. Znała ona już te wybiegi Skorupskiego, ale nie przypuszczała, by w takiej chwili on takowe jeszcze za swoją potężną broń uważał.

Podczas gdy pan Jan poruszał setki najbanalniejszych przedmiotów, by nareszcie, jakby nie przystąpić do tego, który mu palił język, pani Wanda kombinowała cel tej taktyki i była nią chwilami obałamuconą. Wiedziała, że doktor się oświadczył, bo tenże był jej już zdał relację, wiedziała z rannej wizyty pani Matyldy, jakie oświadczyny te na panu Janie wrażenie zrobić musiały. Ale poco ta banalność i codzienność rozmowy? poco ten ton światowy, poco to okalanie?

Podczas więc gdy przyjaciel mówił, przypomniała sobie w wytężeniu mózgu, iż tenże miał zwyczaj najniedbalej wspominać o przedmiocie go jedynie interesującym. Przypomniała sobie jedną chwilę z przeszłości w której pan Jan identycznie wyglądał. To wspomnienie zabarwiło jej kolorami oblicze. Przebiegła je w myśli. Gdy Porycki obcy i nieznany pojawił się w salonach warszawskich ona jedna wiedziała, kim był, bo go znała z Kijowa. Interesem jej wtedy było nie zdradzić się z tem, że Porycki był w pewnych warunkach, jak jej naprzykład, partją. Ale otóż pan Jan, w takiż sam sposób, przybywszy do niej wieczorem na pogadankę, wyrwał jej mimochodem całą prawdę z najdrobniejszymi szczegółami, a powróciwszy do domu polecił żonie, baczną zwrócić na tego młodzieńca uwagę. Pamiętała to doskonale pani Wanda i pamiętała jak nazajutrz Skorupska słodkie robiła miny, rozmawiając z hrabią.

To wspomnienie, wywołane tylko analogicznym sposobem zachowania się pana Jana, wystarczyło jej, by się ugryzła w język i powiedziała sobie cicho:

— Miejmy się na największej baczności.

Rozmawiali dalej. Wtem Skorupski zaśmiał się najswobodniej swym cynicznym wyrazem jaki często przybierał.

— Ha! ha! Ale *en fait* światowych nowin,

en fait wielkich b a r o k ó w tego karnawału powiem pani jedno, którego nie znasz.

Pani Wandy oczy zabłysnęły dziwnie złośliwym blaskiem. Widoczną na jej obliczu była krótka walka, którą staczała sama ze swym dowcipem i sprytem i w której potędze tego, co nazywają Francuzi „rozumem", uległa.

Nie mogła przemódz na sobie komedji, bo nadzwyczajną, nieopłaconą czuła przyjemność w przekonaniu dyplomatyzującego przyjaciela, iż go znała na palcach i w pole się przezeń już wyprowadzić nie da. Wyraz jej zastanowił pana Jana, czekającego z uśmiechem ciekawego jej zapytania. Ona już otworzyła usta i znów je zacisnęła. Spojrzała na przyjaciela i sprytne jego dyplomatyczne oblicze ją wprowadziło w formalny szał pokazania mu także swej potęgi psychologicznego znawstwa.

— Oh! — zawołała z hamowanem prawie szyderstwem. *Oh! cher monsieur Jean.* Znam ten wielki b a r o k, jak go nazywasz. Jest nim fakt, że Sieleń oświadczył się o Wilmę.

Pan Jan zadrżał na fotelu, pobladł, rysy jego w jednej chwili się wyciągnęły. Pod strasznem wrażeniem, jakiego doznał temi słowy, sądził, że nie zdoła już ust otworzyć. Nadzieja omamienia tej kobiety, trzymała go tylko na nogach i przy zmysłach od rana. Nagle nadzieje te jednem słowem zostawały rozwiane.

Tę tajną broń jednym zamachem wyrywała mu z rąk i nie pozostawało mu nic innego, jak zrzucić maskę i rzucić się na nieprzyjaciela. Tej drogi nie lubił, nie znosił, nie uznawał. Doznał jednego z boleśniejszych uczuć w życiu, tego przykrego zdemaskowania, tego okropnego padnięcia ofiarą przenikliwości, którą właśnie usiłował zbić z tropu. Znękany, cierpiał najwięcej na strasznie obrażonem uczuciu próżności i miłości własnej. Czuł swoją śmieszną minę, swoje zakłopotanie, które musiało, choćby było najkrótsze bawić jego przyjaciółkę. Pałał do niej nienawiścią w tej chwili, pałał tem więcej, że się widział nietylko śmiesznym, ale nagle zoczył pod sobą jakby okropną przepaść, wydrążoną przez okoliczność, iż przecież uznać musiał, że przez całe życie się mylił, uważając tę kobietę za niższą pod względem sprytu od siebie. Jeśli dzisiaj go przeniknęła, dziś, gdy się wysilał, by ją w błąd, co do swych uczuć, wprowadzić, ileż razy w jego najświetniejszych chwilach przeniknąć go musiała!

Nadludzkim wysiłkiem się połapał i pohamował.

— Nie dziwię się — zawołał ze śmiechem, któremu już obojętnej i rozbawionej nuty nadać nie zdołał — że pani odgadłaś ten b a r o k, skoro jesteś jego autorem.

Pani Wanda poczerwieniała. Autorstwo tego

b a r o k u ją obraziło — i tem więcej, że właściwie nie znając dość sztuki, nie wiedziała jakie znaczenie do tego słowa „barok“ przywiązywać i co niem chciał towarzysz powiedzieć.

— Autorem? — podchwyciła, wpadając w rozdrażnienie. — Cóż pan właściwie nazywasz b a r o k i e m? Nie widzę b a r o k u w rzeczy tak zwykłej, jak oświadczenie się pana Sielenia o pannę Skorupską.

Tego było już za wiele i pan Jan wybuchnął.

— Ha! ha! — Bo też nie znałem autora, przyznającego się do baroku. Musisz więc pani znajdować to naturalnem... Ha! ha! Ale ja się pani pytam, jaki cel miałaś w narzuceniu mi tego fiksata, tego zbiega z domu zdrowia? — pytał tonem prawie ostrym, nagle rzucając dyplomację, czy też nie będąc już jej panem.

Pani Wanda się obruszyła, a równocześnie przestrach ją opanował. Na jakiej zasadzie Skorupski posądzał ją o jakieś narzucenie mu Sielenia? Czy się czego i czego mianowicie domyślał? Niezdolna połapać się, zawołała pąsowa ze złości:

— *Mais cher monsieur Jean*! Ja panu narzuciłam Sielenia? który *entre nous soit dit* jest bardzo miłym człowiekiem a nie fiksatem?

— Jest gorzej, niż fiksatem — podchwycił

pan Jan — bo furjatem, jeśli mu przyszła myśl do głowy, zostania moim zięciem!...

— *Soit* -- zaśmiała się pani Wanda. Cóż mnie może to obchodzić, jakim się panu być wydaje? Co do mnie, nie widzę w tem, iż pana poprosił o rękę jego córki, najmniejszego zboczenia umysłowego, ale jeśli pan tym przydomkiem obdarzasz... ha! ha! wszystkich, którzy...

Pan Jan blady jak ściana, uchwycił ją za rękę, i podchwycił, głosem zgnębionym:

— Ależ, pani! Nie dość, żeś mnie wpakowała w to błoto, ale nadto jeszcze udajesz przedemną głupią i chcesz we mnie wmówić, że...

— Ale nic w pana wmówić nie chcę—przerwała kobieta, z natury namiętna, a którą każde słowo Skorupskiego rozogniało — śmieję się tylko...

— Śmiejesz się pani! Ależ ten śmiech nienaturalny, zdradza panią...

Tego było już i jej za wiele.

— *Vous dévenez fou* — zawołała, wybuchając śmiechem wymuszonym. — Śmieję się? Zdradzam? Ależ ja nie jestem przed trybunałem? Jeśli pan myślisz... ha? ha? Śmieję się, bo mnie bawi Sieleń furjat. Któżby to powiedział?

— Bronisz go pani, jak gdyby był jej kochankiem — wtrącił pan Jan, jakby chcąc temu inny widać zwrot kłótni. Odniosło to przeciwny

skutek, bo pani Choryńska spoważniała i odezwała się:

— Nie lubię tych żartów. Człowiek pańskiego zakroju waży swoje słowa. Przychodzisz pan i robisz mi scenę. Z jakiej racji? Cóż mnie Sieleń... obchodzi?

— Warjat, którego się transplantuje z Paryża powinien transplantatora obchodzić.

Pani Wanda jeszcze więcej spoważniała.

— Ależ najpierw, czy warjat?

— Mówię pani, że furjat!

— To, że pan mówisz — zaśmiała się kobieta z pogardliwym ruchem ramion — to! ha! ha! Ależ to nic nie znaczy, co pan mówisz. Znam się na tem doskonale!

Tu pan Jan tak był zaciekawiony, iż wpatrzony w nią słuchał, a ona dalej ciągnęła:

— Porycki został warjatem, gdy panu pierwszy raz przestał dogadzać. Sieleń został furjatem, gdy mu myśl przyszła patrzenia na Wilmę, zamiast na pański język, ha! ha! Ależ to szczęście, że pan nie masz więcej córek. gdyżbyś jeszcze jednego poznał... furjata, ha! ha!

Skorupskiemu zaczęły drzeć wargi, a plątać się język. Była to oznaka irytacji, graniczącej z furją. Sztywnym wzrokiem piorunował kobietę i milczał, namyślając się nad ciosem, któryby jej mógł zadać po tej aluzji o zięciach, po tym niemiłosiernym dowcipie.

— Pani! Gniew jej — podchwycił tonem drżącym, ale spokojnym — przypomina mi tylko przysłowie o nożycach.

— A mnie pana wymuszony spokój przekonywuje o trafności uwagi.

Nastąpiło milczenie. Trzęśli się, mienili, mierzyli oczami, ziejącemi złością i rozbudzonemi namiętnościami, ale milczeli, bo panu Janowi słów brakowało. Ale tryumfujący wyraz kobiety go wzmocnił i rozbudził. Miała dobrze cięty język, ale i on go miał także. Z błyskawiczną szybkością się zorjentował. Nic do stracenia już nie miał, a ulżyć sobie potrzebował.

— To nieszczęście mieć pani zmysł do intrygi, to klęska! I żeby...

Nie dokończył, bo pani Wanda piorunująco zawołała:

— Co pan nazywasz mym zmysłem do intrygi? Czy to, że Wilma zakochała się w Sieleniu? Ależ na to trzebaby było siły magicznej z dawnych dramatów, nie zmysłu...

I ona urwała, bo Skorupski draśnięty najdotkliwiej, draśnięty strasznie tem, iż jego córka mogła się zająć doktorem, a gorzej jeszcze przypomnieniem tego, stracił wszelką równowagę.

— Zmysłem do intrygi nazywam — zawołał — to uczucie, które pani pozwala żyć z nami w przyjaźni niby ha! ha! a bez naszej

wiedzy, wespół z tym furjatem, pożyczać pieniądze Poryckim. To nazywam...

— Ha! ha! ha! Jeśli intrygą może być nazwana przysługa, wyświadczona umierającej z głodu córce przyjaciela... — zawołała blada kobieta.

Pan Jan uczuł się ubezwładnionym moralnie. Zmysły jego traciły moc, wyprężone nerwy się rozwalniały. Ogólna niemoc go wszechpotężnie ogarniała.

— Jesteś pani intrygantką — bezsilnie szepnął — aż do kończyn paznogci, ale może się pomiarkujesz i uznasz, że obierać sobie za pole bitwy dom przyjaciół, jest rzeczą...

Pani Wanda się zerwała i majestatycznym gestem wskazując drzwi, zawołała:

— Wychodź pan, albo...

— Albo? — zaśmiał się pan Jan, wstając.

Kobieta milczała w wściekłości, tracąc władzę słów.

— Albo — dokończył niby za nią Skorupski kłaniając się — albo namówię Sielenia, by był wytrwałym i śmiałym w swym planie ha! ha! By mnie zmusił może?...

— Mylisz się pan! Namawiać go nie potrzebuję, gdyż ma dość rozumu, by na ten koncept wpaść.

Odetchnęła i w furji, ręką wciąż wskazując drzwi, ciągnęła:

— Zmuszać pana nie będzie, bo jest on od tego doktorem, by umieć tworzyć powolne ze swych pacjentów medja — ha! ha!

Tu pan Jan krokiem chwiejnym wychodził, a kobieta za nim jeszcze się ruszyła i stając we drzwiach wołała:

— Wytrwałym być nie potrzebuje, bo kto wie, czy mu być cierpliwym pozwolicie ha! ha! To furjat! i doktor Wilmy! ha! ha! To nie Porycki, który się dał złapać, jak szczygieł i daje się krępować, jak cielę. To Litwin i doktor. To szarlatan i *chevalier d'industrie*. To dentysta!! ha! ha! ha!

Pan Jan uciekał formalnie. Gdy się dopiero znalazł na ulicy, uczuł swą niemoc. W głowie szumiał głos przyjaciółki i dźwięczały jej słowa, każde z osobna, niezrozumiałością i nutą straszne.

Oparł się całym ciężarem swego ciała o mur kamienicy i do pierwszego przechodnia szepnął:

— Zlituj się... dorożki!

XXIV.

Pani Wanda stała w miejscu nieruchoma z wyciągniętą ręką ku drzwiom, jeszcze po wyjściu tyloletniego przyjaciela.

Ale bo też niepamiętała, aby w swem życiu, została kiedy doprowadzoną do tego stopnia rozdrażnienia. Gdyby jej to wszystko był powiedział kto inny? Ale pan Jan, względem którego przez lat dwadzieścia była w kokieterjach i wyrafinowanej dyplomacji! Co on jej nagadał? Nazwał ją intrygantką, posądzał ją o hypokryzję z racji pożyczki, udzielonej jego córce, za którą raczej wdzięczność żywić był powinien.

Wzburzona, zaczęła chodzić po pokoju. Obraz Skorupskiego, głos, zachowanie się jego, ten śmiech, wszystko było jej w tej chwili wstrętnem i nienawistnem.

— Wszystko między nami skończone — szeptała — wszystko! Wyzwałeś mnie, a więc sta-

nę do walki. Jestem intrygantką? a więc pokażę ci, *de quelle trempe je suis*.

Śmiała się nerwowo, to zaciskała usta, to przystawała i wlepiała sztywny wzrok w posadzkę, cała w wytężeniu myśli, krążących w około Skorupskich i Sielenia. Nareszcie jakieś wspomnienie znów ją rozjuszyło. Purpurowa z nabiegu krwi do twarzy, przycisnęła guzik dzwonka elektrycznego.

Zjawił się zaraz lokaj.

— Weź dorożkę — rozkazała swym drżącym, anormalnym, nieznanym słudze głosem — jedź do doktora Sielenia. Zastaniesz go może w domu, niech przyjeżdża... Zasłabłam.

Ulżyło się jej po wydaniu tego rozkazu.

— Ah! — odetchnęła głęboko — po tylu infamiach, jakże mi miło będzie uregulować te odwieczne rachunki. Gdyby przynajmniej był... ale jeszcze mnie... Dwadzieścia lat cierpiałam te finezje, tę grę *au plus fin*, to przygniatanie mnie swym rozumem i *savoir-faire*... A Porycki? Porycki?

Zamyśliła się i szepnęła:

— Mnie przecież się należał i tak by mi konweniował.

Znów się rozgorączkowała i znów jej wargi drzeć zaczęły.

— Ale zkąd on się prawie wszystkiego domyślił? — pytała sama siebie ze zdziwieniem —

jakim cudem odgadł? To przestraszający rozum! I gdybym się nie była wzięła na sposób, byliby i Rudomina...

Urwała, a dwukrotne zajęczenie dzwonka oznajmiło jej pilnego gościa. Nie mógł być nim kto inny, tylko Sieleń.

Był to on rzeczywiście. Pani Wanda przeprowadziła go do swej sypialni, gdzie jedynie mogła z nim bezpiecznie i przy zamkniętych drzwiach, pomówić.

Zdziwiony doktór, badał jej oblicze, pierwszy raz, odkąd ją znał, nieswobodne, i nie maskujące myśli i uczuć.

— Panie! — zagadnęła go zaraz z pośpiechem, jakby się sama przed sobą bała własnego ochłonięcia. — Wychodzi ztąd pan Jan w tej chwili, wzburzony do utraty przytomności. Mnie nazwał intrygantką, pana furjatem, zbiegiem z domu zdrowia! ha! ha! ha! pokazałam mu drzwi!! Między nami wszystko skończone. I jeśli do dziś dnia życzyłam sobie, by panu się powiodło, dziś c h c ę byś dopiął swego.

Sieleń wsłuchany w głos kobiety, nie umiał ukryć otuchy, jaką go te słowa napełniały. Pozycja jego niepospolicie się wzmacniała. Dotąd miał przyjaciela, dziś zainteresowanego sprzymierzeńca, dotąd skrytego nieprzyjaciela Skorupskich, dziś otwartego ich wroga. Milczał z nadmiaru radości i pochodzącego z niej wzruszenia, a pani Wanda, nie panująca już zgoła nad sobą, po chwili wytchnienia podchwyciła:

— Nie wiem, jaką pan odpowiedź otrzymasz, ale wiem, że moja miłość własna jest odtąd w grze, w pańskich projektach. Pan musisz zostać zięciem *de ce fier monsieur!*

— Ależ i owszem — bąknął doktór, szarpiąc swój rudy wąsik.

— Niechże będzie udowodnionem, że jestem intrygantką, ale intrygantką, której się udaje. Tej pychy już mam dosyć, tej hipokryzji już mam po uszy. Tej dyplomacji..

Urwała i zapytała.

— Jaką panu dał odpowiedź?

— Żadnej!

— Przecież?

— Wieczór miał mi odpisać.

— Aha! ha! ha! ha!

Zaśmiała się i zaraz zapytała:

— Co pan zrobisz, jeśli odmówią?

Sieleń ruszył ramionami, a pani Wanda wlepiła w niego swój szatański wzrok, połyskujący w tej chwili, jak nigdy, rozogniony i bystry, przenikliwy i pałający wzburzonemi namiętnościami.

— Namyśl się pan dobrze — podchwyciła. — Człowiek pańskiego rodzaju, pańskiego kalibru, nie może narażać się na śmieszność, a ośmieszyłoby cię nieprzyjęte oświadczenie

i zamknęłoby ci drogę do jakiegokolwiek małżeństwa w Warszawie...

Sieleń zasępiony i uznający prawdę tych słów z jednej strony, a z drugiej, niewidzący pewności powodzenia, milczał, a pani Wanda tem milczeniem rozdrażniona, podchwyciła z pewnym wysiłkiem.

— Sądziłam, żeś pan to zmiarkował i postarał się, by odmowa była niemożliwą.

Doktor wytrzeszczył prawie zadziwiony wzrok, którym jeszcze rozdrażnił kobietę.

— Jako doktorowi — ciągnęła, cedząc i bystro go wzrokiem magnetyzując — mogło ci to przyjść łatwo...

Sieleń spojrzał na swą interlokutorkę oczami tak pytającemi, iż ta się obruszyła. Irytował ją do najwyższego stopnia. Ruszyła ramionami z pogardą i zawołała:

— A więc wziąłeś się pan głupio do rzeczy, bardzo głupio i dziecinnie — tu urwała i cedziła: — W swoim czasie nawet poddawałam ci...

Doktor zrobił minę, jak gdyby sobie coś przypominał.

— Ah! wtedy... wtedy z tem plombowaniem Ależ pani. Robiłem, co mogłem... Ręczyć jednak za nic nie mogę. Nie byłem nigdy uczniem Ochorowicza. Nie wierzyłem bardzo w tę teorję, ale, ale zrobiłem, co mogłem.

— Bo są i inne w takich razach niechybne teorje — szepnęła prawie z dziwnym uśmiechem.

Sieleń poczerwieniał, a pani Wanda, nagle wpadając w właściwą jej swobodę, podchwyciła:

— Być może, że ci się udało, panie Sieleń. Masz pan wiele siły woli w spojrzeniu, a ona wielką skłonność do histerji... Te dwa warunki czytałam gdzieś kiedyś... *Le hypnotisme m'a toujours vivement intéressé...*

Poprawiła się na fotelu, podgładziła swoje złote blond włosy i ciągnęła:

— Ale czy tak, czy owak...

Urwała, jak to miała zwyczaj czynić, gdy uwagę towarzysza silniej do słów swych przykuć chciała, gdy zamierzała wygłosić jedno z tych zdań, których każde słowo miało swoje ukryte znaczenie. Sieleń, znający ją pod tym względem, słuchał z uwagą. Zaciekawiony, do tego stopnia, iż głupią minę robił ze swemi napół rozwartemi usty, odezwał się stłumionym szeptem, głosem, proszącym o to jedyne i zbawcze hasło:

— Mów pani.

— A więc — ciągnęła pani Wanda — czy tak, czy owak, udaj, iż odmówić ci nie mogą. *Me comprenez vous?* — zapytała znacząco.

Sieleń głęboko odetchnął. Zrozumiał myśl swej przyjaciółki, a nieprzyjaciółki Skorupskich. Objął znaczenie tej rady, która mu nie była ani trudną, ani wstrętną.

— Oh! — bąknął.

— W tem możesz nawet być mistrzem. To pańska rola z jego dwuznacznemi minami, *que vous affectez souvent, et qui vousvont à merveille..*

Sieleń dopiero po długim namyśle odparł tonem pewnym:

— *Je réussirai!*

Pani Wandzie się zdało, że jej ktoś na sercu ulżył

Gdy wkrótce potem doktor się oddalił, szepnęła, przeszedłszy kilka razy wzdłuż swego pokoju:

— Teraz nie wiem, jak prawdę przenikniesz, ha! ha! Padniesz ofiarą własnej broni... Rudomin może się już oświadczyć. Ah! odetchnę... Nie ma nic okropniejszego, jak ta niejasna pozycja... Ale ten Sieleń, jaki osioł! Gdyby nie ja? Nie dość, że nic nie zrobił, ale nie wpadł na myśl udania, że coś zrobił. Ci mężczyźni to... po większej części durnie! Najsprytniejsi jeszcze...

— Książę Rudomin! — odezwał się głos lokaja za drzwiami.

— Prosić! — odparła pani Wanda i w minutę niespełna weszła do salonu, jak zawsze pogodna, rumiana, ożywiona i swobodna. — Dramat, który się tam u przyjaciół tyloletnich odbywał, nie obchodził jej nic a nic. Ona zajętą była teraz myślą, by książę wieczoru tego wyszedł narzeczonym jej córki.

XXV.

W gabinecie pana Jana Skorupskiego siedziało dokoła stołu czterech najsłynniejszych ówczesnej Warszawy doktorów. Między nimi znajdował się i Stypulski, rzucający po kolegach swym bystrym z po za złotych okularów wzrokiem. Dopiero co był im opisał organizm pacjenta, którego znał i leczył od lat i przedstawił im różne fazy i przebiegi tej skomplikowanej gastrycznej choroby.

— A teraz — ciągnął, odpocząwszy z ukrywaną, ale mimoto widocznie tryumfującą miną.— Pozwólcie, że wam przedstawię analizę pigułek, któremi ten szarlatan dobił tego człowieka — tu wyjął z kieszeni złote pudełko pana Jana otworzywszy je, położył na stole. Lekarze nachylili się nad połyskującemi białemi perełkami, a Stypulski dobywszy znów z pularesu zapisaną kartkę papieru, ciągnął, jakby z niej czytając:

— Laboratorjum chemiczne, którego tu oto

oryginalny dokument, po ścisłej analizie tych pigułek, wykazało w nich trzydzieści procent kantarydy, dwadzieścia i trzy morfiny...

Zrobił pozę i spojrzał po obecnych, pewnym siebie i pytającym wyrazem.

— Dalej, kolego! — podchwycił obojętny z pozorów słynny doktor Alwimowicz.

Stypulski opuścił oczy na papier i ciągnął.

— Ośmnaście *nux vomici*, siedm chloru, cztery merkurjuszu, piętnaście cukru...

Zakrztusił się i zapytał.

— Sądzę więc panowie koledzy, że sam tylko procent w tej proporcji kantarydy, mojem zdaniem, jest zabijającą trucizną dla organizmu...

— Zapewne — mruknął, ziewając przeciągle jeden z medyków.

— Bezprzecznie — odezwał się po chwili sławny Alwimowicz, widząc, iż na jego zdanie czekają — bezprzecznie — powtórzył po chwili, a obracając się do Stypulskiego, zapytał z ironicznym wyrazem:

— I jak się nazywa, kolego, ten truciciel?

— Doktor Sieleń, adept jakiegoś D e v i v a— podchwycił z pospiechem najmłodszy z medyków zgromadzonych, Fikaiser, - doktor używający dzisiaj największej wziętości w wyższych sferach, doktor high lifu, *high life doctor*, jak go nazywają... — dorzucił drwiąco.

— Nie wiedziałem, nie słyszałem — mruknął, nie wychodząc ze swej obojętności słynny Alwimowicz, podczas gdy koledzy jego tłumili śmiech wywołany odpowiedzią ambitnego i zdolnego Fikaisera.

Nastąpiło milczenie, przerywane tylko chrząkaniem eskulapów. Alwimowicz zakrył twarz dłonią i pogrążył się w zadumie. Fikaiser studjował kartkę, opatrzoną podpisem pierwszego w Polsce chemika, a Stypulski śledził ich wszystkich razem i każdego z osobna.

— A więc, moi szanowni koledzy! ha! ha? — odezwał się wreszcie — decydujcie... oświadczajcie wasze zdania. Tam pani Skorupska niecierpliwie czeka...

Poruszyli się wszyscy na krzesłach, z niezadowoleniem i niechęcią. Odezwa Stypulskiego wyrwała każdego z nich z jego świata dumań. Alwimowicz zapomniał był o wszystkiem, przypomniawszy sobie miniaturę, którą mu rano antykwarjusz przyniósł, a był on zapalonym zbieraczem tylko miniatur. Postanowił był ją kupić z honorarjum pierwszego porządnego „consilium.“ Właśnie był myślał nad tem, czy pani Skorupska oceni jego sławę w miarę ceny żądanej za miniaturę, która nadto przedstawiała śliczną kobietę z epoki Ludwika XIV., Fikaiser zaś z oczami wlepionemi w „analizę“, zatopił się w pytaniu dlaczego Sieleń potrafił zostać *high-life-doctor*,

że swemi trucicielskiemi pigułkami, podczas gdy on tak ciężko dobijał się klienteli w mieszczaństwie. Z trudnością rozpędziwszy te abstrakcyjne myśli, poprawili się na krzesłach i spojrzeli po sobie. Nikt się jednak nie odzywał, bo Alwimowicz milczał, nie zdoławszy się jeszcze z miniatury myślą przenieść na przedmiot „consilium.“ Wreszcie zabrał głos:

— A więc tedy... tedy... pacjent nasz jest od... od... od...

— Od czterech miesięcy — podchwycił Stypulski.

— Od czterech miesięcy go leczy ten, ten, ten?

— Sieleń! — dorzucił zniecierpliwiony Fikaiser.

— A więc tedy — ciągnął Alwimowicz — od czterech miesięcy truje naszego pacjenta ten Sieleń. Sądzę więc, że naszem zadaniem może być tylko *primo*, zniwelowanie skutków trucizny, a *secundo*, *secundo*.. jeśli pacjent dożyje...

— W tem sęk! — wtrącił Stypulski.

— Wielki sęk! — zaśmiał się Fikaiser.

— Środki oczyszczające! — rzucił Alwimowicz.

— Niezbędna morfina — szepnął medyk, który dotąd ani razu się nie odezwał.

— Tak, tak! — odparł Alwimowicz — niezbędna...

— I antipiryna... — wtrącił Fikaiser.

— Można... można... — bąknął Alwimowicz.

— Ależ koledzy — obruszył się Stypulski. — Robicie mi wrażenie... no nie wiem... Przecież widzieliście, że pacjent ma trzydzieści i ośm gorączki, że jeżeli... to godziny jego...

— My też — przerwał Fikaiser — mówimy o tem, co będziemy robić, jeżeli...

— No, ale?

— Przecież, kochany kolego. Jeśli umrze, to nic robić nie będziemy — obruszył się milczący medyk.

— Naturalnie! naturalnie! — bąknął Alwimowicz.

— Obmyślcie coś — zawołał podniesionym i zirytowanym głosem Stypulski — by przedłużyć życie, by zmniejszyć gorączkę, by zyskać pole, *terrain* do sposobu leczenia odtruwającego.

Nastało grobowe milczenie, ale krótkie. Każdy złem okiem spojrzał na Stypulskiego i każdy utkwił wzrokiem w Alwimowiczu. Ten się nerwowo zaśmiał i zwrócił prawie ironicznie do Stypulskiego.

— Chodzi ci kolego o pobudzanie zatrutego i zgangrenowanego organizmu?

— Ależ naturalnie. W tem sęk. To...

Alwimowicz przerwał mu, wstając, a wskazując na leżące na stole złote pudełeczko pana Jana, mruknął:

— To te pigułki.

Wszyscy spojrzeli nań z osłupieniem, a słynny medyk obojętnie dorzucił:

— Jeśli mamy *par force* pobudzać organizm, to nie widzę lepszego środka nad ten, jaki go pobudzał. Ha! ha! Zdwoić dawki i basta. Sieleń by sobie poradził. Jeśli jednak...

Urwał, bo go koledzy zrozumieli, a Alwimowicz mówić i tłumaczyć nie lubiał. Znanym był z tego. Z miną więc, zamykającą posiedzenie, dodał:

— Ha! Ale może być.. dzieją się wypadki... człowiek silny... niewiekowy... wino szampańskie... — tu urwał i uchwycił złote pudełko pana Jana z dziwnie ciekawym wyrazem na twarzy. Wszyscy utkwili w nim oczy, zaparli oddech, w nadziei usłyszenia zdania jego o pigułkach Deviva. Alwimowicz bowiem bywał jędrny w definicjach, często bardzo sarkastycznych. Wreszcie odezwał się:

— Śliczny wyrób.. włoska chyba robota... i antyk... bonbonierka jakiejś hrabiny z czasów Poniatowskiego... mam miniaturkę w podobnej oprawie... to ładniejsza jednak sztuczka... hm! takie pudełeczko! hm...

Doktorzy nie spojrzeli nawet po sobie, tylko Stypulski opuścił wzrok ku ziemi, a Fikaiser stłumił sprytny i złośliwy uśmiech.

Powstali, a jakby na hałas, jaki zrobili

odsuwanemi kresłami, stanęła we drzwiach blada i znękana postać pani Matyldy. Zamknęła drzwi za sobą i stojąc między nimi, zapytała stłumionym i bezsilnym głosem.

— I cóż?

Milczeli — więc Skorupska jędrniejszym tonem podchwyciła:

— Sądzę, że jeśli kto, to żona musi być poinformowaną... Wolę wiedzieć, co mnie czeka. Potrzebuję wiedzieć bez ogródek — dodała z wysiłkiem.

— A więc bardzo źle — odparł Alwimowicz.

Kobieta się zachwiała. Ściągnęła brwi, by nie wypuścić łez i zapytała:

— Co robić?...

Milczeli, więc się zwróciła do Stypulskiego i zapytała:

— Cóż się stało?

Stypulski się zmięszał, a Alwimowicz, na którym znów spoczął trwożny i rozpaczliwy wzrok pani Matyldy, odezwał się, wskazując ręką na pudełeczko pigułek:

— Te pigułki go otruły.

Pani Skorupska pobladła na chwilę, zdawało się, że straciła głos. Wreszcie rzekła:

— Te pigułki...? być nie może?

— Jednogłośnie... — bąknął tylko Stypulski.

Kobieta się ocknęła pod wrażeniem siły woli.

*

— Te pigułki! — szepnęła i zaraz podniesionym głosem dodała: — Ale panowie jemu tego nie powiecie?

Nikt tak jej, jak i jej zachowania się jakby nieprzytomnego nie rozumiał, a ona, zwracając się do Stypulskiego, dodała z siłą i z trwogą:

— On tego wiedzieć nie powinien, domyślać się nie powinien.

Oblicza doktorów wyrażały to zdziwienie, to zaciekawienie, a pani Matylda z wzrastającą trwogą, widoczną z jej głosu i miny, odezwała się:

— Proszę was panowie, obiecajcie mi, że tego ani on, ani nikt wiedzieć nie będzie.

Milczenie było odpowiedzią. Doktorzy spojrzeli po sobie w osłupieniu, aż wreszcie Alwimowicz się odezwał:

— Owszem! Przecież temu panu dalej pozwolić nie można, aby truł ludzi...

— Co jednego zabija, drugiemu pomódz może — wtrąciła pani Matylda.

— Pani! — zawołał z oburzeniem Stypulski — ten procent samej tylko kantarydy...

Urwał, bo Skorupska uchwyciła go za rękę.

— Ja proszę panów.. — tu odetchnęła, znów zrobiła wysiłek, potoczyła oczami po zaciekawionych i osowiałych twarzach doktorów i ciągnęła — ja proszę panów... Pan Sieleń już temi pigułkami leczyć nikogo nie będzie.

— Niewiadomo — wtrącił Fikaiser.

Pani Matylda, jakby w rozpaczy, spojrzała na doktora, zacisnęła usta, ściągnęła brwi i szepnęła:

— Pan Sieleń jest.. jest.. narzeczonym mej córki — dodała z pośpiechem.

Te słowa nieopisane zrobiły wrażenie. Stypulski nie mógł powstrzymać zapytania, które wyrzucił tragicznym głosem:

— Odkądże?

— Od dziś — szepnęła pani Matylda, opuszczając się na krzesło i wskazując drugie Alwimowiczowi.

Tymczasem Fikaiser wziął na bok Stypulskiego i zapytał go szeptem:

— Rozumiesz co kolega?

— Nic nie rozumiem.

— Ten pośpiech. Tu ten umiera, a tu..

— Nic nie rozumiem.

— Ha! ha! — zaśmiał się Fikaiser i szepnął: — to mi *high life-doctor*.

XXVI.

Pan Jan leżał na pościeli blady i schorzały. Przy nim siedziała pani Matylda, której bezsenne noce ściągnęły rysy i wycieńczyły dotąd dobrze zachowane i pogodne oblicze.

Mąż jej na chwilę usnął pod wrażeniem morfiny, a ona myślała nad tem, za co Bóg spuścił na nich tak okropne kary, za co równocześnie była dotkniętą dwoma najstraszniejszymi wypadkami, jakie ją w życiu spotkać mogły. Małżonek jej znajdował się od dni tylu, od wizyty u pani Wandy, między życiem a śmiercią, a Wilma źle wychodziła za mąż, gorzej niż źle, bo katastroficznie, bo w sposób, który jej się nawet w głowie nie mieścił. Całe życie szczęśliwa nie mogła zdać sobie sprawy z obecnego położenia, nie mogła przy największych wysiłkach pojąć, by córka jej miała oddać rękę awanturniczemu doktorowi, o którym jej dopiero co byli powiedzieli, że zabił jej męża.

Ale tak sobie życzył pan Jan, a wola jego była dla niej zawsze rozkazem przykazaniem. Skoro tylko Wilma mu oświadczyła stanowczo, że rękę swą odda Sieleniowi, gdy ten nadto do Skorupskiego napisał list, którego ona treści o pogmatwanym stylu nigdy zrozumieć nie mogła, mąż jej zaczął gorączkowo, chorobliwie prawie nalegać, by młodą parę zaręczono. Ta smutna ceremonja odbyła się dopiero co. Pani Matylda wyniosła z niej tak przykre wrażenie, iż po niem nawet decyzja „consilium“ nie zdołała powiększyć jej nieokreślonego ogłuszonego nieszczęściem stanu. Myślała nad tem, przypominała sobie miny i wyrazy twarzy osób, które dnia tego jak we śnie przed jej oczami się przesunęły, a w wyobraźni jej tak silnie utkwiły. Wilma sprawiała jej dziwne wrażenie. Nie wiedziała, czemu miała przypisać zaszłą w niej zmianę. Ona wyglądała, jak gdyby działała pod naciskiem, a nie z własnej woli. A tu nikt jej nie skłaniał, owszem przeciwnie... A przytem nerwy jej córki ostatniemi czasy tak się rozstroiły i powracały do tego stanu w jakim się znajdowały przez całą jej młodość, gdy byle co wyciskało jej potoki łez i przyprawiało o spazmy.

Pani Matylda nie pojmowała i dalej nie miała siły stawić oporu tym strasznym wspomnieniem, jakby widmom z przed kilku godzin.

Sieleń jakże był zażenowanym, pełnym rado-

ści a przytem strwożonym. Ręce mu drżały, jakby zbrodnię popełniał, gdy brał pierścionek z dłoni Wilmy. A mąż jej, jakże głęboko odetchnął, gdy mu przyszła powiedzieć, że zaręczyny już się odbyły.

Odetchnął tak, jak nigdy, nigdy nawet w słabości. I zaraz opuścił głowę na poduszki i zasnął tym snem, który go dotąd pierwszy raz od początku choroby tak długo trzymał. On pragnął widocznie tego związku, pragnął po ajemnie, chorobliwie. Dlaczego? Czy on go tak sobie życzył, jak chory śmierci, będącej końcem zbyt wielkiego cierpienia? Czy go też żądał może dla Wilmy, którą tak bałwochwalczo kochał?

Pani Matylda, zatopiona w swych myślach, nie spostrzegła nawet, jak mąż jej roztworzył oczy i sięgnął drżącą ręką po kieliszek do po łowy napełniony szampanem.

Zerwała się i podała mu go. Pan Jan wychylił kilka kropel i szepnął:

— Spałem, zdaje się?...

— Spałeś.

— Czuję się też pokrzepionym.

Podniósł się z wysiłkiem na poduszkach i zapytał, układając białe ręce na kołdrze, jak to zwykli czynić ciężko chorzy, pragnący pomówić.

— Porycka nie odpowiedziała?

— Nie!

Pan Jan westchnął i podchwycił:

— Mszczą się teraz .. Oddają nam...

Powiedział to tonem tak zgnębionym, ten człowiek, który nigdy się do żadnej winy nie przyznał, iż pani Matyldzie dreszcz straszny, zimny, kłujący, przebiegł po całem ciele. Czemprędzej odparła:

— Córka, któraby mściła się na takim, jak ty, ojcu...

Urwała, bo pan Jan rękę podniósł i opuścił z gestem, wyrażającym wolę, by o tym przedmiocie, o którym on miał już swoje wyrobione pojęcie, nie mówiła.

Po chwili odezwał się.

— Ale pisałaś jej o co chodzi?

— Pisała Aniela.

— Odpisała jej?

Pani Matylda milczała. Znała treść odpisu córki, ale nie chciała jej udzielić choremu. Ten z miny jej domyślł się wszystkiego i wtrącił.

— Mów! Wiem, że odpisała. Mów! Chorzy nie mogą mieć pracy z zagadkami, bo nie mają siły ich odgadywać. Co odpisała?

Skorupska poczerwieniała i odparła:

— Odpowiedziała nic... brednie! nikczemności!

— Co? — powtórzył pan Jan z niecierpliwością chorego i bezsilnego.

— Odpisała, iż się cieszy, że Wilma wyjdzie nie za „gołego hrabiego“, jak ona.

Rysy pana Jana ściągnęły się, jakby do ironicznego uśmiechu, ale jęknął tylko i przymknął oczy. Zdawał się myśleć z tym spokojem i z tą wyższością, cechującą ludzi będących nad grobem. Po chwili odezwał się cicho, lecz wyraźnie:

— Chwilami w życiu wątpiłem o Bogu, ale gdybym był nie wierzył nigdy, to bym dziś ślepo uwierzyć musiał. To sprawiedliwość jego, która tu w tem życiu karze wszystkie nasze próżności i występki, która tu, w tem życiu karze nas własną bronią, w najdotkliwsze miejsca, a za narzędzie własne czasem dzieci wybiera...

— Jasiu! Jasiu! — podchwyciła żona i chciała dalej coś mówić, ale mąż znów z wysiłkiem ręką machnął i ciągnął:

— Ta sprawiedliwość, ta nemezys, która nam niczemu bałwochwalczo hołdować nie pozwala, która nam każe pamiętać, iż rozum nasz jest igraszką dla wypadku, która nam niczego zbytnio pragnąć i niczego przeprowadzać według naszej samolubnej woli nie dozwala. Dla czegośmy chcieli, by Porycki był takim, jaki nam by dogadzał, a nie takim, jakim go Bóg stworzył? Dla czegośmy chcieli, by wszystko, wszystko, odbywało się po naszej myśli w tym świecie rządzonym przez wyższą siłę...?

Urwał wycieńczony i spuścił oczy napół, jak u nieboszczyka, przymknięte.

Pani Matylda połykała łzy, spływające jej strumieniem i wstrzymywała szlochanie, gwałtem ją duszące.

Po chwili pan Jan znów się odezwał, nie podnosząc oczu:

— Gdybym umarł, pamiętaj, by Rena, ani po mnie, ani po tobie nie była skrzywdzoną... owszem... — dodał po długiej pauzie.

Znów zamilkł na długo, a żona jego siedziała przykuta do krzesła. Miała ochotę wybiedz do przyległ go pokoju gdzie bawił Stypulski, bo jej się zdawało, że ostateczna nadeszła chwila, ale nie miała sił się ruszyć, była porażoną nieszczęściem, oniеprzytomnioną gromem, który ją, jak sądziła, czekał. Ten zwrot męża do Poryckich sprawił jej straszne wrażenie. Przypisywała go też tylko myślom męża, poprzedzającym ostatnie tchnienie. Ona jeszcze pałała urazą do tej córki, która nie umiała być taką, jaką chciała, do tego zięcia, który jej tyle napsuł krwi, tylekrotnie ją przed światem upokarzając. Mimo tragiczności momentu pani Matylda przypominała sobie tę chwilę, gdy na balu Kinstein jej przyszedł donieść, że Poryccy zastawili w jego banku swoje kosztowności i srebra. To wspomnienie, które jej krew zawsze napędzało do mózgu jakżeż jej dzisiaj, siedzącej naprzeciw trupio bladego oblicza męża, wydało się błahem i niegodnem zastanowienia nawet. A ono przecież było może gło-

wną przyczyną jej urazy. tem olbrzymiem jej życia upokorz niem. Wydała się sama sobie pierwszy raz w życiu małą i prawie śmieszną. Nie rozumiała, jak ją to mogło w swoim czasie i tak długo, bo przed kilku dniami jeszcze, drażnić, boleć i rumienić. Wtem Skorupski chrząknął i szepnął:

— Telegrafuj, by przyjechała..... telegrafuj, żem bardzo chory...

Pani Matylda zrobiła wysiłek i powstała. Ale mąż skinął, by usiadła i mówił:

— Może Rena przyjedzie... może jeszcze da się odrobić...

Biedna kobieta utopiła błędny wzrok w mężu, którego pierwszy raz nie rozumiała. Rano naglił, by się odbyły zaręczyny. Teraz jeszcze rachował na Renę, że potrafi to małżeństwo rozerwać. Pan Jan znów po chwili ciągnął:

— Siostra z siostrą... Rena może... Renie może.. Gdybym wiedział — dodał prawie niesłyszalnym szeptem.

Odtąd Skorupskiej wyobraźnię zajęła wszechpotężnie ciekawość tylko. Zapomniała o wszystkiem, a usiłowała swym mózgiem prześwidrować skryte myśli męża i tajne jego pobudki. Ale nie wpadała na żaden domysł. Sięgnęła ręką do kieszeni, w której tkwił ostatni list

Sielenia, ten list niejasny i pogmatwany, a który przecież ostatecznie zdecydował chorego.

Spojrzała na męża, który zdawał się znów zasypiać. Wstała pewnie z krzesła, z którego przed chwilą ruszyć się nie mogła, i podeszła do okna. Wyciągnąwszy list przyszłego zięcia, czytała ten ustęp, nie dający się jasno zrozumieć. Tenże brzmiał:

„Wierzaj mi pan, iż mi boleśnie nie módz się zastosować do jego woli, rezygnując z ręki pańskiej córki. Różne okoliczności stoją temu na przeszkodzie i gdybym nawet sercu mojemu postanowił nie być posłusznym, to bym i m niestety powolnym być musiał. Czując się nadto w obowiązku prosić pana, byś dalej nie zwlekał z decyzją, będącą jedynie możliwą wobec woli panny Wilmy, której nic zmienić, ani zachwiać nie może".

Pani Matylda utopiła oczy w tych wierszach i odczytywała je raz po raz. Byłaby bez końca nad nimi dumała, ale chory jęknął i czemprędzej powróciła do łoża.

Goraczka pod wieczór się wzmagała. Pan Jan, przewracając się na bok, mówił urywanym, podniesionym, jak w malignie głosem:

— Szubrawiec, a my tak Poryckiego nazywali... dentysta! ha! ha! ha! I to ja, ja, ja... hahaha!... Ale pani Wanda? A może nic

w tem nie ma?... Rena, jedna... *High life-doctor...* ha! ha!...

Pani Matylda długo jeszcze stała z zapartym oddechem, ale chory nic więcej nie powiedział i zasnął.

Stypulski skonstatował lżejszą, bo dopuszczającą normalny sen, gorączkę.

XXVII.

Pani Wanda dnia tego przyjmowała w swym saloniku Poryckiego. Przed nimi na stole leżał stos banknotów, świeżo widocznie przeliczonych i ułożonych, bo oboje, jakby odpoczywając po rachubie, milczeli.

— Rzetelne rachunki robią dobrych przyjaciół — odezwał się wreszcie hrabia — więc załatwiwszy się z nimi, przystępuję do właściściwej przyczyny mego przyjazdu do pani. Pieniądze bowiem mógłbym jej odesłać z serdecznem podziękowaniem.

Tu pani Choryńska, której oczy zabłyszczały niewymowną ciekawością, podchwyciła:

— A więc jest jeszcze i inny cel miłej pana wizyty? Owszem... jestem na pana usługi, bo lubię obligować sobie ludzi, tak miłych, jak pan. Ale wytłumaczże mi, hrabio Porycki, ten nagły zwrot tego olbrzymiego kapitału — mówiła z uśmiechem, wskazując niedbale na pieniądze. —

Wszakże wymówiłeś sobie nawet nie tak prędkie ich oddanie, a zwracasz zaledwie pożyczywszy...

— Bardzo proste są tego przyczyny — odparł hrabia. — Interes, na który dawno czekałem, którego końca nawet tak rychło się nie spodziewałem, przyszedł do skutku i postawił mnie na nogi.

— Ach! Jakże jestem szczęśliwą!

— Dziękuję pani i wierzę w szczerość tych słów... Udowodniłaś je pani, — podchwycił hrabia i ciągnął — kolej, która przerzyna moje grunta i lasy, została zatwierdzoną. Od jednego zamachu więc uzyskałem fundusz ze sprzedaży gruntów i lasów... Nasze kłopoty należą do historji i odtąd już — tu się zaśmiał i dodał — pan Skorupski nie będzie nagabywany o zasiłki, ani też nie będę go kompromitował moimi interesami.

Urwał i zamilkł Pani Wanda zapytała, nie mogąc wytrzymać:

— A ten właściwy interes?

Porycki się poprawił na krześle i zaczął.

— Od kilku, czy kilkunastu dni moja żona jest nagabywaną przez Skorupskich o przyjazd. Najprzód był to telegram, na który Rena przybyć nie mogła, będąc mi w domu potrzebną, bo właśnie te interesa się toczyły. Potem list panny Anieli, opisujący właściwe przyczyny wezwania, a onegdaj wreszcie depesza pani Matyldy...

— Bo pan Jan jest umierający...

— Otóż — podchwycił Porycki — dowiedziałem się o tem tutaj dopiero. Renę wzywano dla popsucia małżeństwa Wilmy.

— Bo to małżeństwo, to nieszczęście!...

— Sądzi pani?

— Dla nich!

— A więc pojmuje pani — zawołał Porycki — że moja żona w żaden sposób nie mogła zjeżdżać, by intrygować przeciw temu człowiekowi, choćby tylko dla tego, że on u pani wyrobił pożyczkę, ratującą nas od ruiny. Ztąd też głównie, odebrawszy list panny Anieli, wyjechać jej nie pozwoliłem.

Pani Wanda milczała, więc Porycki znów głos zabrał:

— Nie znam dobrze pana Sielenia, ale brat jego jest naszym sąsiadem, a on sam dał mi dowód życzliwości, zobowiązał mnie w sposób, za który się wdzięcznym być zawsze winno.

Po ustach pani Wandy przebiegł wyraz wstrzymujący uśmiech. Ona jedna wiedziała, co myśleć o tych zobowiązaniach i przysługach, ale słuchała, potakując głową i miną. On dalej mówił:

— Nigdybym nie pozwolił Renie, którą to małżeństwo głeboko trapi, zjeżdżać teraz do Warszawy. Mogłaby rzeczywiście wpłynąć na siostrę. *aristocrate qu'elle est*, a wpłynięcie to ze

strony mojej żony uważałbym za krok nieszlachetny, za jakibym się rumienić musiał. Zresztą państwo Skorupscy nie spytali się o nas, gdyśmy może umierali z głodu — tu się zaśmiał i kończył: — Dziwię się, że nas dziś potrzebują.

Urwał i nastąpiło milczenie. Pani Wanda ważyła coś w głowie, a Porycki zagryzał wąsa i czekał, by ona wreszcie się odezwała. Nastąpiło to niebawem.

— O cóż więc chodzi? — zapytała.

— Chciałem panią prosić, abyś wyłuszczyła Skorupskim przyczyny, dla których Rena na wezwanie się nie stawiła.

Tu kobieta miała już na języku wyjawienie Poryckiemu, iż sama była poróżnioną z panem Janem, ale się powstrzymała. Na razie myślała, czyby się nie dała wyciągnąć jaka korzyść z polecenia zięcia pana Jana. Widocznie znalazła ją, bo podchwyciła:

— I owszem... Biorę na siebie to zlecenie zresztą całkiem zrozumiałe i godne. Nie możesz pan działać przeciwko Sieleniowi, to przecie jasne jak dzień . . . . — tu zastanowiła się i z uśmiechem zapytała: — Ale bo świat, który naturalnie teraz niczem się nie zajmuje, tylko tym marjażem Sielenia, inaczej opisuje odmowę przybycia Reny.

Porycki się zaśmiał.

— Jakże?

— *On pretend* — ciągnęła filuternie kobieta — że Rena miała tu odpisać w sposób dość złośliwy, z jakąś aluzją...

Porycki przerwał zarumieniony ze swym złośliwym wyrazem na ustach:

— Być może... nie wiem... nie dziwiłbym się jej nawet po tylu przykrościach i dowodach obojętności doznanych od rodziców. Jest się córką, ale się jest i człowiekiem. Dzieci nawet, dzieci tembardziej — powtórzył z naciskiem — nie zapominają ukłuć sztyletów ze strony rodziców.

— Oh! — zawołała pani Wanda z entuzjazmem —jak ja pana rozumiem! A nigdy zrozumieć nie mogłam pana Jana. *Le pauvre homme!* Jakaż straszna kara! Jakaż okropna kara!

Porycki udał zdziwienie.

— W czem?

Pani Wanda się zaśmiała!

— Ah! Udajesz pan.. Niby mnie nie rozumiesz? niby nie wiesz? Czyż tyle się pracuje, by złapać Sielenia?

— Słyszałem, że to ma być człowiek bardzo dobrze...

Kobieta ruszyła ramionami z dziwną miną.

— Hm — mruknęła — ja go bardzo lubię — tu zmieniła ton i ciągnęła. Ta paskudna Warszawa nazwała go świeżo *high-life doctor*... Bawi mnie to... *C'est simple, mais si méchant!* Nieprawdaż?

Porycki się uśmiechnał i zagryzł wąsa. Zadowolenie malowało się na całem jego obliczu Pani Wanda je podchwyciła i zawołała:

— I powie ktoś, że nieprawdę powiedział ten wielki filozof, twierdzący, że w nieszczęściu naszych przyjaciół jest coś, co nam sprawia przyjemność.

Porycki nie odpowiedział, wstał i mówił:

— Bajalibyśmy bez końca, a tu mnie czeka nawał interesów.

— Ależ zostań pan jeszcze.

— Nie mogę. Mam termin. Rozmowy naszej dokończymy podczas wyścigów.

— Podczas wyścigów?

— Tak pani. Na wyścigi zjeżdżamy do Warszawy. Chciałbym, by Rena po tylu latach zamknięcia na wsi odświeżyła siebie i swoje stosunki

— Będzie to właśnie pora zaślubin mej córki — wtrąciła pani Wanda.

— Bardzo dobrze! — zawołał Porycki — Damy więc bal na cześć córki naszej najlepszej przyjaciółki...

— Panie Porycki! Trzymam pana za słowo — zawołała z życiem kobieta.

— *Je ne demande pas mieux.*

— Listę zaproszonych ja ułożę z księciem.

— Ależ i owszem — odparł Porycki żegnając się — zaprosimy tylko jej przyjaciół. Będzie

to małe, ale *eine nette Gesellschaft.* Wszystko zrobię, by pani moją wdzięczność okazać.

Pani Wanda zachwycona była tym banalnym projektem. Z góry cieszyła się mdłą nadzieją tego balu, podczas którego by świat sobie szeptał o przyczynach go wywołujących, tego balu hrabstwa Poryckich dla niej, pogniewanej ze Skorupskimi.

— Wybornie! — zawołała — i zmuszę pana, byś dotrzymał słowa. Niechże świat wie, żeście nie zginęli. Pan Jan swoją drogą będzie szalał... Byle tylko nie umarł. Pierwszy raz będzie żałował, że jest źle z panem.., bo to będzie bal *très chic.*

— A będzie miał z niego relacje — zaśmiał się Porycki — przez *high-life doctora,* bo go przecież zaprosimy.

Tu spojrzał na zegarek i wybiegł, złożywszy pocałunek na białej dłoni rozpromienionej pani Wandy.

XXVIII.

Pan Jan miał się lepiej. Właśnie drzemał w popołudniowych godzinach, a żona jego siedziała przy nim, zatopiona w najsmutniejszych myślach. Doktorzy nie wróżyli nic dobrego i bynajmniej jej nie upewniali co do przyszłości męża. Ale ona, uszczęśliwiona z szczęśliwego na razie obrotu rzeczy, powracała powoli do realnych i banalnych pobudek tego życia. Już ją zaczynały boleć dawne przykrości, zajmować świat i ludzie. Już inaczej zapatrywała się na małżeństwo Wilmy i z przestrachem widziała zbliżającą się straszną chwilę, gdy będzie musiała stanąć ze światem oko w oko, i powiedzieć mu:

— Tak! moja córka wychodzi za doktora Sielenia, przyjmuję powinszowania.

Krew jej uderzała na mózg. Ona to miała powiedzieć i to, skoro tylko mogłaby znów otworzyć światu drzwi od swych salonów, to jest,

skoro tylko mąż jej by się uczuł lepiej. I to miała ona oznajmić światu, w chwili, gdy pani Wanda objeżdżała miasto z córką i Rudominem w karecie z wizytami młodej zaręczonej pary. Bo pani Matylda, jakkolwiek cała oddana pielęgnowaniu chorego, wiedziała, co się działo w świecie. Bez tego nie przeżyłaby była tych kilku straszliwych dni. Ale panna Aniela, używana do rozmaitych posług, przychodziła codzień jej donosić, co o nich mówiono i jak komentowano katastrofę ich życia —A ona sama, wyglądając podczas długich nad chorym godzin przez okno, widziała raz uwijający się ekwipaż pani Wandy i w nim nienawistne jej teraz oblicze tego „podłego książątka“; krew ścinała się w żyłach i burzyła wszystkiemi fibrami namiętnej i próżnej kobiety.

Ten przedmiot pochłaniał ją całą, nim się bawiła w dzień i wśród bezsennych nocy. Cierpiała niewymownie, a podwójnie z tego względu, że nie mogła się swemi wrażeniami podzielić z mężem, z którym jedynie się rozumiała i który jedynie mógłby ją uspokoić, czy pocieszyć. Przytem nie wiedziała co począć, co komu odpowiedzieć, jaką wobec spełnionego faktu zaręczyn córki, przyjąć postawę. Chory nie mógł jej wskazać drogi postępowania i nadać jej biernemu charakterowi kierunku w tem niepojętem w jej oczach przejściu. Córka jej wychodziła za domowego doktora. Córka jej, bę-

dąca partją *high-life'u* warszawskiego, oddawała swą rękę człowiekowi, który wczoraj w świecie się pojawił i wyrobił sobie w nim miejsce paryskim akcentem i pigułkami, które Alwimowicz trucizną nazywał.

— Było z czego dostać obłędu — myślała pani Matylda i nieraz obejmowała w obie dłonie swą głowę, w której coś jakby z szumem się rozlatało, to znów jakby się gniotło i waliło — Zaglądając sama w głąb tajników swej duszy, widziała, iż jeśli gorąco pragnęła wyzdrowienia swego męża, to dlatego może głównie, aby zaciągnąć jego zdania co do tych wypadków, które nie mogły się w jej głowie pomieścić, ani ustatkować.

Często bezprzytomna, przygotowując lekarstwa, czy też obiegając dom i dysponując drobiazgi życia, szeptała półgłosem:

— Pani Sieleń, pani Sieleń, doktorowa Sieleń...

Dnia tego około trzeciej popołudniu, przebudził się pan Jan ze swej pokrzepiającej i zalecanej bardzo przez Stypulskiego drzemki. Otworzywszy oczy i zdawszy sobie sprawę, że żyje, zagadnął wycieńczonym niemocą i cierpieniami głosem:

— Rena?... odpowiedziała?

— Nie... ale Porycki był w Warszawie.

— Zkąd.. że wiesz?...

— Aniela mi doniosła.

— A kiedyż to poszła depesza?...

— Przed ośmioma dniami

— Cóż to znaczy? — spytał chory po chwili zadumy.

Pani Matylda ruszyła ramionami. Pana Jana oblicze pokrył bolesny wyraz.

Nastąpiło milczenie i przerwał je dopiero lokaj, który zapukał do drzwi. Skorupska pobiegła mu otworzyć

— Co?

— Pani hrabina Warewska!

— Co chce?

— Prosi, by się z jaśnie panią widzieć mogła.

— Powiedziałeś, że nikogo nie przyjmuję?

— Powiedziałem, ale pani hrabina...

— Proś... — bąknęła po namyśle.

Była zdziwioną. Co od niej mogła chcieć ta kobieta, która dopuściła, by Rudomin przerzucił się z Wilmy na Choryńską? Gdyby się nie był przerzucił, gdyby się był tego wieczora oświadczył.. toby... — Wtem pan Jan zapytał.

— Co to?

— Warewska chce się koniecznie ze mną widzieć.

— Poproś ją...

— Co ona chcieć może?

— Musi.. mieć... jakiś interes... — odparł

chory, którego zaczynał już świat, jak przez mgłę, zajmować i bawić. Powracał do zdrowia, a więc i do życia, jakiem go rozumiał Zaszłe wypadki stawały mu w myśli jaśniej i żywiej. Cierpiał też wskutek nich więcej, lecz zarazem wytykał sobie plan działania i postępowania na przyszłość. Postanawiał może pogodzić się z Poryckimi i w stosunkach z nimi szukać zadowolenia miłości własnej i próżności, bez której blasku, nie pojmował życia.

Gdy pani Matylda przyjmowała hrabinę, Skorupski, czujący się znacznie lepiej na zdrowiu, kombinował to wszystko w swym osłabionym mózgu. Powracały mu na pamięć słowa pani Wandy, które zrodziły w nim straszne podejrzenia, przyspieszające przyjęcie Sielenia. Dziś był już zdecydowanym. Pan Jan należał do ludzi niezdolnych do zaciętej walki z życiem. Robił wszystko możliwe, by się na tę walkę w żaden sposób nie narażać, ale gdy musiał w niej stanąć do boju, to prosty logiczny rozum mu dyktował natychmiastową kapitulację. Liczył jeszcze dużo na Porycką, że potrafi ostudzić siostrę w pierwszym zapale do przystojnego młodzieńca, mającego nadto ten dziwny dla kobiet urok awanturniczości, czy enigmy. Nie przypuszczał, by Rena, tym razem wezwana depeszą, alarmującą ją jego zdrowiem, nie stawiła się. Zwłokę przypisywał niefortunnej właśnie nieobecności w domu

zięcia i liczył, że tegoż właśnie dnia powinnaby stanąć w Warszawie.

— Jeliby zaś—myślał—i Renie się nie udało powstrzymać Wilmę od małżeństwa, jeśliby to naturalnie możliwem było, to nie pozostaje nic innego, jak pogodzić się z losem.

Krew mu uderzyła do głowy.

Gdyby wiedział, że okropne słowa pani Wandy nie miały znaczenia, że enigmatyczne listy Sielenia były grą słów człowieka, nie ważącego, jak on, każdej litery, dziś by jeszcze jakkolwiek chory, lokajowi za drzwi kazał wyrzucić swego przyszłego zięcia.

Uczuł niewymowne cierpienie. Te myśli go irytowały i uderzały mu do głowy. Rozpędził je w jednej chwili. Cóż znaczyło to wszystko wobec zdrowia?

Wtem powróciła pani Matylda. Chory tylko spojrzał na nią, a przeraził się jej wzburzeniem, które ta przed jego bystrym wzrokiem darmo ukryć usiłowała.

— Cóż? — zapytał trwożnie.

— Nic... dowiadywała się o twoje zdrowie...

Pan Jan poprawił się na poduszkach i podchwycił:

— Moja droga Madziu, bądź łaskawa m powtórzyć treść waszej rozmowy. Z wyglądu twego widzę, że była ona wysoce nieparlamentarną... Dostałbym gorączki, gdybyś mnie po-

zostawiła na pastwę domysłom... w takiej chwili.

Pani Matylda próbowała jeszcze przeczyć, ale Skorupski niecierpliwie ręką machnął.

Żona jego rzuciła się na krzesło. Wola męża była jej na rękę w tej chwili. Nie mogła już dłużej wytrzymać tego położenia, zmuszającego ją do krycia swych myśli, trosk i wrażeń.

— Wyobraź sobie! — zawołała widocznie wysilając się by nie wybuchnąć płaczem hamowanej złości — ta wiedźma! ta intrygantka! ta szelma!!!

— Wanda?

— Ona! przysyła mi Warewskę, by mi powiedziała to wszystko, co jej nam udzielić polecił ten łotr!

— Porycki?

— On!

Nastąpiło milczenie. Pani Matylda śledziła bledniejące oblicze męża, a on się poprawiał w siedzącej na łożu pozycji, jak gdyby się bał zbyt mocnego napływu krwi do głowy.

— Cóż on jej kazał nam oznajmić? — zapytał.

— Że Rena nie przyjedzie — z pospiechem zaczęła niewiasta — bo nie chce występować przeciw Sieleniowi, który ich od śmierci głodowej ocalił. Czy ty pojmujesz? — zapytała z naciskiem, zapominając w roznamiętnieniu, że mówi

do człowieka będącego jeszcze onegdaj bliżej śmierci, niż życia, — czy ty pojmujesz? — powtórzyła — tę hipokryzję? tę..

Pan Jan kiwnął głową, a ona ciągnęła:

— I przysyła do mnie Warewską! roznosi po całym świecie te brudy! i to ona! on! zięć i przyjaciółka! Bo kto tu więcej winien? Kto wie, co on jej powiedział, a co ona powtórzyła? Zresztą, jaka podłość przyjmować tak poufne zlecenie, którego się wypełnić nie może? Przyjęła je tylko dla tego...

Chory chciał oszczędzić irytacji, zapalającej się żonie i podchwycił:

— Na pochyłe drzewo to i koza lezie... Widza, żem chory — dodał ze zgnębieniem — widzą, że...

Urwał i zapytał:

— Więc Rena nie przyjedzie?

— Widocznie.

Pan Jan westchnął. Oczy jego przybrały twardy i bolesny wyraz. Jakieś głębokie refleksje chwilę go męczyły, bo sie kilkakrotnie poprawił na posłaniu.

Nastąpiła długa cisza, którą wreszcie przerwał, pytając:

— A jakiem prawem podjęła się tej misji ta rajfura?

— Przecież przyszła ciotka jej córki...

— Więc to małżeństwo?

— Zaręczeni — szepnęła pani Matylda.

Skorupski znów się zamyślił z tą intenzywnością, cechującą jego wyraz twarzy.

Cierpiał nieokreślenie. Ten człowiek, dający sobie radę zawsze i we wszystkiem, dziś potrzebował pomocy innych, pomocy tych, których najwięcej lekceważył i upokarzał. Pani Matylda przerwała to milczenie, bo i bała sie, by irytacja nie pogorszyła znów stanu zdrowia męża.

Rozbudził ich dopiero dzwonek. Pan Jan pierwszy się z zadumy ocknął.

— To Stypulski?

— On pewnie... piąta.

— Jeśli on, to nas zostaw samych.

Skorupska wyszła i bezprzytomnie kroczyła naprzód, otwierając jedne drzwi po drugich. W głowie jej szumiało. Tego położenia już zdawało się jej, dłużej nie wytrzyma, jak nie zniesie tych ludzi, pastwiacych się nad jej bólem, dobijających jej ukochanego małżonka.

Wtem przystanęła. Znalazła się nad Wilmą i Sieleniem, którzy szeptali, siedząc obok siebie w saloniku

Pani Matylda ściągnęła brwi. Doktór, o którym nie wiedziała, że przyszedł, podczas gdy bawiła u męża, podszedł się przywitać.

Skorupska nie mogła zapanować nad sobą na widok tego człowieka, zjawiającego się jej

w tej chwili, w której szukała przyczyny swych nieszczęść.

— Pan! — zawołała — pan! Jakiem prawem pan mi zabijasz męża? Trzeba być łotrem, aby gwałtem zmuszać nas...

Urwała, zalała się łzami i wybiegła, zostawiając osowiałego Sielenia i pomięszaną, zdenerwowaną Wilmę.

Podczas tego, gdy nieszczęśliwa kobieta szlochała w swym pokoju i odczuwała błogą ulgę w tem, jaką płacz w podobnych sprawia wypadkach, pan Jan rozmawiał z Stypulskim.

— Kochany doktorze — mówił powoli i osłabionym głosem. — Stan moralny mej córki mnie zatrważa. Uważam, iż nie jest naturalną.. Gdybyś zechciał ją zbadać, ale zbadać z twoją skrupulatnością.

— Zakochana! panie dobrodzieju...

Pan Jan zmarszczył brwi.

— Kochany doktorze — podchwycił — gdy coś mówię, to zawsze na pewnych danych. Córka moja nie jest zdrową... rozumiesz pan?

Wlepił w doktora swój wyrazisty i przejęty wzrok, tak, iż tenże w nim dopiero próbował wyczytać wolę chorego, który ciągnął:

— Nerwowa więcej niż kiedykolwiek. Zmieniona fizycznie, a przytem prawie bierna i apatyczna...

— Właśnie wczoraj badałem pannę Wilmę

— odparł Stypulski — myśleliśmy, że to influenca.

— A to było? — zawołał z dziwnym przestrachem Skorupski.

— Lekka niedyspozycja.

Pan Jan odetchnął i wtrącił:

— Nie! ona nie jest zdrową.

— Sądzisz pan, że mianowicie...

— Nie wiem. Wiem tylko, że nie jest, nie może być zdrową. Gdybyś kochany doktor zechciał...

— Ależ i owszem.

— I z twoją skrupulatnością.

— Hm... hm... być może..

— I powiesz mnie samemu. Żony mojej nie trzeba zatrważać.. może się mylę?...

Stypulski z radością konstatował powrót do zdrowia pacjenta. Postanowił zdwoić starania i miał nadzieję, że z pomocą jego medycznego doświadczenia zdoła zniwelować fatalne skutki kilkomiesięcznego użycia trujących pigułek. Byle tylko teraz wyzdrowiał, to Stypulski nie wątpił, że siłą wiedzy i nauki potrafi jeszcze podtrzymać ten organizm. Tak myślał, podczas gdy chory odpoczywał po wzruszeniach i świeżo zażytych lekarstwach.

Wtem zagadnął on doktora:

— Te pigułki Sielenia, co to?

Doktor się zmięszał. Skorupski pierwszy raz

z nim mówił o tych pigułkach. Po chwili dopiero odparł:

— Pigułki... pigułki.

— Robiliście ich analizę?

— A jakże... robili... robili...

— I?

— Pigułki... pigułeczki — jąkał się.

— Może to one mi zaszkodziły?

— Wątpię... wątpię ..

Pan Jan bystro spojrzał w oczy Stypulskiemu i o więcej nie pytał. W chwilę doktor się wysunął, by pomówić z Wilmą, a pan Jan wtedy dopiero szepnął:

— Otruł mnie... szarlatan... *high-life* doktor.— I zamyślił się nad tem, skąd on sam o tem wiedział, że Sielenia tak nazywano. I przypomniał sobie, że właśnie w dniu katastrofy, powalającej go na łoże, usłyszał był ten dowcip w klubie, z ust hrabiego Artura. Postanowił zapomnieć jak najprędzej o tym przydomku, aby w gorączce się z nim przed żoną, lub Wilmą nie zdradzić. Jeśli już miał mieć zięciem, myślał, *high-life-doctor'a*, to niechby już on o tem sam tylko wiedział.

XXIX.

Wyścigi w Warszawie ściągnęły tego roku mnóstwo osób, należących do *high-lifu* polskiego. Ze wszystkich stron też pościągali znajomi i krewni pani Wandy i księcia Rudomina, którego ślub równocześnie z wyścigami wypadł.

Porycki dotrzymał słowa. Zjechali oboje do Warszawy i w pałacyku swoim, położonym przy Alejach Ujazdowskich, a który ostatnimi czasy kilkakrotnie miał już być drogą licytacji sprzedany, zamieszkali.

Pomimo znów pogorszonego stanu zdrowia pana Jana, wydawali dnia tego wieczór tańcujący dla młodej pary, gdyż pani Wanda nań nalegała, a umiała ona tak dobrze nalegać!

— Jeśli — mówiła do Reny — będziecie czekać zupełnego zdrowia pana Jana, to nigdy mi nie dacie żadnego balu. *Le mal d'estomac* .. to trwa... trwa..

Przekonało to panią Porycką, spragnioną odetchnięcia światową atmosferą, w której wzro-

sła. Rozesłała liczne zaproszenia. Zresztą była wyjątkowo pobudzoną i ożywioną. Nagle, po kilkoletnich przejściach, zagrażających jej zupełną ruiną, ujrzała się panią dużej fortuny, bez której również, jak jej rodzice, życia by nie rozumiała. Jeszcze piękna, a więc i otoczona, porwana wirem i szumem, jaki zwykle w Warszawie podczaś wyścigów panuje, nie wahała się mimo chronicznej choroby ojca, ogłosić balu.

Zresztą mogła śmiało uważać się za wytłumaczoną.

Po pierwsze, pan Jan zawsze kwękał i chorował. Powtóre mimo tej choroby, odbył się przecież ślub Sielenia z Wilmą ślub, któremu właśnie rodzice jej nadali pewną cechę ostentacji i rozgłosu. Państwo Skorupscy nie mogli się kryć z tem, co robili.

Pani Rena uważała się za zwolnioną ze skrupułów. — A choćby było inaczej, to cóż mogła uczynić wobec życzenia Poryckiego, który pragnął wyświadczyć tę grzeczność pani Wandzie? Lubił ją i wdzięcznym jej był serdecznie za dowody przyjaźni, których w trudnych przejściach bardzo wiele doznał.

Z uderzeniem dziesiątej godziny zaczęło się gromadzić strojne towarzystwo i napełniać jeszcze nieodświeżone i niedawną wiejące ruiną, apartamenta.

Jeden z pierwszych przybył Sieleń, zmie-

niony, zasępiony, ale mimo to niedopoznania. Wyglądał na pana z panów, stracił to coś niezupełnie pewnego siebie, co dawniej bystremu oku odkrywało w nim człowieka, nie silnie stojącego na posadzkach salonów, w których się obracał.

Zmężniał, wyprzystojniał nawet, ale się nadzwyczajnie przez te kilka miesięcy zestarzał i stracił ten urok, jakim właśnie u niego była ta enigmatyczność, przerażająca pana Jana.

Rena, dostrzegłszy go, podbiegła ku szwagrowi.

— A Wilma?

— Wystaw sobie — odparł Sieleń — dziś wieczorem dostała takiego ataku, *qu'elle ne pouvait pas*.

Pani Porycka zasępiła się.

— Ale cóż to na Boga, te tak często powtarzające się ataki? — zapytała z trwogą.

Sieleń ruszył ramionami.

— *Je fais mon possible* — odparł — by ją oszczędzać.

— Wpadnie w histerję. To zatrważające!

— Przecież Alwimowicz ją leczy... wezwałem go od tygodnia.

— Cóż za smutny bal... papa gorzej... Wilma..

— Wierzaj mi — podchwycił Sieleń z pewną czułością w głosie — chciałem, by była...

Rozeszli się. Sieleń pospieszył w stronę kilku właścicieli wyścigowców, którzy się o coś spierali, a Rena zrobiła kilka apatycznych kroków, by powitać księżnę Światosławową, wchodzącą z prześliczną i posażną córką.

Porycki wyglądał uszczęśliwiony, promieniał. Mówiono mu, iż to najpiękniejszy bal w sezonie. Co chwila przybywała jakaś znakomitość *high-lifu*, jakaś wielkość arystokratycznego świata. Tu go komplementował *à propos* ekwipażu jego hrabia Potocki, znawca pod tym względem, tam wchodziła do salonów hrabina Branicka, przybyła rano z Nicei, a wprowadzająca w świat córkę, mającą mieć trzy miljony posagu. Ten człowiek, walczący przez pięć lat z ruiną, usiłującą go na zawsze wyforować ze świata, do którego zależał i w którym tylko pełną piersią oddychał, używał na tym balu, będącym niejako jego tryumfem, wymownym dowodem, że nie zginął, nie przepadł w nurtach pochłaniającej ludzi biedy. — Sam sobie nie wierzył. On, co nie widział od kilku lat, jak tylko żydów dopominających się o procenta i sumy, nie przyjmował, tylko wierzycieli i interesentów, dziś wydawał bal dla kwiatu polskiej arystokracji.

Upojony był tym zwrotem fortuny, która pierwszy raz namacalnie i obrazowo mu się uśmiechała.

Pani Wanda go zagadnęła:

— Obiecałeś mi hrabio wieczorek dla mojej młodej pary, a dałeś bal, *mais un bal!* We wszystkiem jesteś *un chevalier de l'ancien régime*. Winszuję panu.. Zawsze mówiłam, że ludzie, jak pan, nie giną, tylko silniejsi powstają. A pan Jan, który mi nie chciał wierzyć?

Porycki uśmiechał się. On lubił panią Wandę, jej sposób wynalezienia najpochlebniejszych rzeczy do powiedzenia, jej ożywienie i jej rozum. Ona ciągnęła:

— *Vous savez?* Pan Jan bardzo źle, baaardzo źle. Nie trzeba tego mówić Renie. Popsuło by jej bal, a nikomu nic nie pomogło. Widziałam dziś wieczorem wypadkiem Alwimowicza u tej Mimi, *qui se meurt*...

Spojrzała mu w oczy i zagadnęła.

— Bo panu mogę to powiedzieć. Alwimowicz żadnej nie robi nadziei... żadnej... Domyślam się, iżbyś nic nie miał przeciw temu, *pour toucher quelque argent* z tego skalistego źródła. *Et puis* nie widujecie się...

Porycki nie odpowiadał, a pani Wanda, dalej szczebiocząc, rozglądała się po salonie.

— Ale gdzież Wilma? nie widzę jej. Gdzież pani Sieleń? pani *de Sieleń?* — pytała uszczypliwie z nieopisanym tryumfem w oczach, rzucając zaraz potem zawistne spojrzenie na strojną i błyszczącą brylantami Renę.

— Wilma w ostatniej chwili zasłabła — odparł Porycki — nie jest zdrową.

— Myślałam, że z powodu ojca — podchwyciła pani Wanda — ale *à propos*, powiedz mi pan — pytała tajemniczo, — co to jest ta choroba Wilmy?

Porycki milczał, a ona ciągnęła ze złośliwym i znaczącym uśmiechem:

— Myślałam, że to co innego, ale mówią, że to... *la grande hystérie?*

Hrabia nachylił się i szepnął.

— I ja to samo przypuszczam.

— Z czego? Zkąd?

— Czy ja wiem.

Po twarzy pani Wandy przebiegł wyraz, który zwykle witał na jej obliczu, gdy nad czemś głębiej się zastanawiała. Trwał on dość długo i pokrył nawet jej rysy na chwilę, jakby smutkiem.

Ale wnet się ożywiła i chciała znów zagadnąć Poryckiego. Ale tego już nie było. Dostrzegła go, rozmawiającego w drugim salonie z Sieleniem, a obaj wyglądali dziwnie pomięszani i skonsternowani.

— Coś się stało — szepnęła. Powstała i zbliżała się powoli ku nim, by być pod ręką, gdyby jej rady zapotrzebowali. Pani Wanda znała się na fizjognomjach tych szczególnie dwóch ludzi, z których jednego chciała mieć zięciem, a dru-

giemu zrobiła karjerę, obu zaś użyła za narzędzie swój strasznej zemsty,

W chwili, gdy już była tuż przy nich, nie spuszczając ich z oka, Porycki gdzieś pospiesznie odbiegł, a Sieleń ku niej się zbliżył.

— Wyglądasz pan... dziwnie, jak katastrofa...

— Ah! — machnął niecierpliwie ręką eks-doktor — bo też jestem w katastrofach.

Powiedział to tak serjo, z takiem zmęczeniem i znudzeniem, że i pani Wanda spoważniała.

— No? — zagadnęła obejmując wzrokiem salę — mazur u swego kulminacyjnego punktu Siadaj pan tutaj — dodała, wskazując dwa krzesła *et contez moi vos peines*.

Sieleń nie kazał się prosić. Potrzebował się zwierzyć komuś ze swych utrapień, których już miał po uszy, za wiele na swój lekki, swobodny i płytki charakter. Usiadł i odezwał się:

— Te nasze doścignione cele bokiem nam wyłażą. Czy pani uwierzysz, gdy jej powiem, że nieraz mi się zdaje, iż sto razy byłbym szczęśliwszym w moim gabinecie przy ulicy włodzimirskiej, niż...

Pani Wanda przerwała.

— Panie Sieleń! Jesteś pan niewdzięcznym... cóż panu brakuje? Ładny posag i ładna żona!

— Ależ pani — obruszył się Sieleń — ja

żadnej nie mam żony, ja mam tylko sceny od rana do wieczora, ataki niepojęte, które mnie tak denerwują, iż.. sam się o siebie boję. Ja się sam zmieniłem.. ja siebie nie poznaję. Staję się zgryźliwym, apatycznym i żółciowym. To wszystko, co pragnałem za pieniądze uzyskać, dziś mnie nie nęci. Dom, który mieć sobie życzyłem, dziś mi jest ciężarem, Wilma...

Urwał i znów podchwycił:

— *Et puis* ten stosunek z Skorupskimi.

— Czyż zawsze?

— Oh! *ils sont corrects*, ale dla mnie wymiana tych stosunków jest męczarnią. Czuję wciąż tę głęboką ich do mnie urazę. Czuję się w tym domu nie zięciem, tylko nienawistnym intruzem.

— I pan sobie z tego co robisz?

— Ah! nie! ale zawsze. Darmo sobie to tłumaczę, ich, a nie mojem, głupstwem, ale moja rola nie przestaje być przykrą...

Pani Wandzie żal się zrobiło swego protegowanego.

— Boże! — zawołała — na pańskiem miejscu bym też.. Umrze lada chwila i...

Wtem Porycki stanął nad nimi, blady, pomięszany i jakby zmęczony.

— Jesteście — szepnął ziającym głosem — wiecie? Pan Jan umiera.. Radźcie! co począć?

Zerwali się pani Wanda i Sieleń.

— Kto doniósł? — zapytała kobieta.

— Sam, zasłyszawszy to i owo, pobiegłem się dowiedzieć... Jest *au plus mal. Consilium* sześciu doktorów...

— Wilma! — szepnął Sieleń.

— Ale co ja z Reną zrobię - mówił hrabia — jeśli powiem, bal...

— *Impossible!* — wtrąciła pani Wanda.

Ale przecież — obruszył się Porycki — nie mogę brać na siebie odpowiedzialności, jeśliby Rena nie była... Co ja pocznę? Z drugiej strony psuć zabawę ludziom, których to nic nie obchodzi...

Nastąpiła cisza.

Sieleń stał obojętnie. Pani Wandzie igrał po twarzy szatański uśmiech.

Porycki ocknął się i zawołał:

— Ja zostanę. Renę niepostrzeżenie wyszlę. Ty — mówił zwracając się do Sielenia — biegnij do żony i pędźcie do...

— Czy myślisz że?... — zapytał eks-doktor, jak gdyby mu żal było opuszczać balu.

— Ależ lokaj powiedział mi, że katastrofa musi nastąpić jeszcze tej nocy...

To powiedziawszy, pobiegł do sali tańców, gdzie właśnie Rena zaczynała nową figurę w pierwszej parze mazura.

XXX.

Pan Jan umierał przytomnie. Zupełny rozkład organizmu ukoił nawet w ostatniej chwili jego bóle i Skorupski opuszczał to życie z kompletną świadomością rzeczy. Znękany fizycznie i moralnie ostatnimi wypadkami, wyglądał zrezygnowany, choć zbolały do niewypowiedzianego stopnia. Fizjognomja jego się zmieniła do niepoznania, straciła ten światowy, cechujący ją zawsze wyraz, to pewne siebie spojrzenie, te odcienia siły, które ją złudnie krasiły, opierając się tylko na powodzeniu.

Przedstawiał wszystkie znamiona człowieka, któremu życie dało aż nadto zaznać swych goryczy, jak gdyby kielich ich cały w ciągu kilku ostatnich miesięcy był w stanie wypić.

Otaczali go doktorzy w swych ciemnych strojach, a miny ich wyraźnie mówiły, iż niecierpliwie czekają końca tego niemożliego do przedłużenia żywota.

W apartamencie panował już ten bezład, poprzedzający katastrofę. Drzwi do pokoju, przyległego do sypialni umierającego, stały otworem. Niemi wysuwali się i wsuwali się doktorzy, pani Matylda zamieniona w żyjący cierpienia posąg, służba. Szeptali między sobą, to upadali bezsilni i znudzeni na krzesła, to znów coś radzili, to wybiegali z nowemi dyspozycjami i rozkazami Na wszystkich fizjognomjach malowała się gorączka i troska, przybierająca z minuty na minutę większe rozmiary, jakieś niecierpliwe oczekiwanie czegoś, co powinno już było nastąpić, jakieś zdziwienie nad czemś, czego nie rozumieli.

Bo pan Jan dwa razy już był otworzył oczy, rozejrzał się tym błędnym, a wyrazistym wzrokiem po komnacie i wyszeptał dwa straszne w tej chwili, ściskające nawet doktorom przywykłym do okropności śmierci, słowa. Temi słowami były dwa imiona jego córek obecnych w Warszawie, a nieobecnych przy łożu umierającego ojca.

Stypulski wprowadził panią Matyldę do trzeciego pokoju i tragicznym głosem zapytał:

— Te panie nie przybywają?... może być za późno.

Skorupska zrobiła rozpaczliwy ruch rękami.

— Posłałam... posłańcy nie wrócili.

Urwała, bo jej krew nabiegła do głowy i

purpurą okryła oblicze. Co widząc Stypulski podchwycił:

— Dziś sam hrabia Porycki był u mnie i pytał, czy nie ma obawy niespodziewanej i rychłej katastrofy... może wyjechali?

— Ha! ha! — konwulsyjnie zaśmiała się pani Matylda — Cóż odpowiedziałeś doktorze?

— Że nie... tak sądziłem... tak sądziliśmy wszyscy.

— Ha! ha! — podchwyciła spazmatycznym głosem — a więc wiedzże doktor, że mych córek dlatego nie ma, bo tańczą!... Dziś bal u hrabstwa Poryckich...

Stypulski pobladł. Ten dziwaczny zbieg faktów około łoża tego człowieka, którego znał jako model taktu i obserwacji form, wydał mu się swym kontrastem prawie dramatycznym.

Milczeli. Tymczasem kobieta ochłonęła i zapytała:

— A Alwimowicz czemu?..

Stypulski ruszył ramionami.

Wtem wierny służący pana Jana wbiegł do pokoju i zawołał tym stłumionym głosem ludzi, odchodzacych od zmysłów:

— Pan czegoś żąda

Żona i Stypulski pobiegli do łoża, przy którem już się znajdował Fikaiser. Chory podniósł oczy i poznał małżonkę i jakby wyciągnął do niej swą bladą i zimną rękę:

— Wilma... Re...na.. — szepnął.

Pani Matylda zalała się łzami, zrozumiała, że jeszcze żyć będzie, wybiegła z sypialni wprowadzając doktorów. Za drzwiami odezwąła się wśród szlochania:

— Zlitujcie się nademną.

Upadła na krzesło.

Cyniczny i zawsze drwiącej fizjognomji Fikaiser zawcłał:

— Więc pobiegnę po nie, ale gdzie ich szukać?

— Na balu u Poryckich! — jęknęła kobieta.

Fikaiser rzucił się ku drzwiom, ale w tejże chwili wpadła do pokoju Rena. Była blada, z głową odkrytą, na której w splotach hebanowych włosów błyszczały brylanty, otulona w futro z białych kóz, którem usiłowała ukryć swoją toaletę, ale od góry błyszczała jej obnażona szyja, a z pod szuby wysuwał się atłasowy, różowy i złocisty, sukni balowej, ogon.

Pierwszy raz była w tym rodzicielskim domu od trzech lat. Twardym niemal wyrazem spojrzała na matkę i zwróciła się do Stypulskiego z jękiem.

— Ojciec?

— Czeka na panią.

Fikaiser dorzucił:

— Już miałem po panią jechać, bo ojciec...

Nie dokończył. Rena jęknęła, wydała głos który miał w sobie coś z ryku zranionej lwicy i rzuciła się ku komnacie ojca. Obłąkana, zatulając się tylko w futro, upadła na kolana u łoża umierającego, a ten otworzył swe oczy, poznał ją jeszcze i szepnął, szukając jej dłoni.

— Rena..

Zapanowała uroczysta cisza w pokoju. Pani Matylda przypatrywała się odedrzwi tej scenie i słyszała stłumiony płacz córki i widziała, jak jej mąż wargami poruszał, ale nie słyszała jego głosu.

Wtem uwagę jej znów odwróciło otwieranie się drzwi od apartamentu.

— Wilma! — szepnęła z głębokiem odetchnięciem w głosie.

Ale to nie była ona. Lokaj wbiegł i podał jej bilet.

Czytała:

„Pani Wilma przybyć nie może. Jest po ataku i w stanie, który w żaden sposób by nie zniósł takiego wzruszenia. Pan Sieleń nieobecny. Sam zaraz przybywam.

Alwimowicz".

Pani Matylda, w której głowie panował nie opisany zamęt, nie rozumiała tego pisma, odczytywała je raz i drugi. Wreszcie podała je Fikaiserowi, znajdującemu się przy niej.

— Co to?

Młody doktor przebiegał bilet oczyma i odparł:

— Doktor Alwimowicz, który jest przy pani Sieleń... dla tego widocznie go tu nie ma. Urwał, bo Stypulski blady, zmięszany, dziwnie jak na doktora uroczysty, stanął w drzwiach i szepnął:

— Pani...

Kobieta zrozumiała to jedno słowo, jęknęła: Ona prawdziwie nikogo nigdy nie kochała, tylko tego konającego, który był drugą jej połową. Stypulski, wchodząc, usunął się jej, a ona wpadła już z głośnym płaczem do komnaty męża.

— Koniec, zdaje się! — odetchnął do Fikaisera Stypulski.

Nastąpiła chwila grobowej ciszy. Tam szlochały kobiety. Tu oni siedzieli, przygnieceni dramatem śmierci i zdziwieni sami tym faktem. Bo śmierć zwykle na nich nie robiła tego wrażenia. Ale ta śmierć była jakąś inną. Te oświecone apartamenta, ci lokaje w pełnej liberji, uwijający się po nich, ta córka, wpadająca w brylantach, tchnąca gorącem przerwanego mazura, szeleszcząca pluszem i atłasem...

Wtem znów we drzwiach stanęła zalana łzami pani Matylda i skinęła na Stypulskiego.

Równocześnie od salonu wchodził Sieleń w narzuconym surducie na biały plastron balowej koszuli i Alwimowicz, godny i poważny, ale zakłopotany i znudzony.

XXXI.

Pan Jan dopiero co skończył.

W jednym z salonów bawili doktorzy, każdy zagłębiony w fotelu, zmęczony, ziewający i znudzony.

Czekali, by im pozwolono się oddalić, by ciało nieboszczyka dostatecznie ostygło, iżby śmierć była skonstatowaną, aby pierwsza chwila boleści tych, którzy pozostawali, przeminęła.

Stypulski się odezwał swym codziennym już głosem:

— Dziwny świat! Tyle śmierci widziałem wtylu okolicznościach i w tylu różnorodnych sferach...

Alwimowicz ziewnął i — rad, że się ktoś odezwał, podchwycił:

— Zapewne... Ta córka w balowej toalecie... Sieleń... ha! ha! prosto z balu, podczas gdy ja myślałem dziś chwilę, że żona jego skończy w niewidzianym ataku histerji...

Fikaiser zerwał się z krzesła i podszedł do mówiącego.

— Ale bo co to właściwie za choroba pani Sieleń?

Alwimowicz ruszył ramionami.

— Histerja...

— Bo ją widziałem kiedyś — podchwciły jakby z zapałem młody doktór — u łoża niebo szczyka... Obserwowałem ją... Widziałem ją też kilkakrotnie razem z mężem, za którego podobno wyszła z miłości?

— Jakżeby inaczej? — wtrącił Stypulski.

Alwimowicz krząknął i odpowiadał, wpatrując się bystro w oczy młodemu medykowi:

— I sądzisz... kolega?

— Nie sądzę nic... ale zrobiła mi dziwne wrażenie, dziwne medycznie... Nie wygląda na histeryczkę... Bardzo bym pragnął bliżej poznać tę chorobę, asystować jednemu z tych ataków.

— Ha! — odrzekł Alwimowicz — ataki nie, zwykle gwałtowne... które, zdaje mi się, wywołują pewne szczegóły pożycia małżeńskiego. Spazmy, płacz... to znów śmiech... kurcze nerwowe i omdlenia... kompletny upadek z sił i... znów...

Urwał, bo go już Fikaiser nie słuchał, tylko wielkiemi krokami mierzył pokój z opuszczoną głową i wzrokiem przed siebie utopionym.

Nagle przystanął i zagadnął Alwimowicza

z nieokreślonym uśmiechem ludzi wiedzy, zgłębiających tajemnice:

— Szanowny kolega ją leczysz?..

— Od niedawna... bardzo niedawna...

— A ten *high-life-doctor?*

— Hm! — ruszył pogardliwie ramionami wielki eskulap.

Fikaiser się zamyślił. Oblicze jego jeszcze bardziej trysnęło inteligencją i sprytem. Odezwał się:

— Niech kolega... lecząc tę panią, weźmie na uwagę niektóre próby i wyniki badań Charcota i Ochorowicza...

To powiedziawszy ruszył z miejsca, by dalej po pokoju spacerować.


Alwimowicz zatopił się w zadumie na długo. Potem ocknął się i wzrokiem ukradkiem zaczął śledzić Fikaisera. On go miał dotąd za sprytnego doktorka. Nagle w nim teraz odkrywał doktora, którym sądził Warszawa, za jakie lat dziesięć miała się, jak nim dzisiaj, szczycić, a Chałubińskim i kilkoma jeszcze innymi wczoraj się szczyciła.

— Panie Fikaiser — odezwał się niezwykłym u niego głosem. — Przyjdź do mnie jutro o czwartej pójdziemy do... Szkoda jej... młoda kobieta... Myśl twoja...

Urwał i zamilkł, przecierając dłonią jakby nadmiernie zmęczone czoło.

KONIEC.





J. Konopka
Wwa 30.12.91
- 80.000,-